

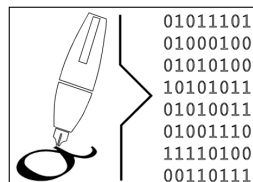
MICHAEL MOORCOCK

ŻEGLARZ MÓRZ PRZEZNACZENIA

Sagi o Elryku

Tom III

Przełożyła: Justyna Zandberg



Tytuł oryginału:

The Sailor of the Seas of Fate

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1976 r.

Elryk z Melniboné, dumny książę i czarnoksiężnik, uciekając przed prześladowcami zapędza się na bezludne, odległe wybrzeże. Zrezygnowany i wyczerpany przygotowuje się na najgorsze. Na ratunek Melnibonéaninowi przybywa tajemniczy, spowity we mgłę statek, dowodzony przez ślepego kapitana, który daje do zrozumienia, że albinosa mogą czekać jeszcze straszniejsze przeżycia. W ten sposób Elryk rozpoczyna swą odyseję, morską wędrówkę, w trakcie której Melnibonéanin i jego nowi towarzysze stawiają czoła czarnoksiężnikom, piratom, duchom, ludziom-gadom i wielu innym stworzeniom, które nawet trudno opisać.

Prosty podtytuł, „Saga o Elryku”, nie oddaje w pełni zasięgu i siły oddziaływania tego nowego arcydzieła z gatunku science fantasy. W książce tej występują także inni bohaterowie powieściowego świata Moorcocka. Hawkmoon czy Książę Corum Srebrnoręki, to tylko niektórzy z herosów, magów, wojowników, wybranych, by stawić czoło potwornej, nieuchwytnej groźbie, która zawisła nad światem. Po gorzkim zwycięstwie bitwy wędrówka trwa dalej. Albinos nadal musi podróżować po morzu, które zdaje się łączyć nie tylko wybrzeża i kontynenty, lecz całe epoki i wszechświaty. . .

Odwaga Elryka nie ma jednak sobie równej; moc jego czarów jest potężna, a miecz niezwykle. Magiczna klinga, Zwiastun Burzy, żywi się krwią swych ofiar, by móc odnowić siły swego pana. Elryk wciąż jest niewyciężony.

„Żeglarz mórzn przeznaczenia” to nowa powieść jednego z najbardziej popularnych i płodnych autorów science-fiction. Elryk z Melniboné, dumny książę i czarnoksiężnik, uciekając przed prześladowcami zapędza się na bezludne, odległe wybrzeże. Zrezygnowany i wyczerpany przygotowuje się na najgorsze. Jedynym towarzyszem i pomocnikiem byłego Cesarza jest jego magiczny miecz, Zwiastun Burzy, żywiący się krwią swych ofiar. Na ratunek Melnibonéaninowi przybywa tajemniczy, spowity we mgłę, statek dowodzony przez ślepego kapitana, który przewiduje, że albinosa mogą czekać jeszcze straszniejsze przeżycia. W ten sposób Elryk rozpoczyna swą odyseję, morską wędrówkę, w trakcie której Melnibonéanin i jego nowi przyjaciele stawiają czoło czarnoksiężnikom, piratom, duchom, ludziom-gadom i wielu innym stworzeniom, które nawet trudno opisać.

Na kartach tego nowego arcydzieła literatury fantastycznej pojawiają się również inni bohaterowie powieściowego świata Moorcocka. Hawkmoon czy Książę Corum Srebrnoręki, oto niektórzy z herosów, magów i wojowników, wybranych, by stawili czoło nowemu, potwornemu zagrożeniu. Po gorzkim zwycięstwie bitwy wędrówka trwa dalej. Albinos nadal musi podróżować po morzu, które zdaje się łączyć nie tylko wybrzeża i kontynenty, lecz całe epoki i wszechświaty.

Michael Moorcock jest zdumiewający. Na jego olbrzymi dorobek składa się

około pięćdziesięciu powieści, niezliczone krótkie opowiadania i album rockowy. To bez wątpienia najbardziej popularny i płodny na Wyspach Brytyjskich autor science-fiction. Porównuje się go z takimi twórcami, jak: Tennyson, Tolkien, Raymond Chandler, Wyndham Lewis, Ronald Firbank, Mervyn Peake, Edgar Allan Poe, Colin Wilson, Anatole France, William Burroughs, Edgar Rice Burroughs, Charles Dickens, James Joyce, Yladimir Nabokov, Jorge Luis Borges, Joyce Cary, Ray Bradbury, H. G. Wells, George Bernard Shaw i Hieronim Bosch, by wymienić tylko niektórych.

„Żaden ze współczesnych twórców angielskich nie uczynił tyle, co Michael Moorcock w kierunku zniesienia sztucznie powstałych w literaturze podziałów na powieści realistyczne, surrealistyczne, science-fiction, historyczne, poetyckie czy satyrę społeczną”. — Angus Wilson

„Jest on dowcipnym i pełnym zapału eksperymentatorem, niestrudzenie oryginalnym, wciąż prezentującym coraz to bardziej przemyślne koncepcje”. — Robert Nye, *Guardian*

Benowi Biberowi i Billowi Butlerowi

KSIĘGA PIERWSZA

**ŻEGLUJĄC
W
PRZYSZŁOŚĆ**

... i pozostawiwszy swemu kuzynowi Yyrkoonowi władzę regenta na Rubinowym Tronie Melniboné, opuściwszy swą kuzynkę Cymoril, całą we łzach, wąpiącą w jego przyszły powrót, Elryk odpłynął z Imrryr, Śniącego Miasta i wyruszył, by dążyć do odległego celu wśród krain Młodych Królestw, gdzie Melnibonéanie byli, w najlepszym przypadku, niezbyt lubiani.

— *Kroniki Czarnego Miecza*

Rozdział 1

ROZDZIAŁ I

Wybrzeże wyglądało niczym ogromna jaskinia, której ciemne ściany i sklepienie były na tyle nietrwałe, że co chwila pękały, wpuszczając do środka promienie księżycowej poświaty. Trudno było uwierzyć, że owe ściany to nic innego jak po prostu chmury piętrzące się ponad górami i oceanem. Złudzenia nie rozwiewało nawet to, że raz po raz gęstą zasłonę przebijało i srebrzyło światło księżyca, ukazując czarne, wzburzone morze omywające brzeg, na którym stał człowiek.

W oddali przetoczył się grzmot; zajaśniała błyskawica. Zaczął siąpić deszcz. Chmury ani na chwilę nie ustawały w swym pędzie, zmieniając tylko zabarwienie, od przyprószonej czerni do trupiej białości, wirując niczym płaszczce tancerzy pogrążonych w pełnym dostojeniu, ceremonialnym menuecie. Człowiekowi stojącemu na mrocznej, kamienistej plaży widok ten przypominał olbrzymów tańczących do muzyki odległej burzy. Poczuł się niczym śmiertelnik nieświadomie wkraczający do sali, w której zabawiają się bogowie. Odwrócił wzrok od chmur i spojrzął na ocean.

Morze zdawało się zmęczone. Wielkie fale dźwigały się z trudem i załamywały niemalże z ulgą, z sapaniem potykając się o ostre, podmorskie głazy.

Mężczyzna naciągnął kaptur swego skózanego płaszcza głębiej na twarz i rozejrzał się bacznie dokoła, po czym zbliżył się do morza i pozwolił przybrzeżnym falom obmyć czubki swoich wysokich do kolan, czarnych butów. Starał się przeniknąć wzrokiem zasłonę chmur, ale widoczność była bardzo ograniczona. W żaden sposób nie mógł dostrzec, co znajduje się na drugim brzegu oceanu, ani też określić, jak daleko rozciąga się wodna pustynia. Przechylił głowę i nasłuchiwał uważnie, ale nie usłyszał nic poza odgłosami nieba i wody. Westchnął. Promień księżyca rozjaśnił na moment jego bladą twarz, w której lśniło dwoje karmazynowych, umęczonych oczu, po czym na powrót zapanowała ciemność. Człowiek odwrócił się, najwyraźniej w obawie, że światło zdradziło go jakiemuś wrogowi. Starając się robić jak najmniej hałasu, skierował krok ku załomowi skalnemu widocznemu po lewej stronie.

Elryk był zmęczony. W mieście Ryfel w krainie Pikarayd, naiwnie poszukując akceptacji, zaoferował swe usługi najemnika w armii gubernatora. W efekcie własnej głupoty został uwięziony jako Melnibonéański szpieg i dopiero niedawno udało mu się umknąć, stosując przekupstwo i pomniejszą sztukę czarnoksiężską.

Pościg jednakże wyruszył niemal natychmiast. Posłużono się psami wielkiej chyżości; sam gubernator poprowadził nagonkę aż poza granice Pikaraydu, w stronę samotnych, nie zamieszkałych łupkowych dolin krainy zwanej przez okolicznych mieszkańców Martwymi Wzgórzami, jako że niewiele w niej rośło.

Człowiek o białej twarzy wspinał się konno po stromych zboczach niewysokich gór zbudowanych z szarych skał, kruszących się pod końskimi kopytami z hałasem słyszalnym na dobry kilometr. Szukał ucieczki od swych prześladowców wśród tych nagich dolin, pomiędzy korytami rzecznych, które od dziesiątków lat nie widziały wody, jaskiń tak nagich, że brak w nich było nawet stalaktytów, równin, na których piętrzyły się kamienne kurhany, wzniesione przez jakiś zapomniany lud. Wkrótce zdało mu się, że na zawsze opuścił znany świat i przebył jakąś niewidzialną granicę, wkraczając do jednej z tych posępnych krain, w których, jak głosiły legendy jego ludu, dawno temu starły się w wyrównanej walce Prawo i Chaos, pozbawiając pole bitwy możliwości rodzenia jakiegokolwiek życia.

W końcu koniowi, na którym jechał, pękło z wysiłku serce. Elryk pozostawił jego trupa i szedł dalej pieszo, aż do utraty tchu, dochodząc w końcu do tej wąskiej plaży, skąd nie mógł już ani iść dalej, ani zawrócić, w obawie, że może się natknąć na czekających nań w ukryciu wrogów.

Pomyślał, że wiele dałby za jakąś łódź. Psy wkrótce zwęszą jego trop i doprowadzą swoich panów na plażę. Wzruszył ramionami. Lepiej umrzeć tutaj, w samotności, zginąć z rąk ludzi, którzy nie znają nawet jego imienia. Martwiło go tylko, że Cymoril będzie się zastanawiać, czemu nie wrócił z końcem roku.

Nie miał już prawie wcale jedzenia ani eliksiru, który od dawna podtrzymywał jego siły. Bez odpowiedniej regeneracji nie było nawet co myśleć o zakłęciach, dzięki którym mógłby wyczarować sobie jakiś transport przez morze, na przykład na Wyspę Purpurowych Miast, której mieszkańcy nie byli tak nieprzyjaźni w stosunku do Melnibonéan.

Minął zaledwie miesiąc odkąd Elryk opuścił swój dwór i królewską narzeczoną, pozostawiając Yyrkoonowi władzę nad Melniboné aż do swego powrotu. Miał nadzieję, że dowie się czegoś o ludzkich mieszkańcach Młodych Królestw żyjąc wśród nich, ale oni odsuwali się od niego albo z otwartą nienawiścią, albo z obawą i nieszczerą uniżonością. Nigdzie nie znalazł człowieka skłonnego uwierzyć, że jakikolwiek Melnibonéanin (bo nie wiedzieli, że Elryk jest samym Cesarzem) z własnej woli wstąpiłby na ścieżki istot ludzkich, które nie tak dawno żyły w niewoli u tej starożytnej i okrutnej rasy. Tak więc stał teraz na brzegu posępnego morza niczym zwierze złapane w pułapkę, w poczuciu ostatecznej klęski.

Czuł, że jest osamotniony w nieprzyjaznym wszechświecie, pozbawiony przyjaciół i celu; beżyteczny, sentymentalny anachronizm; głupiec, którego do upadku doprowadziły niedostatki własnego charakteru oraz niezdolność do całkowitego podporządkowania się wpajany mu od dzieciństwa prawdom. Melnibonéanin nie wierzył we własną rasę, w swoje pierworództwo, w bogów czy ludzi, a nade wszystko w siebie samego.

Elryk zwolnił kroku; jego ręka powędrowała do głowni miecza: czarnego, pokrytego runami, zwanego Zwiastunem Burzy. Nie tak dawno temu klinga ta pokonała swego bliźniaka, Żałobne Ostrze, w pozbawionej słońca krainie Wyższych Piekieł. Zwiastun Burzy, na wpół obdarzony zdolnością odczuwania, był teraz jedynym towarzyszem i powiernikiem Elryka. Mężczyzna popadł w paranoiczny nawyk przemawiania do swej broni, jak jeździec mógłby mówić do konia albo więzień do karalucha zamieszkującego jego celę.

— Cóż, Zwiastunie Burzy, może byśmy tak weszli do morza i skończyli z tym wszystkim? — głos mężczyzny był głuchy, ledwie słyszalny. — Dałoby to nam przyjemność pokrzyżowania szyków naszym prześladowcom.

Elryk uczynił niezdecydowany ruch w kierunku wody, lecz jego umęczonemu umysłowi zdało się, że miecz zaszemrał, poruszył się u jego boku i odciągnął od brzegu. Albinos zachichotał.

— Ty istniejesz, aby żyć i zabierać życie. Czy więc ja jestem po to, aby umierać i przynosić tym, których kocham lub nienawidzę miłosierdzie śmierci? Czasami tak myślę. Gorzka prawidłowość, jeżeli w ogóle istnieje jakakolwiek. Ale w tym wszystkim musi być coś więcej...

Odwrócił się plecami do morza i zerknął w górę na układające się w rozmaite kształty chmury, wystawiając twarz na działanie deszczu, wsłuchując się w złożoną, melancholijną muzykę morza uderzającego o skały, trącego o piasek oraz w tony wnoszone przez przeciwne prądy. Siąpiący deszczyk niezbyt orzeźwił albinosa. Elryk nie spał już od dwóch nocy, a przez kilka poprzednich ledwie drzemał. Od ucieczki do śmierci konia minął chyba tydzień.

U podnóża wilgotnej granitowej skały, wznoszącej się niemalże dziesięć metrów ponad jego głową, Elryk znalazł zagłębienie wystarczająco duże, by pomieścić skulonego człowieka. Mogło go ono z grubsza osłonić przed wiatrem i deszczem. Melnibonéanin owinął się ciasno płaszczem, wsunął w szczelinę i natychmiast zasnął. Niechaj go znajdą podczas snu. Pragnął umrzeć w nieświadomości.

Szare, mdłe światło przemocą wdarło mu się pod powieki. Poruszył się. Uniósł szyję, powstrzymując jęk, cisnący mu się na usta, gdy poczuł zeszywniałe mięśnie. Otworzył oczy i zmrużył je natychmiast. Chyba musiał być już ranek — zresztą trudno było określić porę dnia, jako że słońce nadal pozostawało niewidoczne. Zimna mgła pokrywała plażę. Poprzez opary albinos widział ciemniejsze chmury, co pozwoliło mu przypuszczać, że nadal znajduje się w jaskini. Dochodziło go też, chociaż nieco słabiej, chłupot i syk wody. Jednakże morze zdawało

się spokojniejsze niż poprzedniej nocy i nie słyszało się już odgłosów burzy. Powietrze było bardzo zimne.

Melnibonéanin podniósł się powoli, opierając na mieczu i nasłuchując uważnie. Rozejrzał się, lecz nigdzie nie spostrzegł śladu obecności wrogów. Niewątpliwie zaprzestali pościgu, może gdy znaleźli martwego konia.

Sięgnął do wiszącej u pasa sakwy i wyjął plaster wędzonego boczku oraz buteleczkę żółtawego płynu. Pociągnął łyk napoju, zakorkował flaszkę i schował ją z powrotem, po czym zajął się jedzeniem. Był spragniony. Z trudem wstał i zbadał okolicę. Wkrótce natknął się na kałużę deszczówki, w miarę nie zanieczyszczonej solą. Napił się do syta, po czym ogarnął baczny wzrokiem okolicę. Mgła była dość gęsta i gdyby odszedł zbyt daleko od plaży, szybko by się zgubił. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? I tak nie miał dokąd iść. Jego prześladowcy musieli zdawać sobie z tego sprawę. Bez konia nie mógł cofnąć się do Pikaraydu, zajmującego najbardziej wysunięte na wschód tereny Młodych Królestw. Nie mając łodzi nie był w stanie dotrzeć drogą wodną na Wyspę Purpurowych Miast. Nie przypominał sobie żadnej mapy, na której by zaznaczono wschodnie morza i nie miał pojęcia, jak bardzo oddalił się od Pikaraydu. Prawdopodobnie jedyną jego szansą na przetrwanie była podróż na północ, wzdłuż linii brzegowej, w nadziei że prędzej czy później natknie się na port albo wioskę rybacką, gdzie mógłby przehandlować resztki swojego dobytku, zyskując w ten sposób pieniądze na łódź. Szansa ta była jednakowoż bardzo nikła, jako że jedzenia i eliksirów starczyłoby mu najwyżej na jeden — dwa dni.

Wziął głęboki oddech, aby wzmocnić się przed marszem i natychmiast tego pożałował; mgła raniła mu gardło i tchawicę, jak gdyby wciągał w płuca tysiące malutkich nożyków. Zakasłał. Splunął na żwir.

Nagle jego uszu dobiegł jakiś dźwięk. Coś innego niż smętny poszum morza; miarowy, skrzypiący odgłos, jak gdyby człowiek szedł w skórzanej, zeszywniałej odzieży. Prawa ręka Elryka powędrowała do lewego biodra i zawieszono tam miecza. Obrócił się, wypatrując w różnych kierunkach źródła dźwięku, lecz mgła wszystko zniekształcała, czyniąc niemożliwymi jakiegokolwiek ustalenia.

Elryk pod pełźł do skały, która nocą stanowiła jego schronienie. Wparł się w nią plecami tak, żeby żaden wróg nie mógł go zająć od tyłu. Czekał.

Skrzypienie powtórzyło się, lecz tym razem towarzyszyły mu inne odgłosy. Elryk usłyszał brzęk, chlupot, stłumiony głos, coś, co przypominało kroki na drewnianej powierzchni. Albo była to halucynacja, uboczny efekt działania zażytego właśnie eliksiru, albo słyszał statek, zbliżający się do plaży i zarzucający kotwicę.

Poczuł ulgę i aż roześmiał się z własnej głupoty, z tego, że tak szybko doszedł do wniosku, iż wybrzeże musi być bezludne. Wyobrażał już sobie nagie urwiska ciągnące się całymi kilometrami — a może i setkami kilometrów — we wszystkich kierunkach. Prawdopodobnie to właśnie przypuszczenie było przyczyną jego

przygnębienia i znużenia. Teraz zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógł natrafić na ląd nie zaznaczony na mapach, lecz posiadający własną, wysoko rozwiniętą cywilizację, ze statkami i portami, na przykład. Pomimo to nadal nie wychodził z ukrycia.

Albinos wycofał się za skałę i obserwował zaciągnięte mgłą wybrzeże. W końcu wyodrębnił we mgle kształt, którego nie dostrzegł poprzedniej nocy. Czarny, kanciasty cień, mogący być tylko kadłubem statku. Niemalże widział liny, słyszał pokrzykiwania załogi, skrzypienie i zgrzytanie rei podciąganej na maszcie. Na statku zwijano żagle.

Elryk odczekał co najmniej godzinę, spodziewając się, że załoga zejdzie na ląd. Jakież inny mógł być cel wpływania do tej zdradliwej zatoki? Ale zaległa cisza, jak gdyby cały statek pogrążył się we śnie.

Elryk bardzo ostrożnie wynurzył się spoza skały i podszedł do brzegu morza. Teraz widok był dużo lepszy. Za statkiem niewyraźnie połyskiwało czerwone słońce, roztaczając wokół blade, mgliste światło. Sam żaglowiec był dość duży i w całości wykonany z jakiegoś ciemnego drewna. Dziwaczny zarys łodzi nie wyglądał znajomo; na dziobie i rufie pokład wznosił się wysoko, nie widać było dulek do wiosłowania. Ich brak był nienaturalny zarówno na statku Melni-bonéańskim, jak i zbudowanym w jednym z Młodych Królestw. Zdawało się to potwierdzać teorię, że Elryk natknął się na cywilizację z jakiegoś powodu odciętą od reszty świata, tak jak Elwher i Niezaznaczone Królestwa były odseparowane rozległymi przestrzeniami Pustyni Westchnień i Pustyni Płacz. Na statku nie dało się zauważyć jakiegokolwiek ruchu ani też usłyszeć żadnego z odgłosów, które zazwyczaj rozlegały się na powracającym z morza żaglowcu, chociażby nawet większość załogi odpoczywała. Mgła się przerzedziła. Przedarła się przez nią czerwona łuna, oświetlając kadłub, wielkie koła sterowe na dziobie i rufie, smukły maszt ze zrolowanym żaglem, skomplikowaną geometrię rzeźbionych relingów i nadbudówek oraz olbrzymi, wygięty dziób nadający całemu statkowi potężny, masywny wygląd. Wszystko zdawało się świadczyć o tym, że jest to raczej jednostka wojenna, a nie handlowa. Któż jednak mógłby walczyć na tych wodach?

Otrząsnąwszy się ze znużenia, Elryk przytknął do ust złożone dłonie i krzyknął:

— Ahoj, na statku!

Odpowiedziała mu dziwna cisza. Być może na żaglowcu usłyszeli jego wołanie, lecz zwlekali, nie wiedząc, czy powinni odpowiedzieć.

— Ahoj!

Na lewej burcie pojawiła się jakaś osoba, przechyliła nad relingiem i uważnie przyjrzała Elrykowi. Postać ta odziana była w zbroję równie ciemną i dziwaczną jak poszycie żaglowca; na głowie miała hełm zasłaniający większą część twarzy, tak że Elryk mógł dostrzec jedynie gęstą złotawą brodę i przenikliwe błękitne oczy.

— Ahoj, na brzegu! — odrzyknął uzbrojony człowiek. Mówił z nie znanym Elrykowi akcentem, a z jego tonu i sposobu bycia znać było beztróskę. Melnibonéaninowi zdawało się, że na twarzy nieznajomego zobaczył uśmiech. — Czego od nas chcesz?

— Pomocy — odparł Elryk. — Jestem w tarapatkach. Mój koń padł. Zgubiłem się.

— Zgubiłeś? Aha! — głos mężczyzny odbił się echem we mgle. — I chciałbyś wejść na pokład?

— Mogę trochę zapłacić, bądź też zaoferować swoje usługi w zamian za miejsce na statku i transport albo do następnego portu, do którego będziecie zawijać, albo do jakiejś krainy w pobliżu Młodych Królestw, gdzie mógłbym zdobyć mapę i ruszyć w dalszą drogę...

— No cóż — odparł z wolna nieznajomy. — Mamy pracę dla mężczyzny władającego mieczem.

— Mam miecz — powiedział Elryk.

— Widzę. Dobra szeroka klinga, w sam raz do bitwy.

— Czy mogę więc wejść na pokład?

— Wpierw musimy się naradzić. Gdybyś był tak dobry i chwilę poczekał...

— Oczywiście — zgodził się Elryk. Sposób bycia nieznajomego wprawiał go w zakłopotanie, ale perspektywa ciepła i jedzenia dodawała otuchy. Czekał cierpliwie, aż złotobrody wojownik powróci do relingu.

— Jak cię zwać, panie? — spytał nieznajomy.

— Jestem Elryk z Melniboné.

Wojownik zerknął na trzymany w ręce pergamin, przejechał palcem w dół listy, aż w końcu usatysfakcjonowany kiwnął głową i wsunął spis w zdobny dużą kłamrą pas.

— Tak — powiedział — a jednak nasz tutejszy postój miał jakiś sens. Trudno mi było w to uwierzyć.

— Nad czym się naradzaliście? Czy czekaliście tu na kogoś?

— Owszem. Na ciebie — odparł wojownik przerzucając przez burzę sznurową drabinkę tak, że jej koniec wpadł do morza. — Czy wejdiesz teraz na pokład, Elryku z Melniboné?

Rozdział 2

Elryk zdumiał się tym, jak płytka była woda i zastanowił, w jaki sposób tak potężny żaglowiec mógł dobić równie blisko brzegu. Zanurzony po barki w morzu wyciągnął rękę i chwycił hebanowy szczebel trapu. Wydobyć się z wody sprawiło mu niejaką trudność, zwłaszcza że dodatkowo przeszkadzało kołysanie statku i ciężki runiczny miecz wiszący u boku. W końcu jednak wspiał się niezgrabnie na burzę i stanął na pokładzie. Woda z przemoczonego ubrania ściekała na deski. Zadrżał z zimna. Rozejrzył się dokoła. Błyszcząca, czerwono zabarwiona mgła spowijała ciemne reje i olinowanie statku, podczas gdy biała rozciągała się ponad dachami i bokami dwóch dużych kajut umiejscowionych przed i za masztem. Mgła ta różniła się wyraźnie od oparów unoszących się poza żaglowcem. Elryk przez moment odniósł dziwne wrażenie, że zjawisko to bezustannie towarzyszy statkowi we wszystkich jego podróżach. Uśmiechnął się na tę myśl i natychmiast ją odrzucił, uznając za efekt braku snu i jedzenia. Prawdopodobnie gdy tylko wypłyną na słoneczne wody, żaglowiec okaże się najnormalniejszy w świecie.

Jasnowłosy wojownik ujął ramię Elryka. Wzrostem dorównywał Melnibonéaninowi i jak on był potężnie zbudowany. Na ocienionej hełmem twarzy pojawił się uśmiech.

— Zejdźmy pod pokład — powiedział.

Podeszli do kajuty dziobowej, gdzie wojownik otworzył rozsuwane drzwi i przepuścił Elryka przodem. Ten wsunął głowę do środka i wszedł do ciepłego wnętrza. Wewnątrz płonęła lampa z szaroczerwonego szkła, zwisająca z sufitu na czterech srebrnych łańcuchach. Oświetlała ona kilka potężnych postaci odzianych w najrozmaitsze zbroje, usadowionych przy kwadratowym, dobrze umocowanym stole. Wszystkie twarze zwróciły się ku wchodzącym. Jasnowłosy wojownik oznajmił:

— Oto on.

Człowiek siedzący w najdalszym kącie kajuty, całkowicie ukryty w panującym tam cieniu, skinął głową i potwierdził.

— Tak. To on.

— Znasz mnie, panie? — spytał Elryk, zajmując miejsce na końcu ławy i zdej-

mując przemoczony skórzany płaszcz. Siedzący najbliżej wojownik podał przybyłemu metalowy kubek pełen grzanego wina, który Elryk przyjął z wdzięcznością. Sączył korzenny płyn, zdumiewając się, jak szybko ogarnia go fala ciepła.

— W pewnym sensie — odparł człowiek z cienia. W jego głosie słychać było ironię, choć także dawało się rozróżnić echa melancholii. Elryk nie poczuł urazy, gdyż pobrzmiwająca w głosie mężczyzny gorycz zdawała się skierowana bardziej ku mówiącemu niż jego rozmówcom.

Jasnowłosa wojownik usadowił się naprzeciw Elryka.

— Jestem Brut — powiedział. — Przybyłem tu z Lashmar, gdzie moja rodzina zapewne wciąż posiada ziemie, chociaż wiele lat minęło, odkąd byłem tam po raz ostatni.

— A więc mieszkałeś w jednym z Młodych Królestw? — spytał Elryk.

— Tak. Kiedyś.

— Czy ten statek nie pływa w okolicy tych ziem?

— O ile wiem, to nie — odparł Brut. — Sam niezbyt dawno wszedłem na pokład. Poszukiwałem Tanelorn, a znalazłem ten żaglowiec.

— Tanelorn? — uśmiechnął się Elryk. — Jakże wielu musi dążyć do tego mitycznego miejsca. Czy słyszałeś o człowieku imieniem Rackhir? Niegdyś był Wojownikiem-Kapłanem z Phum. Podróżowaliśmy trochę razem, całkiem niedawno. Opuścił mnie, by szukać Tanelorn.

— Nie znam go — pokręcił przecząco głową Brut z Lashmar.

— A te wody — spytał Elryk. — Czy leżą daleko od Młodych Królestw?

— Bardzo daleko — odezwał się człowiek z cienia.

— Czy pochodzisz może z Elwheru? — spytał Elryk. — Albo z krain, które my na zachodzie nazywamy Niezaznaczonymi Królestwami?

— Większość naszych ziem nie jest naniesiona na wasze mapy — odparł nieznamy i zaśmiał się. Elryk znowu odkrył, że nie poczuł się urażony. Nie przeszkadzała mu też tajemniczość obcego. Najemnicy (bo nimi prawdopodobnie byli ci mężczyźni) lubili sypać żartami i robić zrozumiałe tylko dla siebie aluzje; prawdopodobnie nic poza tym ich nie łączyło, oprócz oczywiście gotowości do ofiarowania swych zbrojnych usług każdemu, kto mógł zapłacić.

Na pokładzie wciągano kotwicę. Statek przechylił się na burtę. Elryk usłyszał skrzypienie opuszczanej rei i łopot rozwijanego żagla. Zastanawiał się, jak żaglowiec może wypłynąć z zatoki przy tak nędznym wietrze. Zauważył, że gdy tylko statek zaczął się poruszać, na twarzach wojowników (przynajmniej tych, które mógł dostrzec) pojawił się wyraz determinacji. Patrząc na skamieniałe, nieustępliwe rysy, zastanowił się, czy to samo maluje się i na jego obliczu.

— Dokąd płyniemy? — spytał.

Brut wzruszył ramionami.

— Wiem tylko, że zatrzymaliśmy się, aby poczekać na ciebie, Elryku z Mel-niboné.

— Wiedzieliście, że tu będę?

Siedzący w cieniu człowiek poruszył się i nalał sobie grzanego wina z dzbanka stojącego na środku stołu.

— Byłeś ostatnim, którego potrzebowaliśmy — powiedział. — Ja wszedłem na pokład jako pierwszy. Jak dotąd nie pożałowałem tej decyzji.

— Jak brzmi twoje imię, panie? — Elryk miał już dość swojej szczególnej, niezbyt korzystnej sytuacji.

— Och, imiona, imiona. Miałem ich tak wiele. Moim ulubionym jest Erekosë. Ale nazywano mnie także Urlik Skarsol, John Daker oraz Ilian z Garathorm, o ile dobrze pamiętam. Niektórzy utożsamiają mnie też z Elrykiem Zabójcą Kobiet. . .

— Zabójca Kobiet? Nieprzyjemny przydomek. Kim jest ten drugi Elryk?

— Na to nie mogę dać pełnej odpowiedzi — odparł Erekosë. — Ale wydaje się, że dzielę imię z więcej niż jednym człowiekiem na tym statku. Podobnie jak Brut szukałem Tanelorn, a znalazłem się tutaj.

— To wspólna cecha nas wszystkich — odezwał się inny. Był to ciemnoskóry wojownik, najwyższy w kompanii, o rysach dziwnie zniekształconych blizną w kształcie odwróconej litery V, biegnącą od czoła, nad obojgiem oczu, przez policzki aż do szczęki. — Przebywałem w miejscu zwanym Ghaja-Ki. Paskudna, bagnista kraina, pełna zepsucia i chorób. Słyszałem niegdyś o znajdującym się tam mieście i pomyślałem, że może to być Tanelorn. Ale nie. Zamieszkiwały je błękitne, hermafrodytyczne istoty, które uznały, że pod względem płci i koloru skóry odbiegam od normy, więc postanowiły mnie wyleczyć. Blizna, którą widzisz, jest ich dziełem. Ból towarzyszący operacji dodał mi sił do ucieczki. Pobiegłem nagi na bagna. Brnąłem przez nie wiele kilometrów, póki nie stały się jeziorem zasilającym w wodę szeroką rzekę. Żyjące tam chmary owadów zachłannie rzuciły się na mnie. Wówczas pojawił się ten statek, a ja, więcej niż z ulgą, przyjąłem ofiarowane mi schronienie. Jestem Otto Blendker, niegdyś uczony z Brunse, teraz, za moje grzechy, najemny żołnierz.

— A to Brunse — zapytał Elryk. — Czy leży w pobliżu Elwher? — Nigdy nie słyszał o takim miejscu. Nawet nie obija mu się o uszy podobna nazwa, zbyt obco brzmiąca jak na Młode Królestwa.

Czarny mężczyzna potrząsnął głową.

— Nic nie wiem o Elwher.

— A więc świat jest o wiele większy, niż to sobie wyobrażałem — stwierdził Elryk.

— Zaiste tak jest — powiedział Erekosë. — Czy zgodziłbyś się z poglądem, że morze, po którym żeglujemy, otacza więcej niż tylko jeden świat?

— Byłbym skłonny w to uwierzyć — uśmiechnął się Elryk. — Studiowałem takie teorie. Co więcej, doświadczałem przygód w świecie innym niż mój własny.

— Miło mi to słyszeć — rzekł Erekosë. — Nie wszyscy na tym statku chcą przyjąć moją teorię.

— Myślę, że wkrótce ją zaakceptuję — powiedział Otto Blendker. — Chociaż uważam, że jest przerażająca.

— To prawda — zgodził się Erekosë. — Nawet bardziej, niż mógłbyś sobie to wyobrazić, Otto, przyjacielu.

Elryk sięgnął przez stół i nalał sobie kolejny kubek wina. Jego ubranie zdążyło już podeschnąć. Albinos czuł, jak ogarnia go błogie rozleniwienie.

— Będę szczęśliwy, gdy opuścimy ten zamglony brzeg.

— Już go mamy za sobą — rzekł Brut — ale jeżeli chodzi o mgłę, to ona nigdy nas nie opuszcza. Wydaje się, że zawsze podąża za statkiem, a może to on sam wytwarza opary gdziekolwiek się znajduje. Rzadko kiedy zdarza nam się widzieć ład, a jeżeli już, to zazwyczaj jest on zamglony, niczym odbicie w matowej, powyginanej tarczy.

— Żeglujemy po nadnaturalnych morzach — powiedział inny, wyciągając okrytą rękawicą dłoń po dzbanek. Elryk przysunął mu wino. — W Hasghan, skąd pochodzę, krąży legenda o Zaczarowanym Morzu. Jeżeli jakiś marynarz wypłynie na te wody, może już nigdy nie powrócić i zagubić się w wieczności.

— Obawiam się, że w tej opowieści jest trochę prawdy, Terndriku z Hasghan — odezwał się Brut.

— Ilu wojowników znajduje się na pokładzie? — spytał Elryk.

— Szesnastu, poza Czterema — odparł Erekosë. — W sumie dwudziestu. Nie licząc sternika — no i Kapitana. Nie wątpię, że wkrótce go spotkasz.

— Czterej? Kim oni są?

Erekosë zaśmiał się.

— Ty i ja jesteśmy jedynymi z nich. Pozostała dwójka zajmuje kajutę na rufie. A jeżeli chciałbyś wiedzieć, dlaczego nazywani jesteśmy Czterema, musisz spytać się Kapitana, chociaż powinienem cię ostrzec, że jego odpowiedzi rzadko bywają satysfakcjonujące.

Elryk zdał sobie sprawę, że zsuwa się lekko na jedną stronę.

— Statek osiąga niezłą prędkość — stwierdził lakonicznie — biorąc pod uwagę siłę wiatru.

— Wręcz wspaniałą — zgodził się Erekosë. Powstał ze swego kąta. Był szerokim w ramionach mężczyzną, z którego przystojnej twarzy, choć noszącej oznaki sporego doświadczenia, nie dawało się wyczytać wieku. Z pewnością natknął się w życiu na wiele przeciwieństw losu, jako że jego głowę i ręce znaczyły liczne, chociaż nie zniekształcające blizny. Koloru jego głęboko osadzonych, ciemnych oczu też nie można było jednoznacznie określić, a jednak te wydały się Elrykowi znajome. Pomyślał, że może widział kiedyś takie oczy we śnie.

— Czy my się kiedyś spotkaliśmy? — spytał Melnibonéanin.

— Och, możliwe — albo dopiero to nastąpi. Co za różnica? Mamy identyczne przeznaczenie. Możliwe też, że łączy nas coś więcej.

— Więcej? Chyba nie zrozumiałem pierwszej części twojej wypowiedzi.

— To bardzo dobrze — odparł Erekosë, przedzierając się wśród towarzyszy i przechodząc na drugą stronę stołu. Położył na ramieniu Elryka zdumiewająco delikatną rękę. — Chodź, musimy postarać się o audiencję u Kapitana. Wyraził życzenie widzenia się z tobą, skoro tylko dołączysz do nas.

Elryk skinął głową i powstał.

— A jakie jest imię kapitana? — spytał.

— Nie ma takiego, które mógłby nam wyjawić — odparł Erekosë. Obaj wyszli na pokład. Mgła stała się jakby gęstsza; trupio blada, jako że nie oświetlały jej już promienie słońca. Przesłaniała przed wzrokiem patrzących nawet dziób i rufę statku i pomimo że najwyraźniej poruszali się w dużą prędkością, nie wyczuwało się najsłabszego podmuchu wiatru. Było jednak cieplej, niż się Elryk spodziewał. Podążył za Erekosë na dziób, do kajuty pod kasztelem, na którym stało jedno z dwóch bliźniaczych kół sterowych statku. Obsługiwał je wysoki mężczyzna w sztormiaku i wąskich spodniach z pikowanej jeleniej skóry, stojący tak nieruchomo, że wyglądał niemalże jak posąg. Czerwonowłosy sternik nie odwrócił wzroku, gdy dwaj mężczyźni podchodzili do kajuty, ale Elrykowi udało się zerknąć na jego twarz.

Drzwi wyglądały na wykonane z jakiegoś gładkiego metalu. Ich połysk przywodził na myśl wypielęgnowaną sierść zwierzęcia. Miały czerwobrazowe zabarwienie i były najbardziej kolorową rzeczą, jaką Elryk dotychczas widział na statku. Erekosë delikatnie zapukał.

— Kapitanie — powiedział. — Elryk jest tutaj.

— Wejść — odezwał się głos jednocześnie dźwięczny i odległy.

Drzwi się otworzyły. Wypełniające je różowe światło na moment oślepiło Elryka. Gdy jego oczy już przywykły do jasności, spostrzegł bardzo wysokiego, bladego mężczyznę stojącego na bogato barwionym dywanie, leżącym na środku kajuty. Elryk usłyszał odgłos zamykanych drzwi i zdał sobie sprawę, że Erekosë nie wszedł za nim do środka.

— Czy czujesz się orzeźwiony, Elryku? — spytał Kapitan.

— Tak, panie, dzięki twemu winu.

Rysy Kapitana nie były bardziej ludzkie niż rysy Elryka. Jego twarz wyglądała na delikatniejszą i silniejszą niż twarze Melnibonéan, ale przypominała je tym, że oczy w niej osadzone zwięzały się spiczasto, podobnie zresztą jak podbródek. Długie włosy Kapitana opadały na ramiona czerwono-złotymi falami, podtrzymywane przez opaskę z błękitnego nefrytu. Odziany był w płowóżółtą tunikę i pończochy, a na nogach miał srebrne sandały opasujące rzemykami łydki. Poza ubraniem, Kapitan był bliźniaczo podobny do widzianego przed momentem sternika.

— Czy zechciałbyś się napić jeszcze wina?

Kapitan podszedł do skrzyni, która stała w oddalonym krańcu kajuty, w pobliżu zamkniętego bulaja.

— Dziękuję — odparł Elryk i w tym momencie zdał sobie sprawę, czemu Kapitan nawet nie spojrział na niego. Był ślepcem. Chociaż poruszał się zręcznie i pewnie, najwyraźniej nic nie widział. Nalał wina ze srebrnego dzbanka do takiegoż kubka i zbliżał się do Elryka, trzymając napój w wyciągniętych dłoniach. Elryk podszedł i przyjął kubek z jego rąk.

— Jestem wdzięczny, że zdecydowałaś się do nas przyłączyć — rzekł Kapitan. — Przyjąłem to z ulgą.

— Jesteś, panie, bardzo uprzejmy — odparł Elryk. — Ale muszę dodać, że niezbyt trudno było mi podjąć tę decyzję. I tak nie miałem dokąd iść.

— Rozumiem to. Dlatego właśnie przybyliśmy do brzegu w odpowiednim miejscu i momencie. Wkrótce dowiesz się, że wszyscy twoi nowi towarzysze znajdowali się w podobnej sytuacji, nim weszli na pokład.

— Wydajesz się dużo wiedzieć o działaniach wielu ludzi — stwierdził Elryk. Nadal trzymał w dłoniach kubek wina, lecz nie pił z niego jeszcze.

— O wielu — zgodził się Kapitan. — I na wielu światach. Jak zrozumiałem, jesteś osobą wysokiej kultury, panie, dlatego myślę, że łatwo ci będzie pojąć naturę wód, po których porusza się ten statek.

— Tak mi się zdaje.

— Łódź ta żegluje zazwyczaj pomiędzy światami — a ściślej biorąc, pomiędzy różnymi płaszczyznami tego samego świata. — Kapitan zawahał się, odwracając niewidomą twarz od Elryka. — Nie myśl, proszę, że wyrażam się tak niejasno, by zamącić ci w głowie. Są sprawy, których nie rozumiem, a innych nie mogę całkowicie ujawnić. Zaufano mi w tym względzie i mam nadzieję, że będziesz w stanie to uszanować.

— Jak dotąd nie miałem powodu, aby postąpić inaczej — odparł albinos i pociągnął łyk wina.

— Jestem otoczony doborową kompanią — rzekł Kapitan. — Mam nadzieję, że będziesz uważał za słuszne obdarzać mnie zaufaniem i wówczas, gdy osiągniemy cel naszej podróży.

— A co nim jest, Kapitanie?

— Wyspa leżąca na tych wodach.

— To musi być rzadkość.

— Zaiste tak jest. Niegdyś była nie zamieszкана i nie znana tym, których musimy uważać za naszych wrogów. Teraz, gdy ją znaleźli i zdali sobie sprawę z jej mocy, jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie.

— My? Masz na myśli swą rasę czy tych, którzy są na statku?

Kapitan uśmiechnął się.

— Jestem jedynym przedstawicielem swojej rasy. Mówię, jak przypuszczam, o całej ludzkości.

— A więc ci wrogowie nie są ludźmi?

— Nie. Ich dzieje ściśle wiążą się z losami ludzi, ale fakt ten nie wzbudził w nich poczucia lojalności względem nas. Słowa „ludzkość” użyłem oczywiście w szerszym znaczeniu, aby odnosiło się ono także do nas obu.

— Zrozumiałem — odparł Elryk. — Jak zowią ten lud?

— Mają wiele imion — odrzekł Kapitan. — Wybacz, ale nie mogę poświęcić ci teraz więcej czasu. Jeżeli przygotujesz się do bitwy, zapewniam cię, że wyjawię więcej, skoro tylko nadejdzie odpowiednia chwila.

Dopiero gdy Elryk ponownie stanął na zewnątrz czerwobrazowych drzwi i ujrzał zbliżającego się we mgle Erekosë, zastanowił się, czy Kapitan rzucił nań urok tak, by stracił zdrowy rozsądek. A jednak niewidomy mężczyzna zrobił na nim wrażenie. Poza tym nie miał nic lepszego do roboty niż żeglować ku nieznannej wyspie. Zawsze mógłby zmienić decyzję, gdyby doszedł do wniosku, że trudno mu uznać jej mieszkańców za swoich wrogów.

— Czy rozwiały się twoje wątpliwości, Elryku? — spytał Erekosë z uśmiechem.

— Część tak, ale powstały nowe — odparł Elryk. — Z jakiegoś jednak powodu niezbyt się tym martwię.

— A więc dzielisz odczucia całej kompanii — stwierdził Erekosë.

I dopiero gdy przewodnik wprowadził go do kajuty leżącej za masztem, Elryk zdał sobie sprawę, że nie zapytał Kapitana, kim właściwie są Czterej.

Rozdział 3

Kabina rufowa wyglądała niemalże jak zwierciadlane odbicie dziobowej. Tutaj także siedziało około tuzina mężczyzn. Sądząc po rysach i odzieży wszyscy byli doświadczonymi najemnikami. Dwaj zajmowali miejsce pośrodku najbliższej sterburty krawędzi stołu. Jeden z nich miał odkrytą głowę, jasne włosy i zatroskany wyraz twarzy, drugi wyglądem przypominał Elryka. Na jego prawej dłoni lśniła ciężka, srebrna rękawica, na lewej zaś nie miał żadnych ozdób. Odziany był w delikatną, zamorską zbroję. Spojrzał na wchodzącego Melnibonéanina i błysk rozpoznania pojawił się w jego jedynym oku (drugie przysłonięte było brokatową przepaską).

— Elryk z Melniboné! — wykrzyknął. — Moje teorie nabierają większego znaczenia! — Odwrócił się do swego towarzysza. — Widzisz, Hawkmoon, oto ten, o którym mówiłem.

— Znasz mnie, panie? — Elryk był zakłopotany.

— Czy nie poznajesz mnie, Elryku. Musisz! W Wieży Voilodion Ghagnasdiak? Z Erekosë — chociaż innym niż ten tu.

— Nie wiem, co to za wieża. Nie słyszałem nigdy nawet podobnej nazwy, a Erekosë dzisiaj ujrzałem po raz pierwszy. Znasz mnie i moje imię, panie, ale ja sobie ciebie nie przypominam. To bardzo niepokojące.

— Ja także nie spotkałem Księcia Coruma, zanim wszedłem na pokład — odezwał się Erekosë. — Jednak on upiera się, że kiedyś walczyliśmy razem. Jestem skłonny mu uwierzyć. Czas na różnych płaszczyznach nie zawsze biegnie równoległe. Księżę Corum równie dobrze mógłby istnieć w wymiarze, który my nazwalibyśmy przyszłością.

— Miałem nadzieję, że chociaż tu znajdę wytchnienie od takich paradoksów — powiedział Hawkmoon, przeciągając ręką po twarzy. Uśmiechnął się blado. — Wydaje się jednak, że obecny moment historii naszych płaszczyzn sprzyja powstawaniu podobnych dylematów. Wszystko jest płynne i chyba nawet nasza tożsamość może się w każdej chwili zmienić.

— Byliśmy Trzema — powiedział Corum. — Czy pamiętasz to, Elryku? Trzema, Którzy Są Jednością.

Elryk pokręcił przecząco głową.

Corum wzruszył ramionami i powiedział z cicha do siebie: — No cóż, teraz jesteśmy Czterema. Czy Kapitan powiedział ci coś o wyspie, którą mamy podbić?

— Owszem — odparł Elryk. — Wiecie może, kim mogą być ci wrogowie?

— Znamy równie mało faktów, co ty, Elryku — rzekł Hawkmoon. — Ja poszukuję miejsca zwanego Tanelorn i dwójki dzieci. Możliwe, że także Magicznej Laski. Nie jestem pewien.

— Znaleźliśmy ją kiedyś — odezwał się Corum. — My trzej. W Wieży Volodion Ghagnasdiak. Była dla nas nieocenioną pomocą.

— Mnie też mogłaby się przydać — odparł Hawkmoon. — Niegdyś jej służyłem. Poświęciłem jej bardzo wiele.

— Wiele nas łączy — wtrącił Erekosë — jak ci to już mówiłem, Elryku. Może mamy też wspólnych władców?

Elryk wzruszył ramionami.

— Ja służę tylko sobie.

Zdumiał się, czemu wszystkie twarze rozjaśniły się jednocześnie dziwnym uśmiechem.

Erekosë rzekł cicho:

— Na wyprawach takich jak ta, można sporo zapomnieć, i to równie łatwo jak sen.

— To *jest sen* — powiedział Hawkmoon. — Ostatnio śniło mi się wiele podobnych.

— Wszystko można nazwać sennym widzeniem — odezwał się Corum. — Całe nasze istnienie.

Elryka nie interesowały podobne filozoficzne rozważania.

— Nic jednak nie zastąpi doświadczenia, prawda?

— Istotnie — powiedział Erekosë z nikłym uśmiechem.

Rozmawiali jeszcze godzinę lub dwie, aż wreszcie Corum przeciągnął się, ziewnął i stwierdził, że robi się śpiący. Wówczas pozostali również zauważyli, że są zmęczeni i wyszli z kajuty, kierując się na rufę, pod pokład, gdzie znajdowały się koje dla wojowników. Elryk rzekł do Bruta z Lashmar, wdrapującego się na koję nad nim:

— Dobrze byłoby wiedzieć, kiedy rozpocznie się walka.

Brut spojrział w dół, ponad krawędzią koi, na leżącego na brzuchu albinosa i odparł:

— Myślę, że wkrótce.

Elryk stał samotnie na pokładzie, opierając się o reling i starając dostrzec morze; lecz ono, podobnie jak reszta świata, spowite było białą bezkształtną mgłą. Melnibonéanin zastanowił się, czy pod kilem statku w ogóle znajduje się woda.

Spojrzał w górę na napięty, wydęty ciepłym, silnym wiatrem żagiel. Było jasno, ale znów w żaden sposób nie mógł określić pory dnia. Zmieszany opowiadaniem Księcia Coruma o wcześniejszym spotkaniu, Elryk zastanawiał się, czy miał już w swym życiu sny takie jak ten; sny, które całkowicie zapomniał po przebudzeniu. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę z bezużyteczności podobnych spekulacji i pogрузzył się w rozmyślaniach na inne tematy. Zastanowił się mianowicie się nad pochodzeniem Kapitana i jego tajemniczego statku, który żeglował po równie dziwnym oceanie.

— Kapitan — odezwał się Hawkmoon, a Elryk się odwrócił, aby powitać wysokiego, jasnowłosego mężczyznę o czole zniekształconym regularną blizną — życzy sobie widzieć naszą czwórkę w swojej kajucie.

Pozostali dwaj wyłonili się z mgły i wspólnie poszli na dziób, gdzie zapukali w czerwono-brązowe drzwi i natychmiast zostali dopuszczeni przed oblicze ślepego Kapitana, który już przygotował na ich powitanie cztery srebrne kubki napełnione winem. Wskazał gestem wielką skrzynię, na której stał napój.

— Proszę, częstujcie się, przyjaciele.

Uczynili tak, po czym stanęli z kubkami w dłoniach: czterej wysocy, ścigani przez przeznaczenie wojownicy, każdy o uderzająco odmiennym wyglądzie, lecz wszyscy noszący swoiste piętno, które stanowiło o ich podobieństwie. Elryk spostrzegł to, mimo że był jednym z nich i starał się przypomnieć sobie, o czym właściwie mówił Corum poprzedniego wieczoru.

— Zbliżamy się do punktu przeznaczenia — rzekł Kapitan. — Niebawem zejdziemy na ląd. Nie wydaje mi się, aby nasi wrogowie spodziewali się nas, ale i tak nie będzie łatwo pokonać tych dwoje.

— Dwoje? — spytał Hawkmoon. — Tylko tyłu?

— Tak — uśmiechnął się Kapitan. — Brata i siostrę. Czarowników z zupełnie innego wszechświata. Jako że materia naszych światów uległa niedawno rozerwaniu — o czym wie coś Hawkmoon, i ty też, Corumie — pewne istoty mogły się tu przedostać i wzrosnąć w siłę, czego w inny sposób nie udałoby im się osiągnąć. A posiadając nieprzeciętną moc, dążą do zdobycia jeszcze większej, a nawet całej mocy, która jest w naszym wszechświecie. Istoty te są amoralne w zupełnie inny sposób niż Władcy Prawa i Chaosu. Nie walczą o władzę nad Ziemią — tak jak ci bogowie. One chcą pochłonąć całą energię naszego świata i obrócić ją na własną korzyść. Zapewne z jej pomocą będą mogły osiągnąć cel, do którego dążą w swoim wszechświecie, jakikolwiek by on był. Jak na razie, mimo że znajdują się w bardzo korzystnej sytuacji, nie udało im się zgromadzić dostatecznych sił, ale ich czas jest już bardzo bliski. Nad Agakiem i Gagak — bo tak brzmią ich imiona w ludzkim języku — nasi bogowie nie mają żadnej władzy, więc została powołana potężniejsza kompania — wy sami. Przedwieczny Mistrz w czterech ze swych wcieleń (czwórka jest największą liczbą, którą możemy zaryzykować bez niepożądanego naruszenia struktury płaszczyzn naszego świata) — Erekosë, El-

ryk, Corum i Hawkmoon. Każdy z was będzie dowodził czterema innymi, których losy związane są z waszymi. Oni również są wielkimi wojownikami, chociaż nie pod każdym; względem dzielą wasze przeznaczenie. Możecie sami, wybrać czwórkę, którą chcecie mieć pod swym dowództwem. Myślę, że łatwo będzie teraz wam się zdecydować. Wkrótce dobijemy do brzegu.

— Czy poprowadzisz nas? — spytał Hawkmoon.

— Nie. Mogę jedynie zawieźć was na wyspę i czekać na J powrót tych, którzy przeżyją — jeżeli ktokolwiek ujdzie cało. ś

Elryk zmarszczył brwi.

— Nie wydaje mi się, aby to była moja walka — powiedział.

— Jest twoja — odparł Kapitan z powagą. — Moja także. J Zszedłbym na ląd wraz z wami, gdyby było to mi dozwolone. Ale nie jest.

— Dlaczego? — spytał Corum.

— Dowiedcie się pewnego dnia. Nie mam dość odwagi, by powiedzieć wam to teraz. Zapewniam jednak, że mam względem was jedynie przyjazne uczucia.

Erekosë potarł ręką podbródek.

— No cóż, skoro moim przeznaczeniem jest walka podobnie jak Hawkmoon szukam Tanelorn, i jeżeli nam się powiedzie, zbliżę się do swego celu, zgadzam się wystąpić przeciwko tej dwójce, Agakowi i Gagak.

Hawkmoon skinął głową.

— Pójdę z Erekosë z podobnych powodów.

— I ja — dodał Corum.

— Nie tak dawno temu — odezwał się Elryk — uważałem się za człowieka pozbawionego towarzyszy. Teraz znajduję się wśród przyjaciół. Z tej to przyczyny stanę do walki u ich boku.

— Jest to prawdopodobnie najlepsza przyczyna — powiedział z aprobatą Erekosë.

— Niestety, wasz wysiłek nie zostanie w żaden sposób nagrodzony. Mogę was jedynie zapewnić, że jeżeli zwyciężycie, oszczędzi to światu wielu cierpień — rzekł Kapitan. — Ciebie zaś, Elryku, nie spotka nawet nagroda taka, jakiej mogą się spodziewać dla siebie pozostali.

— Być może jednak odniosę jakąś korzyść z tej wyprawy — powiedział Elryk.

— Możliwe. — Kapitan wskazał gestem na dzbanek z trunkiem. — Jeszcze wina, przyjaciele?

Wszyscy przyjęli poczęstunek, a Kapitan mówił dalej, ze ślepa twarzą uniesioną ku sklepieniu kajuty.

— Na wyspie są ruiny — może kiedyś znajdowało się tu miasto zwane Tanelorn — a w ich centrum stoi jeden nie zniszczony budynek. Tam właśnie zamieszkują Agak i jego siostra. W tym miejscu musicie ich zaatakować. Mam nadzieję, że rozpoznacie go natychmiast.

— I musimy zgładzić tę parę? — spytał Erekosë.

— Jeżeli tylko wam się uda. Będą mieli sługi do pomocy. Ich także trzeba zabić. Potem budynek musi zostać spalony. To bardzo ważne — Kapitan przerwał na moment. — Spalony. Nie może być zniszczony w żaden inny sposób.

Elryk uśmiechnął się blado.

— Nie ma zbyt wielu innych metod rujnowania budynków, panie Kapitanie.

Kapitan odwzajemnił uśmiech i skłonił lekko głowę.

— To prawda. Jednakże warto zapamiętać to, co powiedziałem.

— Czy wiadomo jak wyglądają ci dwoje, Agak i Gagak? — spytał Corum.

— Nie. Możliwe, że wyglądem przypominają istoty z naszego świata, ale niekoniecznie. Niewielu ich widziało. Dopiero ostatnio udało im się w ogóle zmaterializować.

— A jak najlepiej można ich pokonać? — spytał Hawkmoon.

— Odwagą i sprytem — odparł Kapitan.

— Nie wypowiadasz się zbyt jasno, panie — powiedział Elryk.

— Mówię to, co mogę. A teraz, przyjaciele, proponuję, żebyście odpoczęli i przygotowali broń.

Gdy wracali do swych kajut, Erekosë westchnął.

— Rządzi nami ślepy los — powiedział. — Nie pozostawiono nam zbyt wiele wolnej woli, a mimo to nadal oszukujemy się sądząc, że jest inaczej. Czy zginiemy czy przeżyjemy w tej wyprawie, nie będzie to się zbytnio liczyć w ogólnym biegu rzeczy.

— Chyba ogarnęła cię chandra, przyjacielu — odezwał się Hawkmoon.

Mgła wiła się między salingami masztu, snując się po olinowaniu i zalewając powodzią pokład. Zastłaniała twarze towarzyszy przed wzrokiem Elryka.

— Albo zacząłeś zbyt realistycznie patrzeć na świat — dopowiedział Corum.

Mgła na pokładzie zgęstniała, spowijając mężczyzn niczym całun. Deski poszycia skrzypiały, brzmiąc w uszach Elryka jak krakanie kruka. Zrobiło się zimniej. W milczeniu weszli do kajut, by sprawdzić zaczepy i sprzączki przy zbrojach, wypolerować i naostrzyć broń oraz bezskutecznie próbować zasnąć.

— Och, nie lubię magii — powiedział Brut z Lashmar, gładząc swą złotą brodę. — To ona sprowadziła mnie tak nisko.

Elryk powtórzył mu właśnie to, co usłyszał od Kapitana i poprosił Bruta, aby był jednym z podległej mu czwórki, gdy już wylądują.

— Wszystko jest magią — odparł Otto Blendker. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Melnibonéanina. — Będę walczył u twego boku, Elryku.

Zbroja koloru akwamaryny zamigotała lekko w świetle latarni i podniósł się kolejny mężczyzna, w hełmie z podniesioną przyłbicą. Twarz miał niemal równie bladą jak Melnibonéanin, lecz oczy głębokie i prawie czarne. Był to Hown Zaklinacz Węży.

— I ja — powiedział Hown — chociaż obawiam się, że nie ma ze mnie zbyt dużego pożytku na lądzie.

Ostatni pod pytającym wzrokiem Elryka powstał wojownik, który niewiele się jak dotąd odzywał, a gdy już coś mówił, to głosem niskim i pełnym wahania. Na głowie miał zwykły szyszak, spod którego wystawały rude włosy uczesane w warkoczyki. Przy końcu splotów przywiązane były kości palców, grzechoczące o naramienniki przy każdym ruchu. Był to Ashnar zwany Rysiem. W jego oczach rzadko gościło uczucie łagodniejsze od zawziętości.

— Brak mi manier i umiejętności wygłaszania mów — odezwał się Ashnar. — Nie znam się też na czarnoksiężstwie ani na innych rzeczach, o których tu słyszałem. Jestem jednak dobrym żołnierzem i raduje mnie walka. Wstąpię pod twe rozkazy, jeśli zechcesz, Elryku.

— Oczywiście — odparł Elryk.

— Wydaje się, że nie ma o czym dyskutować — powiedział Erekosë do czwórki, która oddała się pod jego dowództwo. — Wszystko to jest bez wątpienia ustalone z góry. Nasze przeznaczenia od początku są ze sobą związane.

— Taka filozofia może prowadzić do niezdrowego fatalizmu — odezwał się Terndrik z Hasghan. — Najlepiej wierzyć, że nasz los zależy od nas samych, nawet jeżeli wszystko zdaje się temu przeczyć.

— Możesz sobie wierzyć, w co chcesz — rzekł Erekosë. — Przeżyłem już wiele wcieleń, chociaż wszystkie, prócz jednego, ledwie pamiętam. — Wzruszył ramionami. — Ale przypuszczam, że i ja oszukuję siebie marzeniem odnalezienia Tanelorn i ponownego zjednoczenia się z tą, której szukam. Jednak to marzenie dodaje mi sił, Tendriku.

Elryk uśmiechnął się.

— Ja, jak myślę, walczę, bo znajduję satysfakcję w braterstwie broni. Już to samo w sobie świadczy o tym, w jak godnym pożałowania stanie się znalazłem, prawda?

— Tak — Erekosë zerknął na podłogę. — No cóż, spróbujmy teraz odpocząć.

Rozdział 4

Brzeg był zamglony. Żeglarze przedzierali się przez spienioną wodę i białą mgłę, trzymając miecze wzniesione wysoko ponad głowami. Były one ich jedyną bronią. Każdy z Czterech miał w ręku oręż niezwykłych rozmiarów i kunsztownej ornamentacji, ale żaden z nich nie mruczał do siebie od czasu do czasu, jak to czynił Zwiastun Burzy, miecz Elryka. Zerkając do tyłu Melnibonéanin ujrzał Kapitana stojącego przy relingu. Niewidoma twarz zwrócona była ku wyspie. Błede wargi poruszały się, jak gdyby mężczyzna coś do siebie szeptał. Woda teraz sięgała im już do pasa. Piasek pod nogami Elryka stwardniał i stał się litą skałą. Parli dalej, zmęczeni, gotowi stawić czoło obrońcom wyspy, kimkolwiek by oni byli. Mgła poczęła się rozwiewać, jak gdyby nie miała żadnej mocy nad stałym lądem. Spodziewany atak nadal nie następował.

Wszyscy mężczyźni mieli zatknięte za pas pochodnie, których końce owinięte były nasiąkniętymi oliwą szmatami tak, aby nie zamokły, zanim nadejdzie czas ich zapalenia. Każdy z nich miał, również w wiszącej u pasa sakiewce, puzderko z tłącą się hubką, która miała posłużyć do rozniecenia płomienia.

— Tylko ogień może całkowicie zniszczyć naszych wrogów — powtórzył Kapitan, wręczając im pochodnie i puzderka.

Rozwiewająca się mgła odsłoniła krajobraz pełen mrocznych cieni. Rozciągały się one nad czerwonymi skałami i żółtą roślinnością, przybierając kształty i rozmiary najrozmaitszych przedmiotów. Wydawało się, że zjawiska te powstają dzięki jaśniejącemu nad wyspą w wiecznym zenicie purpurowemu słońcu. Najdziwniejsze jednak było to, że nie miały one żadnego widocznego źródła. Mogące je rzucać przedmioty były pewnie niewidzialne, a może w ogóle nie znajdowały się na wyspie. Niebo także zdawało się pełne cieni. O ile jednak te na ziemi były nieruchome, to te wśród chmur co jakiś czas się poruszały wraz z chmurami gnanymi wiatrem. Przez cały ten czas krwawe słońce zalewało wyspę czerwonym blaskiem, roztaczając swą niesamowitą poświatę wokół dwudziestki mężczyzn.

Kilkakrotnie również, gdy posuwali się ostrożnie w głąb wyspy, powietrze rozbłyskiwało nagle krótkim, migoczącym światłem, a kontury przedmiotów na moment się rozmywały, po czym wszystko wracało do normy. Elryk podejrzewał,

że to tylko złudzenie optyczne i nie odzywał się, póki Hown Zaklinacz Węży (który wciąż miał kłopoty z poruszaniem się po ziemi) nie przemówił głośno:

— Co prawda z rzadka tylko schodziłem na ląd, ale wydaje mi się, że nie trafiłem dotychczas do krainy dziwniejszej niż ta. Cały czas wszystko dokoła drga i migocze.

Kilka osób zgodziło się z Hownem.

— Skąd mogą pochodzić te cienie — przesądny Ashnar zwany Rysiem rozjeździł się wokół, nie skrywając niepokoju. — Dlaczego nie widzimy rzeczy, które je rzucają?

— Możliwe — odezwał się Corum — że przedmioty te istnieją na innych płaszczyznach naszego świata. Jeżeli na tej wyspie rzeczywiście, jak to nam zasugerowano, przecinają się rozmaite wymiary, to jest to zupełnie prawdopodobne wyjaśnienie. — Przytknął srebrną rękę do haftowanej przepaski na oku. — Stykałem się już z dziwniejszymi przykładami podobnego przenikania.

— Prawdopodobne? — prychnął Otto Blendker. — Obym więc nie musiał usłyszeć nieprawdopodobnego wyjaśnienia.

Przedzierali się przez mrok i upiorne światło, aż wreszcie dotarli na peryferie osady.

Te ruiny, pomyślał Elryk, przypominają senne miasto Ameeron, do którego dotarłem w poszukiwaniu Czarnego Miecza. Są jednak jeszcze rozleglejsze — wyglądają raczej jak skupisko mniejszych miast, z których każde zbudowano w diametralnie odmiennym stylu.

— Może to właśnie jest Tanelorn — powiedział Corum, który widział już to miejsce. — Albo raczej ucieleśnienie wszystkich istniejących na jego temat wyobrażeń. Tanelorn bowiem istnieje w wielu formach, a każda zależna jest od oczekiwań tych, którzy najusilniej pragną je znaleźć.

— Nie takiego Tanelorn szukałem — odezwał się z goryczą w głosie Hawkmoon.

— Ani ja — dodał głucho Erekosë.

— Może to nie jest Tanelorn — powiedział Elryk.

— Przypomina to raczej cmentarz, na którym spoczywają wszelkie zapomniane już opinie na temat tego dziwnego grodu — odezwał się Corum w zamyśleniu, mrużąc swe jedyne oko.

Poczęli się wspinać na rumowisko, zapuszczając się coraz bardziej w głąb miasta. Wiszące im u boków miecze pobrzękiwały w rytm kroków. Elryk, patrząc na zaabsorbowane twarze swych towarzyszy domyślił się, że oni także zastanawiają się, czy to wszystko im się po prostu nie śni. Jak to możliwe, że znaleźli się w równie nieprawdopodobnej sytuacji? Jak to się stało, że bez wahania ryzykują życie — a może i dusze — biorąc udział w walce, z której nie mieli odnieść żadnej korzyści?

Erekosë zbliżył się w marszu do Elryka.

— Czy zauważyłeś — zapytał — że cienie przybrały teraz realne kształty? Elryk skinął głową.

— Patrząc na ruiny budowli można się domyślić, jak wyglądały przedtem. Cienie te odzwierciedlają kształty zabudowań — takich, jakie istniały tutaj przed zburzeniem miasta.

— Właśnie — odparł Erekosë. Obaj mężczyźni jednocześnie wzdrygnęli się.

W końcu dotarli do miejsca, które prawdopodobnie było centrum. Na pustym placu stał tu jeden ocalały budynek, wyglądający jak płatanina poskręcanych metalowych prętów i błyszczących rur.

— Przypomina bardziej maszynę niż budowlę — odezwał się Hawkmoon.

— A jeszcze bardziej jakiś instrument muzyczny — myślał głośno Corum.

Kompania zatrzymała się; poszczególne czwórki skupiły się wokół swoich przywódców. Nie było wątpliwości, że dotarli do celu.

Obejrząwszy uważniej budowlę Elryk stwierdził, że są to właściwie dwa budynki — oba identyczne i połączone ze sobą w wielu miejscach skomplikowanym systemem rur, wyglądających jak korytarze, chociaż trudno było stwierdzić, czemu właściwie mogły one służyć.

— Podwójny zamek — powiedział Erekosë. — Na to nie byliśmy przygotowani. Czy mamy się rozdzielić i zaatakować obie części?

Elryk poczuł instynktownie, że podobna decyzja byłaby nierozsądna. Potrząsnął głową.

— Myślę, że powinniśmy wszyscy wejść do jednej, bo inaczej tylko osłabimy nasze siły.

— Zgadzam się z tym — powiedział Hawkmoon, a pozostali skinęli głowami.

I tak, jako że nic w pobliżu nie mogło zapewnić dostatecznej osłony, pomaszzerowali otwarcie w kierunku bliższego z budynków, w stronę czarnego, nieregularnego otworu ziejącego tuż nad ziemią. Za złowróźbny uznali fakt, że nadal nie widać było śladu obrońców. Budynki drgały, świeciły, od czasu do czasu dochodził z nich jakiś dźwięk, ale na tym koniec.

Elryk i jego drużyna weszli jako pierwsi. Znaleźli się w wilgotnym, ciepłym korytarzu prawie natychmiast zakręcającym w prawo. Za nimi podążyli inni. Rozglądali się czujnie, spodziewając się ataku. Ale nic się nie działo.

Z Elrykiem na czele, szli przez jakiś czas, aż w końcu korytarz zatrzęsł się gwałtownie. Hown Zaklinacz Węży z przekleństwem na ustach padł na ziemię. Gdy mężczyzna w zbroi koloru akwamaryny powoli się podnosił, w pomieszczeniu rozległ się głos, najwyraźniej dochodzący z bardzo daleka, lecz mimo to donośny i drażniący.

— *Kto? Kto? Kto?* — krzyczał.

— *Kto? Kto? Kto atakuje?*

Gwałtowny wstrząs ustał, by przejść w ciągłe, delikatne drzenie. Krzyk wkrótce zmienił się w odległe i niepewne mamrotanie.

— *Co atakuje? Co?*

Dwudziestu mężczyzn spojrzało po sobie z zaskoczeniem. Po chwili Elryk wzruszył ramionami i poprowadził gromadę dalej. Wkrótce korytarz rozszerzył się i stał się salą, której ściany, — strop i podłogę pokrywał lepki płyn, co bardzo utrudniało oddychanie. I tu wreszcie, z trudem przepychając się przez ściany sali, pojawili się pierwsi obrońcy. Musieli być to słudzy tajemniczego rodzeństwa, Agaka i Gagak.

— *Atakujcie!* — rozległ się odległy głos. — *Zniszczcie ich! Zniszczcie to!*

Stwory wyglądały dość prymitywnie, z na wpół otwartymi ustami i oślizgłymi ciałami. Wiele z nich popędziło w kierunku dwudziestu mężczyzn, którzy szybko zgrupowali się w cztery oddziały bojowe i przygotowali do obrony. Stworzenia wydały przeraźliwy, skrzeczący okrzyk. Zgrzytając kościanymi wyrostkami, które służyły im jako zęby, rzuciły się, aby pochwycić Elryka i jego towarzyszy. Ten zamachnął się mieczem, który prawie nie napotkał oporu przecinając kilka stworów naraz. Powietrze zgęstniało jeszcze bardziej i w miarę jak lepki płyn sączył się przez podłogę, odór stawał się nie do zniesienia.

— *Przyjcie naprzód* — rozkazał Elryk. — *Wyrąbcie sobie przejście. Idźcie w stronę tamtego otworu* — wskazał kierunek lewą ręką.

Ruszyli więc przed siebie, siekąc przy tym setki prymitywnych istot i tym samym maksymalnie utrudniając sobie oddychanie.

— *Nietrudno jest walczyć z tymi stworzeniami* — powiedział, łapiąc z trudem oddech, Hown Zaklinacz Węży — *ale każdy zabity wróg zmniejsza nasze szanse na przetrwanie.*

Elryk sam sobie zdawał sprawę z ironii tej sytuacji.

— *Nie ma co, sprytnie to sobie zaplanowali* — zakasłał i odparł atak tuzina czepiających się go potworów. Były one nieustraszone, ale bardzo głupie. Nie siliły się nawet na opracowanie jakiegokolwiek strategii.

W końcu Elryk dotarł do przeciwległego korytarza, gdzie powietrze było trochę czystsze. Z ulgą wciągnął w płuca słodkawy łyk tlenu i gestem przynaglił swych towarzyszy.

Nie przerywając wymachiwania mieczami cofnęli się wreszcie w głąb korytarza, ścigani zaledwie przez kilka stworów. Najwyraźniej stworzenia niechętnie zapuszczały się dalej. Elrykowi przyszło na myśl, że muszą się one obawiać czegoś, co znajduje się w tym holu. Było już jednak za późno, by się wycofać. Mel-nibonéanin mógł być tylko wdzięczny, że cała dwudziestka przetrwała chrzest bojowy.

Z trudem chwyając oddech odczekali chwilę, opierając się o drżące ściany korytarza i wsłuchując w odległy głos, teraz stłumiony i niewyraźny.

— *W ogóle nie podoba mi się ten zamek* — mruknął Brut z Lashmar, badając

swój płaszcz rozdarty w miejscu, w którym chwyciła go jedna z oślizgłych istot. — Rządzi w nim jakaś potężna magia.

— Właśnie tego mieliśmy się spodziewać — przypomniał mu Ashnar zwany Rysiem. Ashnar najwyraźniej z trudem starał się pokonać własne przerażenie. Przywiązane do warkoczyków kości palców grzechotały w takt drżenia ścian i olbrzymi barbarzyńca wyglądał niemal patetycznie, gdy starał się uspokoić na tyle, by móc ruszyć dalej.

— Co za tchórze, ci czarownicy — odezwał się Otto Blendker. — Sami się nie pokazują. — Podniósł głos. — Czy wyglądają aż tak odrażająco, że nie chcą, byśmy ich zobaczyli? — Nikt nie podjął tego wyzwania. Wojownicy krążyli po korytarzach, ale nie znaleźli ani śladu Agaka, ni jego siostry Gagaki. Droga była raz jaśniejsza, to znów ciemniejsza. Czasami korytarz zwężał się tak, że z trudem mogli się przezeń przecisnąć, a niekiedy rozszerzał, stając się niemalże komnatą. Na ogół posuwali się pod górę.

Elryk starał się odgadnąć naturę mieszkańców budynku. Nie było w nim schodów ani żadnego rozpoznawalnego dzieła rąk ludzkich. Bez żadnego rozsądnego powodu począł wyobrażać sobie Agaka i Gagakę pod postacią gadów, gdyż właśnie one mogłyby przedkładać łagodnie wznoszące się korytarze nad schody i bez wątpienia niewielki odnosiłyby pożytek z konwencjonalnego umeblowania. Możliwe jednak, że istoty te były w stanie zmieniać kształt podług woli, przybierając ludzkie kształty, gdy tylko uznały to za korzystne. Elryk niecierpliwie wyczekiwał spotkania z czarownikami.

Ashnar niecierpliwił się z zupełnie innego powodu — przynajmniej on sam tak twierdził.

— Powiadali, że jest tu skarb — mruknął. — Myślałem, że zaryzykuję życie za sowitą opłatą, ale jak widzę, nie ma tu nic cennego. — Przytknął zrogowaciałą dłoń do wilgotnej powierzchni. — Nawet kamienia czy cegły. Z czego są te ściany, Elryku?

Elryk potrząsnął głową.

— Sam się nad tym zastanawiałem, Ashnarze.

Nagle Elryk spostrzegł przed nimi wielkie, gniewne oczy wyglądające z ciemności. Usłyszał grzechoczący, zbliżający się dźwięk. Oczy wyraźnie się powiększyły. Ujrzał czerwony pysk, żółte kły, pomarańczowe futro. Rozległo się warczenie i bestia skoczyła nań, ledwo zdążył wzniesć w swej obronie Zwiastuna Burzy i krzyknąć ostrzegawczo do pozostałych. Stworzenie okazało się olbrzymim pawianem, za którym podążał co najmniej tuzin innych. Elryk pchnął ostrzem, trafiając olbrzymia w podbrzusze. Wielkie pazury wysunęły się, wbijając w ramiona i boki Melnibonéanina. Jęknął, gdy poczuł szpony szarpiące mu ciało aż do krwi. Ramiona miał unieruchomione i nie mógł wyciągnąć miecza. Jedyłą jego szansą było powiększenie istniejącej już rany. Z całej siły naparł na rękojeść, przekraczając ostrze w ranie. Wielka małpa wrzasnęła, błysnęły nabiegłe krwią oczy.

Żółte kły wyciągnęły się w stronę gardła Elryka. Zęby zacisnęły się na szyi Melnibonéanina, cuchnący oddech omal nie pozbawił go tchu. Raz jeszcze przekręcił czubek Zwiastuna Burzy. Bestia ponownie wrzasnęła z bólu.

Groźne zębiska zsunęły się po żelaznej kryzie chroniącej szyję Elryka; tylko ona ratowała go od natychmiastowej śmierci. Walczył ze wszystkich sił, by uwolnić choć jedno ramię. Po raz trzeci przekręcił rękojeść, po czym szarpnął mieczem gwałtownie w bok, powiększając ranę podbrzusza. Warczenie i jęki pawiana stawały się coraz donośniejsze, ale teraz Melnibonéanin mógł spośród nich wyodrębnić nowy dźwięk; oto Zwiastun Burzy począł mrużyć z cicha i wibrować w jego ręce. Wiedział, że miecz karmi się uchodzącą z wielkiej małpy mocą, nawet gdy ta z całej siły stara się go zniszczyć. Część tej ogromnej siły zaczęła wypełniać ciało Elryka.

Melnibonéanin, doprowadzony do ostateczności, zebrał się w sobie i naparł na rękojeść, rozcinając w poprzek brzuch małpy tak, że jej krew i wnętrzności chlupnęły obfitą falą. Olbrzymie pazury puściły go nagle, a on sam zatoczył się do tyłu, wyszarpując jednocześnie miecz z rany. Pawian zakołysał się, spojrzał ogłupiały i przerażony na ziejącą w podbrzuszu straszliwą dziurę i padł na podłogę.

Elryk odwrócił się, gotów udzielić pomocy najbliższemu z towarzyszy. Uczynił to w samą porę, by ujrzeć śmierć Terndrika z Hasghan. Trzymająca go w uścisku jeszcze większa małpa odgryzła mu właśnie głowę. Krew szerokim strumieniem bryzgała z rany.

Elryk zręcznie wbił Zwiastuna Burzy w tułów zabójcy Terndrika, trafiając prosto w serce. Bestia i jej ofiara razem runęły na posadzkę. Dwóch innych towarzyszy broni już nie żyło, kilku doznało ciężkich obrażeń, lecz pozostali walczyli dalej, choć ich miecze i broje były purpurowe od krwi. Elryk runął w wir boju. Rozpłatał czaszkę pawianowi zmagającemu się wręcz z Hownem Zaklinaczem Węży, któremu miecz wypadł z omdlałej ręki. Hown schylając się po utraconą broń posłał Elrykowi pełne wdzięczności spojrzenie, po czym wspólnie rzucili się ku największemu z napastników. Wyprostowana małpa była o wiele wyższa niż Elryk. Przypierała do muru Erekosë, chociaż miecz wojownika sterczał wbity w jej ramię.

Hown i Elryk zaatakowali jednocześnie z dwóch stron. Pawian zawarczał, wrzasnął i odwrócił w stronę nowych przeciwników, wyszarpując wbity w ramię miecz ich towarzyszowi z ręki. Ruszył do walki, lecz Zaklinacz Węży i Melnibonéanin znów uderzyli, przebijając serce i płuco. Zwierzę zaryczało, rzygnęło krwią. Padło na kolana, oczy zaszyły mu mgłą. Powoli osunęło się na ziemię.

W korytarzu zaległa cisza, dokoła wyczuwało się tchnienie śmierci.

Nie żył Terndrik z Hasghan i dwóch wojowników z drużyny Coruma. Wszyscy ludzie Erekosë odnieśli poważne rany. Padł także jeden z podkomendnych Hawkmoona, lecz pozostali trzej dziwnym trafem nie doznali żadnego uszczerbku. Hełm Bruta z Lashmar miał wgniecenie, a Ashnar zwany Rysiem był nieco

zabryzany krwią, lecz nic poza tym. Ashnar podczas walki stawiał czoło dwóm pawianom naraz. Teraz z rozszerzonymi oczami oparł się plecami o ścianę, dysząc ciężko.

— Wydaje mi się, że nasze wysiłki są mało skuteczne — powiedział, uśmiechając się półgębkiem. Zebrał się w sobie i przeszedł nad zwłokami pawiana, by dołączyć do Elryka. — Im szybciej uporamy się z tym zadaniem, tym lepiej. Jak myślisz, Elryku?

— Zgadza się — Elryk odwzajemnił uśmiech. — Chodźcie.

I poprowadził kompanię dalej, aż dotarli do komnaty, której ściany przepuszczały różowe światło. Nie zaszedł jednak daleko, gdy poczuł, że coś chwyta go za kostkę. Spojrzał w dół, by z przerażeniem ujrzeć długiego, cienkiego węża owijającego mu się wokół łydki. Było już za późno, by użyć miecza, więc chwycił gada u nasady głowy, odczepił od swej nogi i oderwał łeb od reszty ciała. Jego towarzysze poczęli miażdżyć węże nogami i krzyczeć, by ostrzec się nawzajem. Gady nie wyglądały na jadowite, ale kłębiły się całymi tysiącami, zdawały się wylegać wprost z podłogi. Były one cielistego koloru i nie miały oczu, czym przypominały raczej dżdżownice niż zwykłe węże. Okazały się jednak nadspodziewanie silne.

Hown Zaklinacz Węży począł nagle śpiewać dziwną pieśń, pełną syczących, przenikliwych dźwięków, które jakby uspokajały wijące się stworzenia. Jeden po drugim poczęły osuwać się na podłogę i usypiać. Hown uśmiechnął się z tryumfem.

— Teraz rozumiem, dlaczego otrzymałeś taki przydomek — odezwał się Elryk.

— Nie byłem pewien, czy moja pieśń tu zadziała — odparł Hown. — Te stworzenia są zupełnie różne od węży, na które natykałem się w morzach mego świata.

Brnęli dalej przez sterty śpiących gadów. Wkrótce zauważyli, że korytarz zaczyna biec bardziej stromo pod górę. Co jakiś czas musieli podpierać się rękami, by się utrzymać na śliskiej powierzchni.

W holu zrobiło się bardzo gorąco. Co chwila zatrzymywali się, by otrzeć pot zalewający im oczy. Korytarz zdawał się wznosić w nieskończoność, co jakiś czas skręcając, lecz nigdy nie wyrównując do poziomu na dłużej niż kilka kroków. Od czasu do czasu przejście się zwężało, stając się zaledwie wąską rurą, przez którą musieli się przeciskać pełznąc na brzuchach. Kiedy indziej sufit zniknął w ciemności ponad ich głowami. Elryk już dawno zaniechał prób ustalenia, w jakiej części zamku właśnie się znajdują i dokąd zdążają. Co jakiś czas pędziły ku nim całymi stadami małe, bezkształtne stworzenia, najwyraźniej chcąc ich zaatakować, lecz nie stanowiły one dużej przeszkody i wkrótce przestali zwracać na nie uwagę.

Głos, który usłyszeli wchodząc do zamku, przez jakiś czas milczał zupełnie, by znów zacząć napełniać echem pomieszczenia. Teraz jednak dawało się w nim wyczuć o wiele więcej niepokoju.

— *Gdzie? Gdzie? Och, to boli!*

Zatrzymali się, starając się zlokalizować źródło głosu, lecz zdawał się on nadbiegać ze wszystkich stron jednocześnie.

Z grymasem na twarzy parli dalej, ciągle prześladowani przez tysiące małych stworzeń, które gryzły odsłonięte partie ich ciał jak chmary komarów, chociaż nie były owadami. Elryk nigdy nie widział podobnych istot. Były one bezkształtne, prymitywne i niemal bezbarwne. Kiedy szedł, uderzały w jego twarz niczym wiatr. Na wpół oślepiiony, kaszlący, spocony czuł, jak opuszczają go siły. Powietrze stało się teraz gęste, gorące, przesycone solą, jakby półpłynne. Jego towarzysze odczuwali niewygodę tak samo dotkliwie; kilku chwiało się na nogach, a dwóch upadło. Równie wycieńczeni kompani pomogli im się podnieść. Elryka kusiło, by zedrzeć z siebie zbroję, lecz wiedział, że w ten sposób wystawiłby większą część ciała na żer małym, uskrzydłonym natrętom.

Mimo wszystko wspinali się dalej. Wężowate istoty, podobne tym, które widzieli wcześniej, znów zaczęły oplatać im się wokół nóg, chociaż Hown Zaklinacz Węży śpiewał im swoją kołysankę aż do zachrypięcia.

— Długo tak nie wytrzymamy — powiedział Ashnar zwany Rysiem, zbliżając się do Elryka. — Nie damy rady stawić czoła czarownikowi czy jego siostrze, nawet jeśli ich spotkamy.

Elryk posepnie skinął głową.

— Zgadzam się z tobą, lecz co innego możemy zrobić, Ashnarze?

— Nic — odparł głucho. — Zupełnie nic.

— *Gdzie? Gdzie? Gdzie?* — szemrały wokół nich głosy. Wielu wojowników już nawet nie skrywało swego niepokoju.

Rozdział 5

Dotarli w końcu na sam szczyt korytarza. Tu zrzędlawy głos dawał się słyszeć dużo wyraźniej, ale wyczuwało się w nim o wiele większe drżenie. Ujrzeni przed sobą łukowato sklepione drzwi, a za nimi oświetloną komnatę.

— To na pewno pokój Agaka — odezwał się Ashnar, mocniej ściskając rękę jeść miecza.

— Możliwe — odparł Elryk. Czuł się jakby oddzielony od własnego ciała. Pewnie było to spowodowane gorącem i wyczerpaniem, a także wzrastającym poczuciem niepokoju. Coś sprawiło, że zawahał się przed wejściem do komnaty.

Sala była ośmiokątna. Każda z lekko pochyłych ścian miała inne zabarwienie i kolory te zmieniały się bezustannie. Co jakiś czas mury stawały się półprzezroczyste, tak że było przez nie daleko w dole widać zrujnowane miasto (czy też skupisko miast) i połączoną systemem rur i prętów sąsiednią, bliźniaczą wieżę.

W komnacie przede wszystkim zwracała uwagę zajmująca jej środek duża sadzawka, sądząc z wyglądu dość głęboka. Wypełniała ją cuchnąca, kleista ciecz. Tajemnicze bajoro zabulgotało. Poczęły się w nim tworzyć rozmaite kształty. Groteskowe i dziwne, piękne i znajome. Już-już zdawało się, że kształt zaraz przybierze swą ostateczną formę, gdy zapadał się z powrotem w kipiący płyn. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Nie było już wątpliwości, że dobiega on z sadzawki.

— CO? CO? CO ATAKUJE?

Przełamując własny opór Elryk zbliżył się do brzegu. Przez moment ze wzburzonej tafli wyjrzała nań jego własna twarz, po czym na powrót stopniała.

— CO ATAKUJE? JESTEM ZBYT SŁABA.

Elryk przemówił do sadzawki:

— Jesteśmy tymi, których chcieliście zniszczyć, pożreć, unicestwić.

— OCH, AGAKU! AGAKU! JESTEM CHORA! GDZIE JESTEŚ!

Ashnar i Brut podeszli do Elryka. Na ich twarzach malowało się obrzydzenie.

— Agak — warknął Ashnar zwany Rysiem mrużąc oczy. — Wreszcie jakiś dowód na to, że czarownik jest w pobliżu!

Powoli podeszli wszyscy i, starając się stanąć jak najdalej od sadzawki, patrzyli, zafascynowani, na różnorodność kształtów powstających i niknących w kleistej

cieczy.

— SŁABNĘ... MUSZĘ ODNOWIĆ ZAPAS ENERGII... ZACZNIJMY JUŻ, AGAKU... DŁUGO TRWAŁO, ZANIM DOTARLIŚMY DO TEGO MIEJSCA. MYŚLAŁAM, ŻE BĘDĘ MOGŁA ODPOCZAĆ. ALE TU PANUJE ZARAŻA. WYPEŁNIA MOJE CIAŁO. AGAKU! ZBUDŹ SIĘ, AGAKU! ZBUDŹ SIĘ!

— Może to jacyś słudzy Agaka odpowiedzialni za obronę tej komnaty — zasugerował słabym głosem Hown Zaklinacz Węży.

Lecz Elryk dalej wpatrywał się w bagnisty płyn, myśląc, że chyba zaczyna się już domyślać prawdy.

— Jak sądzisz, czy Agak się obudzi? — spytał Brut. — Czy przybędzie? — Rozejrzał się nerwowo dokoła.

— Agaku! — zawołał Ashnar zwany Rysiem. — Ty tchórze!

— Agaku! — powtórzyło wielu wojowników, potrząsając mieczami.

Elryk jednak nie odezwał się ani słowem i spostrzegł, że Hawkmoon, Corum i Erekosë również zachowują milczenie. Przypuszczał, że i w ich umysłach zapewne powoli świta cień zrozumienia. Spojrzał na swych towarzyszy. W oczach Erekosë dostrzegł mękę, jak gdyby jasnowłosey wojownik litował się zarówno nad sobą, jak i nad swymi kompanami.

— Jesteśmy Czterema, Którzy Są Jednością — powiedział Erekosë. Głos mu zadrżał.

Elryk poczuł nagle, jak pobudza go dziwny, obcy impuls, który napawał go wstrętem i przerażeniem.

— Nie... — Chciał wsunąć Zwiastuna Burzy do pochwy, ale ten odmówił udania się na spoczynek.

— AGAKU! PRĘDKO! — zawołał głos z sadzawki.

— Jeżeli tego nie uczynimy, oni pożrą nasz świat — powiedział Erekosë. — Nic się nie ostanie.

Elryk przytknął wolną dłoń do czoła. Pochylił się nad brzegiem przerażającej sadzawki. Jęknął.

— A więc musimy to zrobić — odparł głucho Corum.

— Ja nie chcę — powiedział Elryk. — Jestem sobą.

— Ja też — dodał Hawkmoon.

Ale Corum Jhaelen Irsei rzekł:

— Istnieje dla nas, dla tworu, którym jesteśmy, tylko jedna droga. Czy tego nie rozumiecie? Jesteśmy jedynymi istotami naszego świata, posiadającymi odpowiednie środki, by zgładzić czarowników — dysponującymi niepowtarzalnym orężem, jakim można ich pokonać.

Elryk spojrział na Coruma, na Hawkmoona, na Erekosë, i ponownie ujrzał w nich coś z siebie samego.

— Jesteśmy Czterema, Którzy Są Jednością — powtórzył Erekosë. — Nasze zjednoczone siły są większe niż poszczególne składowe. Musimy się złączyć, bracia. Jeżeli chcemy pokonać Agaka, tu najpierw trzeba nam odnieść zwycięstwo.

— Nie... — Elryk chciał się cofnąć, lecz nogi same poniosły go w stronę bulgoczącego, śmiercionośnego bajora, z którego nadal dobywał się mamroczący, zrzedliwy głos oraz formowały się i roztopiały przeróżne kształty. Melnibonéanin stanął w rogu. W pozostałych trzech stali już jego towarzysze. Na wszystkich twarzach odcisnęły swe piętno zdecydowanie i desperacja.

Wojownicy towarzyszący Czterem cofnęli się pod ściany. Otto Blendker i Brut z Lashmar zajęli pozycje tuż przy drzwiach, nasłuchując dźwięków, które mogłyby dochodzić z wiodącego do komnaty korytarza. Ashnar zwany Rysiem zacisnął palce na pochodni, a na jego pobrużdżonej twarzy odmalowało się przerażenie.

Elryk spostrzegł, że jego ręka powoli prostuje się unoszona mieczem, i ujrzał, że pozostali również wnoszą ramiona. Klingi powędrowały nad sadzawką i zetknęły się w górze ostrzami, dokładnie ponad środkiem kipieli.

Elryk krzyknął, czując, jak coś obcego wpełza do jego wnętrza. Ponownie starał się uwolnić, ale wypełniająca go moc była zbyt potężna. Obce głosy przemówiły w jego głowie.

— *Rozumiem...* — zabrzmiał odległy szept Coruma. — *To jedyny sposób...*

— Och, nie, nie... — tym razem był to Hawkmoon, ale słowa wydobyły się z warg Elryka.

— AGAKU! — krzyknęła sadzawka. Wypełniająca ją ciecz stała się bardziej wzburzona, jakby zaniepokojona. — AGAKU! PRĘDKO! ZBUDŹ SIĘ!

Ciało Elryka poczęło drżeć, lecz jego dłoń pewnie zaciskała się na rękojeści miecza. Atomy jego ciała rozproszyły się, by złączyć się ponownie w odrębny twór, który powędrował po klindze miecza w stronę ostrza. A Elryk, który pozostał Elrykiem, krzyczał z przerażenia, wzdychając jednocześnie w uniesieniu.

Elryk nadal był tym samym Melnibonéaninem, gdy cofnął się o krok od sadzawki i spojrzał na siebie, całkowicie połączonego z trzema innymi istnieniami.

Twór unosił się nad sadzawką. Po każdej stronie głowy miał twarz, a każda z nich należała do jednego z towarzyszy. Spokojne, potworne oczy były szeroko otwarte. Ośmioro ramion nie poruszało się. Istota na ośmiu nogach przykucnęła nad sadzawką. Jej zbroja i ekwipunek były jakiegoś nieokreślonego koloru, powstałego ze wszystkich barw zlanych ze sobą, choć jednocześnie rozróżnialnych.

Cztery pary rąk wznosiły jeden ogromny miecz. Zarówno on, jak i cała istota emanowały upiornym, złotym światłem.

Wówczas Elryk połączył się z tym stworem i stał się czymś nowym — sobą, trójką towarzyszy i sumą czworga istnień jednocześnie.

Czterej, Którzy Byli Jednością zwrócili olbrzymie ostrze olbrzymiego miecza w stronę burzącej się cieczy. Sadzawka obawiała się tej broni.

— *Agaku, Agaku...* — zakwiliła.

Istota, której częścią był Elryk, zebrała swe potężne siły, by wbić miecz w taflę sadzawki.

Na powierzchni cieczy pojawiły się bezkształtne fale. Jej zabarwienie poczęło się zmieniać od wyblakłej żółci do chorobliwej zieleni.

— *Agaku, ja umieram...*

Miecz nieubłaganie opuszczał się coraz niżej. Dotknął powierzchni.

Ciecz cofnęła się, zafalowała. Najwyraźniej starała się przelać ponad brzegami, na podłogę, aby uciec przed godzącym w nią śmiertcionośnym orężem. Miecz wbił się głębiej i Czterej, Którzy Byli Jednością poczuli nową siłę, wędrującą w górę po ostrzu. Usłyszeli jeszcze jęk, lecz z wolna wszystko się uspokoiło. Ciecz ucichła. Zszarzała.

Wówczas Czterej, Którzy Byli Jednością weszli do sadzawki, by złąć się z nią w jedno.

Twór widział teraz wyraźnie. Wypróbowywał swoje nowe ciało. Miał władzę nad poszczególnymi kończynami, każdą ich funkcją. Odniósł zwycięstwo; zregenerował istniejące w sadzawce siły. Jedyńm, ośmiokątnym okiem lustrował rozległe ruiny miasta, po czym skupił uwagę na swym bliźniaku.

Agak ocknął się za późno, lecz w końcu się zbudził, zaalarmowany przedśmiertnymi krzykami swej siostry Gagak. Śmiertelnicy zaatakowali ciało czarodziejki, zawładnęli umysłem, posługiwali się jej okiem i zamierzali obrócić na własną korzyść moce, które posiadała.

Czarnoksiężnik nie musiał odwracać głowy, by spojrzeć na istotę, którą nadal postrzegał jako swoją siostrę. Podobnie jak u Gagak, inteligencja Agaka zawierała się całkowicie w jego jedynym oku, zwróconym w osiem stron jednocześnie.

— *Wołałaś mnie, siostrze?*

— Wymówiłam jedynie twe imię, bracie. — W Czterech, Którzy Byli Jednością nadal tkwiły resztki siły witalnej Gagak, wystarczające, by móc naśladować jej sposób mówienia.

— *Krzyczałaś?*

— We śnie. — Czterech przerwało na moment, po czym podjęło dialog na nowo. — To choroba. Śniłam, że na tej wyspie istnieje coś, od czego źle się poczułam.

— Czy to możliwe? Nie posiadamy dostatecznej wiedzy o tych wymiarach i zamieszkujących je stworzeniach. Żadne z nich jednak nie dorównuje potęgą Agakowi i Gagak. Nie obawiaj się, siostrze.

— To nic. Już się obudziłam.

Agak był zaskoczony.

— *Mówisz jakoś inaczej.*

— To przez te koszmary... — odparła istota, która wdarła się do ciała Gagak i zniszczyła je.

— *Musimy zaczynać* — powiedział Agak. — *Wymiary obracają się*. Nasz czas nadszedł. Ach, czy czujesz? Mnóstwo pożywej energii czeka, abyśmy ją pochłonęli. Nic nas nie pokona, gdy już wrócimy do domu.

— Tak, czuję to — odparli Czterej i istotnie tak było. Cały wszechświat, wymiar za wymiarem, obracał się teraz wokół osi, którą stanowiła wyspa. Gwiazdy, planety i księżyce na wszystkich płaszczyznach przepełnione były energią, której pożąдали Agak i Gagak. Dzięki nadal istniejącym w Czterech resztkom osobowości Gagak, mogli oni odczuć potężne pragnienie i oczekiwanie, że teraz, kiedy wszystkie wymiary osiągnęły właściwą koniunkcję, głód ten będzie wreszcie zaspokojony.

Czterech nękała pokusa, by przyłączyć się do czekającej na Agaka uczty, chociaż wiedzieli, że w ten sposób przyczynią się do całkowitego odarcia ich własnego świata z resztek energii. Gwiazdy zgasną, całe światy umrą. Nawet Władcy Porządku i Chaosu zginą, jako że byli fragmentem tego samego wszechświata. A przecież chęć posiadania takiej mocy mogła usprawiedliwić każdą zbrodnię... Czterej powściągnęli swe pożądanie. Chcieli zaatakować, zanim Agak zacznie coś podejrzewać.

— *Czy przystąpimy do uczty, siostró?*

Czterej zdali sobie sprawę, że statek dobił do wyspy w ostatniej chwili. Było już niemalże za późno.

— *Siostró?* — Agak ponownie się zdumiał. — *Co...?*

Corum, Hawkmoon, Erekosë i Elryk wiedzieli, że muszą się odseparować od Agaka. Rury i przewody odłączyły się od ciała czarnoksiężnika i zostały wchłonięte w ciało Gagak.

— *O co chodzi?* — Dziwaczne ciało Agaka zadrżało. — *Siostró?*

Czterej zebrali się w sobie. Mimo że pochłonęli wiedzę i pamięć Gagak, wciąż nie byli pewni, czy mogą pod tą postacią zaatakować Agaka. Ponieważ czarodziejka miała moc zmieniania swej formy, oni też zaczęli ją przekształcać. Wśród przejmujących jęków, jako że doświadczali przeraźliwego bólu, skupili całą materię, z której składało się ukradzione Gagak ciało, tak że to, co niedawno wyglądało jak budynek, zaczęło przypominać papkowatą, bezkształtną masę. Agak, zdumiony, przypatrywał się temu.

— *Siostró? Twoje zdrowie psychiczne...*

Budynek, istota, która przypominała Gagak, zatrzęsła się, rozplynęła i wybuchła. Wydała ostatni okrzyk.

Przyswoiła nową postać.

Cztery twarze gigantycznej głowy śmiały się teraz. Ośmioro ramion wzniosło się w tryumfalnym geście, cztery pary nóg poczęły się poruszać. Ponad głową unosił się masywny miecz.

Istota zaczęła biec.

Podążała w stronę Agaka, który nadal tkwił unieruchomiony pod postacią budynku. Miecz zakreślił w powietrzu koło. Pędząca istota roztaczała wokół siebie niesamowitą złotą poświatę, rozświetlającą pełen cieni krajobraz. Czterej wzrostem dorównywali Agakowi. W tym momencie mieli równą mu moc.

Agak jednakże, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, zaczął ssać. Zrozumiał, że już nigdy nie będzie dzielił tego rytuału z Gagak. Wiedział też, że chcąc obronić się przed napastnikiem, zabójcą swej siostry, musi zgromadzić dostateczne siły, a to może osiągnąć tylko wysysając energię z jego wszechświata. Cały kosmos umierał, gdy Agak ssał. Wciąż jednak nie był wystarczająco silny. Postanowił więc przechytryć przeciwnika.

— To jest centrum waszego wszechświata. Wszystkie wymiary przecinają się właśnie tutaj. Pójdźcie, i wy możecie zyskać potęgę. Moja siostra nie żyje. Pogodzę się z tym. Teraz wy będziecie moim partnerem. Uzyskawszy taką moc podbijemy wszechświat o wiele bogatszy niż ten.

— Nie — odparli Czterej, wciąż się zbliżając.

— Dobrze więc, przygotujcie się na klęskę.

Czterej zadali cios. Miecz wbił się w podobne do kryształu oko Agaka. Był to organ, w którym tętniła zawierająca całą inteligencję czarnoksiężnika sadzawka, podobna tej, która nie tak dawno istniała w ciele Gagak. Agak jednakże był teraz dużo silniejszy i natychmiast uleczył ranę.

Z ciała czarnoksiężnika wyodrębniły się macki i popęły w stronę Czterech. Ucięli je u nasady. Agak ponownie zaczął zasysać energię. Jego ciało, które śmiertelnicy wzięli za budynek, rozgrzało się do czerwoności i poczęło wydzielać potworny żar.

Miecz zawarczał w powietrzu, rozbłysł czarnożłotym światłem i rzucił się do walki z rozżarzonym szkarłatem. Przez cały czas starcia Czterej mieli uczucie, że ich świat kurczy się i umiera.

— Agaku, oddaj to, co ukradłeś! — rzekli.

Ściany, rury, pręty, węzły i krzywizny zabłysły rozpaloną czerwienią. Agak westchnął. Cały wszechświat jęknął.

— Teraz jestem silniejszy niż wy — odparł Agak. I ponownie zaczął ssać.

Czterej wiedzieli, że uwaga czarnoksiężnika jest odwrócona tylko na ten krótki moment, w którym się on posila. Zdawali sobie też sprawę, że sami również muszą zaczerpnąć energii z własnego wszechświata, by móc pokonać Agaka. Miecz wzniósł się w powietrze.

Jego ostrze wznosiło się coraz wyżej, przecinając dziesiątki tysięcy wymiarów, pochłaniając tkwiącą w nich moc. Broń powróciła do Czterech, roztaczając wokół siebie czarną poświatę. Zatoczyła koło w powietrzu, przyciągając uwagę Agaka. Ciało czarnoksiężnika poczęło się zmieniać. Czarne ostrze skierowało się w stronę olbrzymiego oka, celując w sam środek sadzawki.

Z ciała Agaka wydobywały się ogromne ilości macek broniących się przed mieczem, lecz ten, poruszając się szybciej niż myśl, odcinał je natychmiast. Czarne ostrze przebiło ścianę ośmiokątnej komnaty i zanurzyło w sadzawce — mózgu czarnoksiężnika, niszcząc pokłady jego świadomości, wyciągając z niego całą energię i przekazując ją swemu panu, Czterem, Którzy Są Jednością. Przez cały kosmos przebiegło drżenie i przejmujący jęk. Wszechświat umierając towarzyszył konającemu Agakowi.

Czterej woleli nie tracić czasu na sprawdzanie, czy czarnoksiężnik został ostatecznie pokonany. Wyciągnęli miecz z rany i zatoczyli nim w powietrzu koło, ogarniając wszystkie wymiary. Wszędzie, gdzie dotknęło ostrze, przywracana była dawna energia. Miecz zataczał coraz szersze kręgi, rozdzielając odebraną Agakowi energię. Klinga odśpiewała pieśń tryumfu i radości.

Ostatnie przebłyski czarnożłotego światła znikły, wracając do swego źródła.

Przez jedną chwilę wszechświat był martwy. Teraz odżył, pochłaniając dodatkowo siły witalne Agaka.

Czarnoksiężnik żył także, lecz był sparaliżowany. Zastygł, usiłując zmienić postać. Teraz w jednej połowie przypominał budynek, taki jakim go ujrzał Elryk wkraczając na wyspę, a w drugiej zdołał przybrać formę Czterech, Którzy Byli Jednością. Tu widać było część twarzy Coruma, tam nogę, ówdzie fragment miecza — jak gdyby Agak przypuszczał, że napastnika można pokonać tylko w jego własnej postaci. Wcześniej podobnie uczynili Czterej, przybierając formę Gagak po uprzednim pokonaniu jej.

— Czekaliśmy tak długo... — Agak westchnął i wyzionął ducha.

Czterej schowali miecz do pochwy.

Wśród ruin rozległy się jęki. Nagle wzmógł się silny wiatr, tak że wojownicy będący Jednością musieli zgiąć swych ośmioro kolan i skłonić głowę o czterech twarzach pod jego naporem. Stopniowo przybrali postać Gagak, czarodziejki, po czym znaleźli się na dnie zastygającej sadzawki-mózgu. Powstali, na moment zawisli tuż nad jej powierzchnią i wyciągnęli miecz z krzepnącej cieczy. Wówczas cztery istnienia rozdzieliły się i stały Elrykiem, Hawkmoonem, Erekosë i Corumem, stojącymi ze wzniesionymi ramionami i mieczami stykającymi się ponad centrum martwego bajora.

Mężczyźni schowali swe miecze do pochew. Przez moment spoglądali sobie nawzajem w oczy, widząc w nich przerażenie i grozę. Elryk odwrócił wzrok.

Nie znajdował w swoim wnętrzu myśli ani uczuć, które byłyby odzwierciedleniem tego, co zaszło. Brakowało mu słów, którymi mógłby to określić. Stał, wpatrując się bezmyślnie w Ashnara zwanego Rysiem. Zastanawiał się, czemu Ashnar chichocząc przeżuwa kosmyki własnej brody i dlaczego, porzuciwszy miecz na podłodze szarej komnaty, rozorywa sobie paznokciami twarz.

— Znowu mam własne ciało. Znowu mam własne ciało — powtarzał Ashnar bezustannie.

Elryk dziwił się, czemu Hown Zaklinacz Węży leży skulony u stóp Ashnara, a Brut z Lashmar wyłoniwszy się z korytarza upadł na ziemię i pozostał tam, poruszając się co jakiś czas i pojękując jakby przez sen. Do komnaty wszedł Otto Blendker. Jego miecz tkwił w pochwie. Oczy wojownika były zamknięte, a on sam, drżąc, obejmował się ciasno ramionami.

Muszę o tym wszystkim zapomnieć albo oszaleję na dobre, pomyślał Elryk. Podszedł do Bruta i pomógł jasnowłosemu wojownikowi powstać.

— Co widziałeś?

— Więcej, niżbym na to zasługiwał za moje grzechy. Byliśmy uwięzieni... zamknięci wewnątrz tej czaszki. — Brut począł łkać niczym małe dziecko, więc Elryk wziął go w ramiona i głaskał po głowie, nie mogąc znaleźć słó pociechy.

— Musimy iść — powiedział Erekosë. Miał błyszczące oczy. Potykał się idąc.

I tak, wlokąc tych, którzy zemdleli, prowadząc oszalałych, pozostawivszy za sobą poległych, Elryk i jego towarzysze schodzili martwymi korytarzami ciała Gagak, nie niepokojeni już przez istoty, które czarodziejka stworzyła, by broniły ją przed czymś, co odczuwała jako postępującą chorobę. Hole i komnaty były lodowato zimne. Mężczyźni poczuli ulgę, gdy wreszcie wydostali się na zewnątrz i ujrzeli ruiny, pozbawione źródła cienie i czerwone, nieruchome słońce.

Otto Blendker był jedynym wojownikiem nie dotkniętym obłędem, jaki zdawał się opanować wszystkich, którzy bezwiednie zostali wchłonięci przez Czterech, Którzy Byli Jednością. Wyciągnął zza pasa pochodnię i zapalił ją za pomocą hubki i krzesiwa. Inni poszli za jego przykładem. Elryk z trudem posunął się w stronę leżących bezwładnie szczątków Agaka i zadrżał, rozpoznając w olbrzymim kamiennym bloku fragment własnej twarzy. Nie spodziewał się, że podobna skale substancja tak szybko zajmie się ogniem. Leżące z tyłu ciało Gagak też już płonęło. Ogień szybko je pożerał. Słupy trzaskających płomieni wznosiły się aż pod niebo, roztaczając wokół kłęby białego i szkarłatnego dymu, które na moment przesłoniły czerwoną tarczę słońca.

Mężczyźni przyglądali się płonącym szczątkom.

— Zastanawiam się, czy Kapitan wiedział, na co nas posyła — odezwał się Corum.

— I czy przewidywał, co się stanie — dodał Hawkmoon głosem, w którym dało się wyczuć rozgoryczenie.

— Tylko my, tylko ta istota mogła walczyć z Agakiem i Gagak według ich własnych reguł — rzekł Erekosë. — Inne środki nie byłyby skuteczne, a żadne inne stworzenie nie jest obdarzone odpowiednimi cechami ani też olbrzymią siłą niezbędną do pokonania równie dziwnych czarnoksiężników.

— Na to wygląda — odparł Elryk i nie chciał mówić nic więcej.

— Możesz mieć tylko nadzieję — odezwał się Corum — że zapomnisz to doświadczenie, tak jak już nie pamiętasz tego, o którym wspominałem.

Elryk spojrział na niego zimno.

— Taką właśnie żywie nadzieję, bracie.

Erekosë zaśmiał się ironicznie.

— Któż mógłby zaprzętać sobie pamięć czymś takim. — I także nie powiedział już nic więcej.

Ashnar zwany Rysiem, patrząc na ogień, nagle przestał chichotać, wrzasnął przeraźliwie i wyrwał się spośród towarzyszy. Pobiegł w stronę oświetlanej płomieniami kolumny, po czym nagle zmienił kierunek i znikł pośród ruin i cieni.

Otto Blendker posłał Elrykowi pytające spojrzenie, lecz ten tylko potrząsnął głową.

— Po co za nim biec? Co możemy dla niego zrobić? — Skierował wzrok na leżącego Howna Zaklinacza Węży. Bardzo polubił wojownika w zbroi koloru akwamaryny. Albinos wzruszył ramionami.

Poszli dalej, pozostawiając skulonego Howna Zaklinacza Węży. Podtrzymując jedynie Bruta z Lashmar ruszyli przez rumowisko w stronę morza.

Wkrótce ujrzeni przed sobą białą mgłę i wiedzieli, że są blisko brzegu, chociaż nie mogli dostrzec statku.

Zanim zagłębili się w znajome opary, Hawkmoon i Erekose zastygli w pół kroku.

— Nie powrócę na pokład — powiedział Hawkmoon. — Myślę, że odsłużyłem już opłatę za przejazd. Jeżeli dane jest mi odnaleźć Tanelorn, tutaj chyba powinienem go szukać.

— Z ust mi to wyjąłeś — Erekosë skinął głową.

Elryk spojrzał na Księcia Coruma. Ten się uśmiechnął.

— Ja już znalazłem Tanelorn. Wróć na statek z nadzieją, że wkrótce zawędruje on w stronę jakichś bardziej znajomych mi brzegów.

— I ja mam taką nadzieję — odparł Elryk. Wciąż podtrzymywał ramieniem Bruta z Lashmar.

— Co to było? Co się z nami stało? — wyszeptał Brut.

Elryk ścisnął mocniej ramię wojownika.

— Nic — odparł.

Ale kiedy próbował poprowadzić jasnowłosego mężczyznę w stronę mgły, Brut cofnął się i strząsnął rękę Elryka ze swego barku.

— Ja zostaje — powiedział. Odsunął się od Melnibonéanina. — Przykro mi.

Elryk był zaskoczony.

— Brut? — zapytał.

— Przykro mi — powtórzył Brut. — Boję się ciebie, tego statku. Elryk chciał pójść za wojownikiem, ale Corum ciężko położył mu swą srebrną rękę na ramieniu.

— Przyjacielu, odejźmy stąd. — Uśmiechnął się blado. — Bardziej obawiam się tego, co zostawiliśmy za sobą, niż statku.

Spojrzeni ponad ruinami. Daleko z tyłu widzieli dogasający ogień, a pośród niego dwa cienie, Agaka i Gagak, takich, jakimi ujrzeli ich po raz pierwszy.

Elryk wciągnął w płuca łyk zimnego powietrza.

— Zgadzam się z tobą — odparł.

Otto Blendker jako jedyny postanowił wrócić wraz z nimi na żaglowiec.

— Jeżeli nawet to jest Tanelorn, nie jest to miejsce, którego szukałem — powiedział.

Wkrótce znaleźli się po pas w wodzie. Znów ujrzeli zarysy ciemnego statku i Kapitana przechylającego się nad relingiem, ze wzniesioną ręką, jak gdyby pozdrawiał kogoś lub coś na wyspie.

— Kapitanie! — zawołał Corum. — Wracamy na pokład.

— Witam was — powiedział niewidomy. — Tak, witam was serdecznie. — Zwrócił twarz ku Elrykowi, sięgającemu ręką w kierunku trapu. — Czy chciałbyś pożeglować teraz w kierunku cichych, spokojnych krain?

— Chyba tak — odparł Elryk. Zatrzymał się w połowie trapu i dotknął głowy. — Odniosłem wiele ran.

Dosięgnął relingu, a Kapitan, podtrzymując go swymi chłodnymi dłońmi, pomógł mu się przezeń przedostać.

— One się zaleczą.

Melnibonéanin podszedł do masztu i, oparłszy się o niego plecami, patrzył na milczącą załogę rozwijającą żagiel. Corum i Otto Blendker weszli na pokład. Elryk wsłuchiwał się w metaliczne zgrzytanie podnoszonej kotwicy. Statek zakotył się.

Otto Blendker spojrzał na Elryka, na Kapitana, po czym nie mówiąc ni słowa poszedł w kierunku swojej kajuty i zamknął drzwi.

Żagiel wypełnił się wiatrem. Płynęli. Kapitan wyciągnął rękę i odszukał ramię Elryka. Ujął pod rękę Coruma i poprowadził obu w stronę swojej kajuty.

— Wino — powiedział. — Ono uleczy wasze rany. Przed drzwiami Elryk zatrzymał się.

— A może ten trunek ma również inne właściwości? — zapytał. — Na przykład pozbawia człowieka rozsądku? Może to on sprawił, że oddałem się pod twoje rozkazy, panie?

Kapitan wzruszył ramionami.

— A czymże jest rozsądek?

Statek nabierał prędkości. Biała mgła zgęstniała. Zimny wiatr przewiewał strzępy ubrań i resztki zbroi, które Elryk miał na sobie. Melnibonéanin wciągnął powietrze. Zdało mu się, że wyczuwa w nim zapach dymu.

Przytknął obie dłonie do twarzy. Była zimna. Pozwolił rękom opaść bezwładnie wzdłuż ciała i wszedł za Kapitanem do ciepłej kajuty.

Gospodarz ze srebrnego dzbanka nalał wina do srebrnych kubków i ofiarował napój Elrykowi i Corumowi. Wypili.

— Jak samopoczucie? — zapytał Kapitan chwilę później.

— Nie czuję nic — odparł Elryk.

Owej nocy śniły mu się tylko cienie, a rano w ogóle nic z tego nie mógł zrozumieć.

KSIĘGA DRUGA

ŻEGLUJĄC
W
TERAŹNIEJSZOŚĆ

Rozdział 1

Wysoki mężczyzna stał samotnie na forkasztelu. Blade, długie palce zacisnął wokół wyrzeźbionej w ciemnym dębowym drewnie głowy demona, (można było znaleźć ich kilka na pokładzie statku). Dużymi skośnymi oczyma koloru purpury wpatrywał się we mgłę, pośród której płynął żaglowiec. Łódź poruszała się z prędkością, jaka w każdym marynarzu spośród śmiertelników wzbudziłaby podziw i niedowierzanie.

Z oddali dochodziły dźwięki, których nie spodziewał się usłyszeć nawet wśród niesamowitych odgłosów tych pozbawionych nazwy, leżących poza czasem mórz; tony wysokie, przenikliwe i straszne, nawet gdy odległe. Na domiar złego statek najwyraźniej zbliżał się ku nim, jak gdyby przez nie przyciągany. W głosach tych pobrzmiwały ból, rozpacz, a nade wszystko — przerażenie.

Elrykowi zdarzało się już słyszeć coś podobnego. Było to, zanim uciekł od obowiązków cesarza prastarego Melniboné. Dochodziły one z pomieszczeń, które jego kuzyn Yyrkoon ironicznie nazywał swymi „komnatami rozrywki”. Były to głosy tych, których nie tylko ciała, ale i dusze oddano torturom. Ludzi, dla których śmierć nie oznaczała wyzwolenia, lecz stanowiła początek dalszej egzystencji, wiecznego życia w niewoli u jakiegoś okrutnego, nadprzyrodzonego władcy. Podobnie krzyczeli nieszczęśnicy, których dusze pożerał Zwiastun Burzy, czarny miecz Elryka, jego obrońca i przeznaczenie.

Elryk nie upajał się tymi głosami — przeciwnie, nienawidził ich. Odwrócił się plecami w stronę źródła dźwięku i zamierzał zejść po drabince na główny pokład, gdy zauważył stojącego za sobą Ottona Blendkera. Teraz, gdy Corum odjechał wraz z przyjaciółmi, którzy przybyli po niego na sunących po powierzchni wody rydwanach, Blendker pozostał jako jedyny z towarzyszy walczących u boku Elryka przeciw Agakowi i Gagak, czarnoksiężnikom z obcego świata.

Na ciemnej, naznaczonej bliznami twarzy Blendkera malowała się troska. Był uczonej, obecnie kondotier, zakrył uszy olbrzymimi dłońmi.

— Och! Na Dwanaście Symboli Rozsądku, Elryku, kto czyni ten zgiełk? Brzmi to tak, jakbyśmy się zbliżali do brzegów samego Piekła!

Książę Elryk z Melniboné wzruszył ramionami.

— Byłbym skłonny zrezygnować z odpowiedzi, panie Blendker. Gdyby tylko statek zmienił kurs, nie upierałbym się przy potrzebie zaspokojenia mojej ciekawości. Jak na razie jednak wciąż zbliżamy się do źródła tych dźwięków.

Blendker chrząknął potwierdzająco.

— Nie chciałbym spotkać się z tym, co każe tym biedakom krzyczeć tak donośnie! Może powinniśmy poinformować Kapitana?

— Myślisz, że nie wie, dokąd zmierza jego statek? — W uśmiechu Elryka niewiele było radości.

Wysoki mężczyzna potarł dłonią biegnącą od czoła ku szczękom bliznę w kształcie odwróconej litery V.

— Zastanawiam się, czy on nie planuje uwikłać nas w kolejną bitwę.

— Nie będę znowu dla niego walczył! — Dłoń Elryka powędrowała ku głowni miecza. — Skoro tylko zejde na stały ląd, zajmę się własnymi sprawami.

Nagle zerwał się wiatr. Mgła przeredziła się. Elryk mógł dostrzec, że woda, po której płynie statek, jest koloru rdzy. Tuż pod powierzchnią pobłyskiwały światła. Patrzącym zdało się, że w głębi oceanu widzą ociężałe poruszające się istoty. Elryk przez moment miał wrażenie, że z toni wyjrzała blada, nabrzmiała twarz, podobna jego własnej — twarz Melnibonéanina. Szarpnął się znienacka i odwrócił do Blendkera plecami, z trudem powstrzymując przyływ mdłości.

Po raz pierwszy odkąd wszedł na pokład Ciemnego Statku, mógł wreszcie ocenić jego długość. Widział teraz wyraźnie oba koła sterowe, jedno niedaleko, na dziobie, drugie na odległej rufie, jak zwykle obsługiwane przez Sternika, obdarzonego wyglądem bliźniaka Kapitana. Widział maszt z rozpiętym na rei czarnym żaglem, dwie kabiny, z których jedna była teraz pusta (jako że wszyscy jej mieszkańcy zginęli podczas ostatniego lądowania), a drugą zajmowali tylko on sam i Blendker. Wzrok Elryka powędrował do postaci Sternika. Albinos po raz kolejny zastanowił się, na ile sobowtór Kapitana może kontrolować kurs Ciemnego Statku. Stojący przy sterze mężczyzna robił wrażenie osoby nie znającej zmęczenia i z rzadka tylko udawał się do swej kajuty, która znajdowała się na rufie, podczas gdy jego bliźniak zajmował pomieszczenie dziobowe. Raz czy dwa Elryk lub Blendker próbowali zagadnąć Sternika, ale ten zdawał się równie niemy, co jego brat ślepy.

Tajemnicze geometryczne wzory, pokrywające większość metalowych i wszystkie drewniane części statku od rufy aż do bukszprytu, uwydatniły się dzięki pokrywającym je strzępom bladej mgły (Elryk ponownie zastanowił się, czy to nie statek wytwarza spowijające go zwykle opary). Oświetlane czerwonym słońcem, którego promienie wreszcie przebiły unoszące się wiecznie ponad statkiem chmury, rozjarzyły różową poświatą.

Spod pokładu dobiegł hałas. Z kajuty wynurzył się Kapitan. Jego czerwono-złote włosy rozwiewała bryza, chociaż Elryk nie odczuwał najlżejszego podmuchu wiatru. Opaska z błękitnego nefrytu, noszona przez Kapitana niczym diadem,

nabrała w różowym świetle lekko fioletowego koloru. Nawet płowóżółta tunika i także pończochy zmieniły barwę. Srebrne sandały i rzemienie również pobłyskiwały na różowo.

Po raz kolejny Elryk przyjrzał się tajemniczej, niewidomej twarzy, o rysach tak niepodobnych do ludzkich, jak jego własne i zastanowił się nad pochodzeniem tego, który zezwalał, aby zwracano się doń jedynie: „Kapitanie”.

Jak gdyby na wezwanie Kapitana statek ponownie spowił się mgłą, podobnie jak kobieta otula swe ciało puszystym futrem. Czerwone światło przygasło, lecz odległe krzyki nie ucichły.

Albo Kapitan istotnie po raz pierwszy zwrócił uwagę na dochodzące z od-dali dźwięki, albo był świetnym aktorem; w każdym razie jego zdumienie było bardzo przekonujące. Pochylił głowę, przytknął dłoń do ucha. Po chwili mruknął usatysfakcjonowany i wyprostował się.

— Elryku?

— Tutaj — odparł albinos. — Na górze.

— Jesteśmy niemalże u celu.

Delikatna dłoń odszukała poręcz zejściówki. Kapitan począł się wspinać.

Elryk wyszedł mu na spotkanie.

— Jeżeli to znowu bitwa. . .

Kapitan uśmiechnął się tajemniczo i gorzko.

— Bitwa już się odbyła — albo dopiero się odbędzie.

— . . . my nie będziemy w niej brać udziału — dokończył albinos stanowczo.

— Z tą walką mój statek nie jest bezpośrednio związany — zapewnił go ślepy mężczyzna. — Ci, których słyszysz, to pokonani; zagubieni w przyszłości, która jak myślę będzie i twoim udziałem pod koniec obecnego wcielenia.

Elryk machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— Będę wdzięczny, Kapitanie, jeżeli zaprzestasz mistyfikować mnie podobnymi, jałowymi uwagami. Jestem już nimi zmęczony.

— Przepraszam, jeżeli cię uraziłem. Odpowiedzi, których udzielam odzwierciedlają moje przeczucia.

Kapitan przeszedł między Elrykiem a Ottonem Blendkerem i stanął przy relingu. Wyglądało, że naprawdę jest mu przykro. Przez jakiś czas milczał, wsłuchując się w różnorodność niepokojących dźwięków dobiegających z mgły. Po chwili skinął głową, wyraźnie zadowolony.

— Wkrótce ujrzymy ląd. Jeśli zamierzasz opuścić statek i poszukać własnego świata, radzę ci uczynić to teraz. Ten żaglowiec nie zbliży się bardziej do twojej płaszczyzny.

Elryk nie skrywał gniewu. Zaklął głośno, wzywając imienia Ariocho i położył dłoń na ramieniu niewidomego mężczyzny.

— Co takiego? Nie możecie dobić do brzegów mojego świata?

— Już za późno. — Kapitan był szczerze zakłopotany. — Statek płynie dalej. Niebawem już osiągnie cel długiej podróży.

— Ale jak mam odnaleźć swój świat? Moje czarnoksiężskie moce nie są wystarczające, by przenieść mnie między sferami. Z pomocy demonów także nie mogę tu skorzystać.

— Niedaleko stąd istnieje interesujące cię przejście — oznajmił Kapitan. — Dlatego właśnie proponuję, abyś tu opuścił statek. Dalej już twoja sfera w żadnym miejscu nie przetnie się z tą, w której znajdujemy się obecnie.

— Ale, jak sam powiedziałeś, znajdujemy się w mojej przyszłości.

— Nie obawiaj się. Powrócisz do teraźniejszości. Tutaj czas dla ciebie nie płynie. To dlatego sobie niewiele przypominasz. Z tego powodu nie zapamiętujesz wydarzeń, w których tu uczestniczysz. Musisz odszukać bramę. Purpurowe wrota wyłaniające się z morza u brzegów wyspy.

— Jakiej wyspy?

— Tej, do której się zbliżamy.

Elryk zawahał się.

— A dokąd wy popłyniecie, gdy ja opuszczę statek?

— Do Tanelorn — odparł Kapitan. — Mam tam pewną sprawę do załatwienia. Mój brat i ja musimy wypełnić nasze przeznaczenie. Ten żaglowiec wiezie ładunek, podobnie jak statki ludzi. Wielu będzie starało się nas powstrzymać, jako że obawiają się tego, co ze sobą przywozimy. Możemy zginąć, ale musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by dotrzeć do Tanelorn.

— A więc tam, gdzie pokonaliśmy Agaka i Gagak. . . ?

— To było tylko rozwiane marzenie o Tanelorn, Elryku.

Melnibonéanin wiedział, że Kapitan nie udzieli mu jaśniejszej odpowiedzi.

— Niewielki pozostawiono mi wybór. Mogę żeglować wraz z wami w stronę nieznanymi niebezpieczeństw i nigdy już nie ujrzeć swego świata lub też ryzykować życie, poszukując ukrytej przed moimi oczyma wyspy, zamieszkałej, sądząc po dobiegających z niej odgłosach, przez istoty przeklęte i stworzenia, które na nich żerują.

Kapitan zwrócił ślepą twarz w stronę rozmówcy.

— Wiem o tym — powiedział miękko. — Mimo to jednak nic lepszego nie mogę ci zaoferować.

Wrzaski i przerażone, błagalne okrzyki przybliżyły się, lecz było ich o wiele mniej. Elryk zerknął poza burtę i zdało mu się, że widzi wydobywającą się z wody parę uzbrojonych rąk. Na powierzchni pojawiła się piana, odrażająca i splamiona czerwienią. Wśród szumowin widać było potrzaskane wręgi, strzępy płótna, fragmenty ubrań i proporców, części broni i, coraz częściej, trupy.

— Gdzie toczyła się ta bitwa? — szepnął Blendker, przerażony, lecz jednocześnie zafascynowany widokiem.

— Nie na tej płaszczyźnie — odparł Kapitan. — To, co widzicie, to tylko szczątki, które przedryfowały z jednego świata do drugiego.

— A więc była to walka jakichś nadprzyrodzonych mocy?

Kapitan ponownie się uśmiechnął.

— Nie jestem wszechwiedzący. Ale tak, przypuszczam, że nadprzyrodzone moce odegrały tu jakąś rolę. Wojownicy z połowy świata brali udział w tej potyczce, aby przesądzić o losach wszechświata. Stoczono tu — albo też dopiero stoczy — decydującą bitwę, od której zależy będzie los całej Ludzkości. W niej ustanowione zostanie przeznaczenie Rodzaju Ludzkiego na nadchodzący Cykl.

— Kto brał w tym udział? — spytał Elryk, łamiąc daną sobie obietnicę. — Jaki był jej wynik?

— Przypuszczam, że dowiesz się tego w swoim czasie. — Kapitan ponownie zwrócił twarz ku powierzchni morza.

Blendker wciągnął głęboko powietrze.

— Tfu! Ależ cuchnie!

Elryk także zwrócił uwagę, że woda poczęła wydzielać coraz silniejszy odór. Gdzieś na powierzchni pojawiły się migotliwe ogniki, oświetlając tonących. Niektórzy z nich wciąż jeszcze zaciskali dłonie na kawałkach szerniałego drewna. Nie wszystkie twarze należały do ludzi (choć zdawało się, że nigdy wszystkie te rysy były ludzkie); istoty o świńskich ryjach i krowich pyskach wznosiły błagalnie ręce do przepływającego obok nich Ciemnego Statku i lamentując prosiły o ratunek, ale Kapitan nie zwracał na nie uwagi, a Sternik nie zbacał z kursu.

Przygasające ognie trzaskały. Woda zasyczała. Dym począł się mieszać z mgłą. Elryk, rękawem zakrywając nos i usta, był zadowolony, że wszelkiego rodzaju opary przesłaniają ponury widok. Im więcej bowiem rozbitków przynosiły fale, tym częściej dawało się wśród nich dostrzec stwory bardziej podobne gadom niż ludziom. Z białych jaszczurczych brzuchów tych stworzeń wyciekał nie przypominający krwi płyn.

— Jeżeli to ma być moja przyszłość — powiedział Elryk do Kapitana — to chyba już wolę pozostać na statku.

— Ty też masz swoje powinności do spełnienia — odparł cicho Kapitan. — Obowiązki wobec przyszłości są równie ważne, jak te wobec przeszłości i teraźniejszości.

Albinos potrząsnął głową.

— Uciekłem od trudów władania Melniboné, by odnaleźć wolność. Muszę być niezależny.

— Nie — mruknął Kapitan. — Nie ma takiej rzeczy jak wolność. Nie teraz. Nie dla nas. Przez wiele trzeba nam jeszcze przejść, nim dowiemy się, czym w ogóle jest wolność. Cena, za którą można zdobyć tę wiedzę jest prawdopodobnie wyższa, niż byłbyś skłonny zapłacić na tym etapie twego życia. Zaiste, często

tą ceną jest samo życie.

— Uciekając z Melniboné szukałem także wytchnienia od metafizycznych rozważań — westchnął Elryk. — Cóż, zabiorę to, co pozostało z mego ekwipunku i poszukam łądu, o którym wspominałeś. Przy odrobinie szczęścia szybko zlokalizuję Purpurowe Wrota i znajdę się wśród trudów i niebezpieczeństw, które przynajmniej są mi znajome.

— Nie mogłeś podjąć innej decyzji. — Ślepa twarz Kapitana zwróciła się w stronę Blendkera. — A ty, Otto? Co ty zrobisz?

— Świat Elryka nie jest moim i nie podobają mi się dochodzące stamtąd krzyki. Co możesz mi zaoferować, panie, jeżeli poześlę z tobą dalej?

— Nic, prócz dobrej śmierci — odparł z żalem Kapitan.

— Śmierć jest obietnicą daną nam przy narodzinach, panie. Dobra śmierć jest lepsza niż zła. Pozostanę na statku.

— Jak sobie życzysz. Myślę, że jesteś mądrym człowiekiem. — Kapitan westchnął. — Cóż, żegnaj, Elryku z Melniboné. Dzielnie walczyłeś w mojej służbie i dziękuję ci za to.

— Jaki był cel tego czynu?

— Och, nazwij go jak chcesz. Dobrem ludzkości. Przeznaczeniem. Albo marzeniem czy ideą.

— Czy nigdy nie otrzymam jaśniejszej odpowiedzi?

— Nie ode mnie. Nie przypuszczam, by taka w ogóle była możliwa.

— Nie można powiedzieć, byś dodawał ludziom wiary. — Elryk podszedł do zejściówki.

— Są dwa rodzaje wiary, Elryku. Podobnie jak wolności. Jedną łatwo się osiąga, ale wkrótce okazuje się, że nie było warto jej szukać. Drugą zdobyć jest trudno. Zgadzam się z tobą, nie staram się w ludziach umacniać tej pierwszej.

Elryk ruszył w stronę swojej kabiny. Roześmiał się, czując przyływ sympatii do Kapitana.

— Myślałem, że moje upodobanie do wyrażania się dwuznacznikami jest rzadkością. Teraz widzę, że trafiłem na podobnego sobie, Kapitanie.

Zauważył, że Sternik opuścił swój posterunek przy kole i przygotowywał windę dziobową do zwodowania szalupy.

— Czy to dla mnie?

Sternik skinął głową.

Elryk zszedł do kabiny. Opuszczał statek tak, jak na niego przybył, mając ze sobą tylko ubranie i broń. Jedyne różnica polegała na tym, że jego dobytek był teraz bardziej zniszczony, a umysł — wzburzony.

Bez wahania zebrał swoje rzeczy, narzucił ciężki płaszcz, naciągnął rękawice, poprawił sprzączki i rzemienie, po czym opuścił kabinę i powrócił na pokład. Kapitan wskazał ręką widoczne we mgle ciemne zarysy wybrzeża.

— Czy widzisz łąd, Elryku?

— Tak.

— Wobec tego musisz się pospieszyć.

— Z chęcią.

Elryk przedostał się ponad relingiem i wszedł do szalupy. Łódź kilkakroć uderzyła o burtę, tak że rozległ się dźwięk przypominający dudnienie jakiegoś olbrzymiego pogrzebowego bębna. Poza tym, na osnutych mgłą wodach, panowała teraz absolutna cisza. Po rozbitkach i szczątkach statków nie pozostało ani śladu.

Blendker pozdrowił Elryka gestem.

— Życzę szczęścia, przyjacielu.

— Nawzajem, Otto.

Wśród skrzypienia bloków szalupa poczęła się opuszczać ku nieruchomej powierzchni morza. Elryk chwycił linę i puścił ją dopiero, gdy łódź uderzyła o taflę wody. Potykając się podszedł do ławeczki, usiadł na niej i odczepił liny. Szalupa natychmiast odpłynęła od burty Ciemnego Statku. Melnibonéanin wydobył wiosła i umocował je w dulkach.

Wiosłując w stronę brzegu usłyszał głos Kapitana wołający za nim, ale nie mógł rozróżnić tłumionych przez mgłę słów. Nigdy nie dowiedział się, czy ślepy mężczyzna chciał w ostatniej chwili go przed czymś przestrzec, czy też przesyłał mu po prostu słowa pożegnania. Nie dbał jednak o to. Łódź sunęła gładko; mgła poczęła się przeredzać, ale równocześnie nikła czerwona poświata.

Nagle znalazł się pod zmierzającym niebem; słońce już zaszło, ukazywały się gwiazdy. Zanim dobił do brzegu, było już zupełnie ciemno. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Albinos z trudem wyciągnął łódź na brzeg, pozostawiając ją na czymś, co zdawało się gładką skałą, ale w ciemności nic nie mógł dostrzec. Potykając się szedł w głąb wyspy, póki nie uznał, że jest już poza zasięgiem przypływu.

Wzdychając głęboko położył się, zamierzając tylko uspokoić skołatany umysł i ruszyć w dalszą drogę. Zanim się jednak spostrzegł, już spał jak kamień.

Rozdział 2

Elryk śnił.

Widział, jak zamiera jemu znany świat, a wraz z nim cały cykl historii kosmosu. Śniło mu się, że jest nie tylko sobą, Elrykiem z Melniboné, ale równocześnie innymi mężczyznami, którzy zaprzysięgli, że dążyć będą do jakiegoś szczytnego celu, chociaż sami nie za bardzo potrafili go dokładnie określić. Wydawało mu się także, że leżąc wyczerpany na plaży, gdzieś poza granicami Pikaraydu, śni o Ciemnym Statku i Tanelorn oraz o Agaku i Gagak. Gdy się zbudził, uśmiechnął się ironicznie, gratulując sobie w duchu posiadania równie wybujałej wyobraźni. Mimo to nie mógł całkowicie otrząsnąć się z wrażenia, które wywarł na nim ów sen.

Brzeg wyglądał jakoś inaczej. Albinos pomyślał, że najwyraźniej coś dziwnego musiało się wydarzyć, podczas gdy on spał. Być może został odurzony narkotykiem przez łowców niewolników, którzy porzucili go następnie, gdy zdali sobie sprawę, że nie będą z niego mieli wiele pożytku? Ale nie, to mało prawdopodobne. Postanowił przede wszystkim ustalić, gdzie jest. Może równocześnie znajdzie rozwiązanie tej zagadki.

Z całą pewnością światało. Elryk usiadł i rozejrzał się dokoła.

Znajdował się na ciemnej, wygładzonej przez morze wapiennej powierzchni, w wielu miejscach spękanej tak, że strumienie spienionej morskiej wody wdzierały się w głębokie szczeliny i przemierzały je z sykiem i chlupotem, zakłócającym absolutną poza tym ciszę tego spokojnego poranka.

Elryk powstał z trudem, podpierając się schowanym do pochwy mieczem. Błede powieki na moment przysłoniły lśniące purpurą oczy; Melnibonéanin usilnie próbował odtworzyć w pamięci wydarzenia, które poprzedzały dotarcie na to wybrzeże.

Przypominał sobie ucieczkę z Pikaraydu, panikę, poczucie bezsilności i apatię, sny. Skoro najwyraźniej był żywy i nie znajdował się w niewoli, musiało to świadczyć o tym, że ostatecznie jego prześladowcy zaprzestali pościgu. Gdyby go bowiem odszukali, zabiliby go bez wahania.

Otworzył oczy i, rozglądając się po okolicy, zwrócił uwagę na niezwykle błę-

kitne zabarwienie padającego światła (bez wątpienia złudzenie, wywołane tym, że słońce przesłonięte było warstwą szarych chmur), w którym cały krajobraz nabierał upiornego wyglądu, a morze — matowego, metalicznego połysku.

Wapienne skały, wynurzające się z wody i rozciągające wokół terasami, odbijały światło niczym wypolerowany ołów. Powodowany nagłym impulsem Elryk wyciągnął rękę w stronę słońca i przyjrzał się jej uważnie. Zwykle zimna biel skóry nabrała teraz cieplejszego, niebieskawego odcienia. Rozbawiony tym Elryk uśmiechnął się niczym dziecko, w niewinnym podziwie.

Spodziewał się, że wkrótce zmoży go zmęczenie, lecz zamiast tego czuł się niezwykle wypoczęty, jak gdyby spał długo po sutym obiedzie. Postanowił nie zastanawiać się nad tym niezwykłym i nieprawdopodobnym zjawiskiem. Zdecydował się wdrapać na urwisko w nadziei, że gdy zorientuje się w swym położeniu, łatwiej mu będzie obrać właściwy kierunek.

Wapienne zbocza były trochę zdradliwe, lecz wspinaczka nie należała do trudnych, gdyż zawsze udawało mu się znaleźć miejsca, gdzie poszczególne terasy nie były od siebie zbyt oddalone.

Wspinał się ostrożnie i wytrwale. Spękany wapień w wielu miejscach zapewniał dobre oparcie dla nóg, tak że albinos osiągnął znaczną wysokość w dość krótkim czasie, chociaż gdy znalazł się wreszcie na szczycie, zbliżało się już południe. Stał na brzegu rozległego, kamiennego terenu, ze wszystkich stron raptownie opadającego stromymi urwiskami, dzięki czemu horyzont nie sprawiał wrażenia odległego. Ponad równiną znajdowało się już tylko niebo. Poza rosnącymi z rzadka brązowymi kępkami trawy nie było tu żadnej roślinności ani też śladu istnienia tubylców. Dopiero teraz Elryk zdał sobie sprawę, że cała okolica pozbawiona jest wszelkich oznak życia. Nawet jeden ptak nie szybował ponad jego głową, żaden owad nie pełzał w trawie. Nad brązową wyżyną panowała nie zmacona niczym cisza.

W niewytłumaczalny sposób Elryk nadal nie czuł zmęczenia. Postanowił wykorzystać niespodziewany przyptyw sił i dojść do przeciwległego krańca wapiennego wzniesienia. Miał nadzieję, że stamtąd dostrzeże jakąś wioskę lub miasto. Parł naprzód, nie odczuwając głodu ani pragnienia. Poruszał się szybko, ale widać niewłaściwie ocenił odległość, bo słońce poczęło się już kłonić ku zachodowi, a on wciąż jeszcze nie osiągnął celu podróży. Niebo przy horyzoncie zabarwiło się głębokim, aksamitnym fioletem. Nieliczne chmury również przybrały błękitny odcień. Dopiero wówczas Elryk zauważył, że słońce także nie świeci jak zwykle, lecz płonie ciemną purpurą. Zastanowił się, czy przypadkiem nie jest to dalszy ciąg snu.

Grunt pod nogami począł się wznosić stromo pod górę i dalsza wędrówka stała się o wiele trudniejsza. Zanim jednak blask słoneczny przygasł całkowicie, Elryk znalazł się na stromym zboczu opadającym w szeroką, pozbawioną drzew dolinę, na której dnie, wśród skał, rdzawej darni i paproci, wiła się rzeka.

Po krótkim odpoczynku, pomimo zapadającej nocy, Elryk postanowił iść dalej i sprawdzić, czy uda mu się dotrzeć do rzeki, skąd miałby przynajmniej wodę do picia i gdzie rano udałoby mu się może nałowić ryb.

Księżyc nie pojawił się jednak tej nocy, co bardzo utrudniało wędrowkę. Mel-nibonéanin przez dwie lub trzy godziny parł przed siebie wśród niemalże kompletnych ciemności, co chwila potykając się o większe głazy, aż w końcu grunt przestał opadać i Elryk nabrał pewności, że wreszcie dotarł do dna doliny.

Czuł wielkie pragnienie, a także lekki głód. Mimo to zdecydował odczekać do świtu i wówczas dopiero ruszyć na poszukiwanie rzeki. Obchodząc jednak dokoła jakąś wyjątkowo wysoką skałę z pewnym zdumieniem dostrzegł odbłask płonącego ogniska.

Przy odrobinie szczęścia mogło to być obozowisko kupców, karawana zmierzająca w stronę jakichś bardziej cywilizowanych krain, do której może udałoby mu się przyłączyć oferując w zamian swój miecz na usługi podróżnych. Nieraz już, odkąd opuścił Melniboné, zarabiał w ten sposób na swe utrzymanie.

Elryk nie wyzbył się jednak całkowicie dawnych odruchów: zbliżał się do ognia ostrożnie, tak by nikt nie mógł go dojrzeć w ciemności. Zatrzymał się pod nawisem skalnym i, stojąc poza otaczającym ogień kręgiem światła, obserwował grupę siedzących lub leżących przy ognisku piętnastu czy szesnastu mężczyzn, zabawiających się grą, wymagającą kostek i kawałków kości słoniowej z wypisanymi na nich cyframi.

W blasku ognia połyskiwały złoto, srebro i brąz, którymi grający obstawiali wypadające na kostkach i kawałkach kości cyfry.

Elryk doszedł do wniosku, że o ile ludzi tych całkowicie nie pochłaniała gra, słyszeli na pewno, jak się zbliżał. Nie byli to bowiem kupcy. Sądząc z wielu oznak musieli to być wojownicy. Ich odzież składała się z podniszczonych skór i powyginanych fragmentów zbroi, a broń trzymali w pogotowiu. Nie należeli jednak do żadnej armii — chyba że do armii bandytów — gdyż stanowili zbieraninę ludzi różnych ras i (co najdziwniejsze) zdawali się pochodzić z różnych epok w historii Młodych Królestw.

Ich obozowisko wyglądało niemalże na muzealny zbiór reliktyw przeszłości. Halabardnik z czasów późnej Republiki Lormyriańskiej, której upadek nastąpił jakieś dwieście lat temu, leżał wspierając się ramieniem o łokieć siedzącego obok łuczniaka z Chalalite, pochodzącego z czasów niemal współczesnych Elrykowi. Przy Chalalityczyku siedział krępy Ilmioranin, żołnierz piechoty z zeszłego stulecia. Tuż obok niego zajmował miejsce Filkharyjczyk, którego barbarzyńska odzież świadczyła, że pochodzi on z najdawniejszej przeszłości tego królestwa. Poza tym znajdowali się tu Tarkeszyci, Shazarianie i Yilmirianie, a jedynymi wspólnymi im cechami były poządliwość i niegodziwość malujące się na ich obliczach.

W innych okolicznościach Elryk ominąłby z dala takie obozowisko i poszedł

w dalszą drogę, teraz jednak tak był spragniony widoku ludzkiej twarzy, że z przyjemnością obserwował podróżnych, nie zwracając uwagi na ich niezbyt pociągające przymioty.

Jeden z mężczyzn, z wyglądu mniej nikczemny niż pozostali, krępy, czarnobrody i łysy morski wojownik, odziany był na modłę mieszkańców Purpurowych Miast w skórę i jedwabie. On to właśnie wyjął z sakiewki duży złoty melnibonéański krążek — monetę, która w przeciwieństwie do innych nie była bita w mennicach, lecz rzeźbiona przez zręcznych rzemieślników w zawile, starożytne wzory. Na ten widok ciekawość Elryka wzięła górę nad czujnością.

Bardzo niewiele tych monet istniało w Melniboné, a Elryk nie słyszał o żadnej, która znajdowałaby się poza jego granicami, jako że nie były one walutą używaną w handlu z mieszkańcami Młodych Królestw. Nawet melnibonéańska szlachta wysoko sobie ceniła ich posiadanie.

Elryk doszedł do wniosku, że mężczyzna mógł otrzymać ten szczególny pieniądz tylko od jakiegoś podróżnego z Melniboné, lecz nie znał żadnego ziomka, który dzieliłby ze swym cesarzem pasję badacza obcych krain. Zapominając o ostrożności Elryk wstąpił w krąg światła.

Gdyby jego myśli nie były skupione na Melnibonéańskim krążku, albinos na pewno odczułby satysfakcję na widok poruszenia, jakie zapanowało w obozie. Mężczyźni gorączkowo chwyтали za broń i w przeciągu kilku sekund wszyscy byli już na nogach.

Na moment trzeba było zapomnieć o monecie. Trzymając jedną rękę na głównej miecza, Elryk wyciągnął drugą dłoń przed siebie w przyjaznym geście.

— Wybaczcie, że was niepokoję, panowie. Podobnie jak wy jestem strudżonym żołnierzem, który gorąco pragnie przyłączyć się do waszej kompanii. Chętnie zasięgnąłbym także pewnych informacji i nabył trochę jedzenia, jeżeli macie go pod dostatkiem.

Wojownicy, stojąc, jeszcze bardziej przypominali bandę łotrzyków. Wymienili między sobą szelmowskie uśmiechy. Uprzejmość Elryka ubawiła ich, ale nie wywarła większego wrażenia.

Jeden z nich, o śniadej, okrutnej twarzy osłoniętej zdobnym w pióra hełmem, zdradzającym mistrza morskiego z Pan Tangu, wyciągnął do przodu swą długą szyję i odezwał się kpiąco:

— Wystarcza nam własne towarzystwo, białoskóry. I niewielu z nas żywi sympatię do ludzi-demonów z Melniboné. Musicie być wściekle bogaci.

Elryk przypomniał sobie, z jaką niechęcią traktowano Melnibonéan w Młodych Królestwach. Przodowali w tym zwłaszcza mieszkańcy Pan Tangu, którzy zazdrościli Smoczej Wyspie władzy i mądrości. Ostatnio poczęli oni nieudolnie naśladować Melniboné.

Były cesarz zdwoił czujność i powiedział beztrasko:

— Mam trochę pieniędzy.

— A więc weźmiemy je, demonie — Tangijczyk wyciągnął brudną rękę tuż przed nosem Elryka i warknął: — Dawaj, co masz i ruszaj w swoją stronę.

Melnibonéanin uśmiechnął się, z wyższością, lecz uprzejmie, jak gdyby jego rozmówca opowiedział jakiś kiepski żart.

Tangijczyk najwyraźniej uważał, że dowcip był niezły, bo roześmiał się gromko i rozejrzał po kompanach, oczekując uznania.

Ochryple rechotanie zakłóciło ciszę nocy. Jedynie łysy, czarnobrody mężczyzna nie przyłączył się do ogólnej wesołości i odstąpił jeden czy dwa kroki w tył, podczas gdy pozostali posunęli się do przodu.

Tangijczyk zbliżył twarz do twarzy Elryka; jego oddech cuchnął, a broda i włosy aż roiły się od wszy. Jednak Melnibonéanin nie cofnął się i tonem równie opanowanym co przedtem powiedział:

— Dajcie mi coś do zjedzenia, butelkę wody, trochę wina, jeśli je macie, a chętnie oddam wam wszystkie pieniądze, jakie posiadam.

Wywołało to kolejną lawinę śmiechu, którą jednak przerwał spokojny głos Melnibonéanina:

— Jeżeli jednak chcielibyście zabrać mi pieniądze, nie pozostawiając nic w zamian, wiedźcie, że mam dobry miecz i umiem się nim posługiwać.

Tangijczyk wysilił się, by dorównać Elrykowi w ironii.

— Czyżbyś nie zauważał, panie Demonie, że przeważamy nad tobą liczebnie? I to znacznie?

— Owszem — odparł miękko albinos. — Ale fakt ten nie wywarł na mnie większego wrażenia. — Wypowiadając te słowa wyciągnął czarną klingę z pochwy, gdyż ruszyli na niego całą gromadą.

Tangijczyk zginał jako pierwszy, raniony w bok, tak że padł z przeciętym kręgosłupem. Zwiastun Burzy, pożałszy jego duszę, począł śpiewać.

Następny umarł Chalalityczyk, gdy wycelowawszy oszczep w Elryka skoczył i nadział się prosto na ostrze jego miecza. Klinga zamruczała z rozkoszy.

Ale dopiero gdy Melnibonéanin gładko ściał głowę z ramion uzbrojonego w dzidę Filkharyczyka, Zwiastun Burzy począł zawodzić swą pieśń i wstąpiło weń życie; czarne ogniki pojawiły się na całej jego długości, dziwaczne runy roz błysły.

Teraz przeciwnicy wiedzieli już, że przyszło im zmagać się z magią i stali się ostrożniejsi, chociaż nie zaprzestali walki. Elryk, zadając i odparowując ciosy, tnąc i siekąc, potrzebował całej energii, której dostarczał mu miecz.

Bronił się przed lancami, mieczami, toporami i sztyletami; zadawał i otrzymywał rany, lecz żywi wciąż jeszcze przeważali liczebnie nad poległymi. Elryk został już odparty pod samą skałę, a nadal tuzin ostrzy wyciągał się chciwie ku niemu.

W tym właśnie momencie, gdy Elryk zaczął już powątpiewać, czy da sobie radę z tyloma przeciwnikami naraz, łysy wojownik, trzymając w odzianej w ręką-

wicę dłoni topór, a w drugiej miecz, wstąpił szybko w krąg światła i zaatakował swych najbliższych stojących towarzyszy.

— Dziękuję ci, panie — zdołał krzyknąć Elryk, wykorzystując przerwę w walce, jaką spowodował ten nieoczekiwany rozwój sytuacji. Podniesiony na duchu Melnibonéanin ponownie ruszył do ofensywy.

Lormyrianin został rozplatany od biodra po miednicę, gdy właśnie składał się do finty; Filkharianin, który powinien był umrzeć cztery stulecia wcześniej, padł z krwią bryzgającą z ust i nosa. Wokół Elryka utworzyła się sterta trupów. Zwiastun Burzy nieprzerwanie śpiewał złowieszczą pieśń bitewną i nadal dostarczał swemu panu całą pochłanianą przez siebie moc, tak że z każdym zabitym wrogiem Elryk nabierał nowych sił do walki.

Pozostali przy życiu zaczęli teraz żałować zbyt pochopnego ataku. W miejsce przekleństw i gróźb z ich ust poczęły wydobywać się płaczliwe prośby o litość. Ci, którzy śmiali się przedtem z zuchwałą chełpliwością, łkali teraz niczym małe dziewczynki. Elryk jednak, którego jak za dawnych czasów przepelniał bitewny zapał, nie oszczędzał nikogo.

W tym czasie człowiek z Wyspy Purpurowych Miast, nie wspomagany przez magię, robił dobry użytek ze swego topora i miecza, walcząc jednocześnie z trzema spośród swych byłych kompanów. Potyczka sprawiała mu taką radość, jak gdyby już od jakiegoś czasu pielęgnował w sercu nadzieję, że kiedyś do niej dojdzie.

— Yoi! — krzyknął czarnobrody. — Co za piękna masakra! Warto było na to poczekać!

Nagle rzeź dobiegła końca. Elryk zdał sobie sprawę, że wokół nie było nikogo żywego prócz niego i jego nowego sprzymierzeńca, który stał opierając się na swym toporze, dysząc i szczerząc zęby niczym ogar na polowaniu. Mężczyzna ponownie nasadził na ciemną stalową myckę, która spadła mu z głowy w wirze walki i otarł zakrwawionym rękawem pot perlący się na czole, po czym odezwał się głębokim, dobrodusznym tonem:

— No i proszę, wychodzi na to, że to my jesteśmy bogaci.

Elryk schował do pochwy opierającego się Zwiastuna Burzy.

— Pożadasz ich złota. Czy to dlatego mi pomogłeś?

Czarnobrody wojownik roześmiał się.

— Byłem im to dłużny. Cierpliwie czekałem, aż nadejdzie czas spłaty. Te lotry stanowiły resztkę bandy piratów, która napadła na mój statek i wyrznęła wszystkich, gdy wpłynęliśmy na obce nam wody. Zabiliby i mnie, ale powiedziałem, że chciałbym się do nich przyłączyć. Teraz dokonałem zemsty. Ale nie pogardzę złotem, bo większa jego cześć należała do mnie i do mych poległych braci. Gdy wrócę do Purpurowych Miast, zwrócę je ich żonom i dzieciom.

— Jak udało ci się przekonać bandytów, by cię nie zabijali? — Elryk przetrząsał resztki obozowiska w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. W końcu znalazł

kawałek sera i wpakował go sobie do ust.

— Nie mieli ani kapitana, ani nawigatora. Nie byli to w ogóle prawdziwi żeglarze tylko przybrzeżni rozbójnicy, piraci nie oddalający się od tej wyspy. Wiesz, wszyscy oni zostali wyrzuceni na te brzegi przez fale i chociaż ostatecznie poczęli parać się piractwem, nie odważali się wypłynąć na pełne morze. Poza tym, po walce nie mieli też statku. Udało nam się go zatopić. Tak więc moim żaglowcem przybiliśmy do brzegu tej wyspy. Zapasy żywności były już jednak na wyczerpaniu, a ja nie miałem odwagi wyruszać dalej z pustymi ładowniami. Udałem, że znam dobrze to wybrzeże (niechaj bogowie zabiorą mą duszę, jeżeli jeszcze kiedyś powrócę w te strony) i zaproponowałem, że zaprowadzę ich w głąb ładu do wioski, którą będą mogli splądrować. Oni co prawda nie słyszeli nigdy o żadnej tutejszej osadzie, ale uwierzyli mi, gdy powiedziałem, że leży ona w ukrytej dolinie. W ten sposób na jakiś czas ocalałem życie i czekałem tylko okazji, by móc się zemścić. Była to głupia nadzieja, wiem. Lecz jednak — wojownik wyszczerzył zęby w uśmiechu — okazało się, że nie była płonna, no nie?

Czarnobrody mężczyzna zerknął niespokojnie na Elryka, niepewny, co albinos na to powie. Żywił nadzieję, że zaskarbi sobie jego sympatię, chociaż wszyscy opowiadali o tym, jak wyniosli są Melnibonéanie. Elryk dobrze wiedział, co dzieje się w umyśle jego nowego towarzysza; wielokrotnie już spotykał ludzi czyniących podobne kalkulacje. Uśmiechnął się więc szeroko i klepnął czarnobrodego w ramię.

— Mnie też uratowałeś życie, przyjacielu. Obaj możemy uważać się za szczęściarzy.

Mężczyzna odetchnął z ulgą i przytroczył sobie topór do pleców.

— Tak, można to nazwać szczęściem. Ale zastanawiam się, czy nadal będzie nam ono sprzyjać?

— A więc w ogóle nie znasz tej wyspy?

— Okolicznych wód też nie. Nie mam pojęcia, jak się tu znaleźliśmy. Bez wątpienia te morza są zaczarowane. Widziałeś, jakiego koloru jest słońce?

— Tak.

— No cóż — żeglarz schylił się, by zdjąć medalion z szyi Tangijczyka. — Na pewno lepiej ode mnie posługujesz się czarami i zaklęciami. Jak to się stało, że się tu znalazłeś, panie Melnibonéanie?

— Nie mam pojęcia. Uciekałem przed pościgiem, aż dotarłem do wybrzeża, skąd nie mogłem już iść dalej. Potem wiele śniłem. Gdy obudziłem się, nadal leżałem nad brzegiem morza, ale na tej wyspie.

— Pewnie jakieś duchy — być może przyjazne tobie — ukryły cię w bezpiecznym miejscu, z dala od prześladowców.

— To możliwe — zgodził się Elryk — bo mam wielu sprzymierzeńców pośród żywiołów. Nazywam się Elryk i z własnej woli jestem wygnańcem z Melniboné. Podróżuję po świecie, bo wierzę, że muszę się czegoś nauczyć od mieszkańców

Młodych Królestw. Nie mam żadnej mocy, oprócz tej, którą widziałeś... Czarnobrody mężczyzna zmrużył oczy z uznaniem i wskazał kciukiem na swą pierś.

— Jestem Smiorgan Łysy, niegdyś władca mór z Purpurowych Miast. Dowodziłem flotą kupców. Może nadal jej dowodzę. Nie dowiem się tego, póki nie powrócę — jeżeli w ogóle to jest możliwe.

— Podzielmy się więc wiedzą oraz dobytkiem, Smiorganie Łysy, i zastanówmy się, jak można najszybciej opuścić tę wyspę.

Elryk podszedł do miejsca, gdzie uwalane we krwi i błocie leżały rekwizyty przerwanej gry. Pomiedzy kostkami, kawałkami kości słoniowej oraz srebrnymi i brązowymi monetami dostrzegł złotą Melnibonéańską monetę. Podniósł ją i położył na otwartej dłoni, którą krążek przykrył niemal całkowicie. W dawnych czasach stanowił on walutę królów.

— Czy to należało do ciebie, przyjacielu?

Smiorgan Łysy, który nadal obszukiwał martwego Tangijczyka, mając widać nadzieję odzyskać część skradzionego dobytku, uniósł głowę.

— Tak. Czy zechciałbyś zatrzymać ją jako część twego udziału?

Elryk wzruszył ramionami.

— Chętniej dowiedziałbym się, skąd pochodzi. Kto ci ją dał?

— Nie została skradziona. Czy to Melnibonéańska moneta?

— Tak.

— Domyślałem się tego.

— Od kogo ją otrzymałeś?

Smiorgan wyprostował się, zakończywszy poszukiwania. Potarł dłonią lekką ranę na przedramieniu.

— Stanowiła część zapłaty za przejazd, zanim się zgubiliśmy. Zanim zaatakowali nas bandyci.

— Mieliście pasażera? Melnibonéanina?

— Być może — odparł Smiorgan. Najwyraźniej nie zamierzał snuć żadnych domysłów.

— Czy to był wojownik?

— Nie — Smiorgan uśmiechnął się pod wąsem. — Kobieta.

— Jak to się stało, że chciała płynąć na twym statku?

Smiorgan zaczął podnosić z ziemi resztę monet.

— To długa historia, częściowo podobna do wszystkich opowieści morskich kupców. Szukaliśmy nowych rynków zbytu dla naszych towarów i wystawiliśmy sporą flotę, którą dowodziłem ja jako największy udziałowiec. — Czarnobrody usadowił się beztrąsko na szerokim tułowiu Chalalityczyka i począł liczyć pieniądze. — Chciałbyś usłyszeć moją opowieść czy już cię zanudziłem?

— Chętnie jej wysłucham.

Sięgając za siebie, Smiorgan wydobył flaszkę z winem z pasa Chalalityczyka i podał ją Elrykowi. Ten przyjął ją i pociągnął łyk trunku, który okazał się

nadspodziewanie dobry.

Gdy Elryk skończył pić, Smiorgan wyciągnął rękę po flaszkę.

— To była część naszego ładunku — powiedział. — Byliśmy z niego bardzo dumni. Niezły rocznik, prawda?

— Wyśmienity. A więc wypłynęliście z Purpurowych Miast?

— Tak. Kierowaliśmy się na wschód, ku Nieznanym Królestwom. Trzymaliśmy ten kurs przez kilka tygodni, żeglując u wybrzeży najsmutniejszych krain, jakie zdarzało mi się widzieć. Potem zaś przez tydzień nie widzieliśmy żadnego łądu. W końcu wpłynęliśmy na wody, które nazwaliśmy Ryczącymi Skałami. Przypominały one Wężowe Zęby u wybrzeży Shazar, ale były większe, rozleglejsze. Po obu stronach, z morza wyrastały olbrzymie wulkaniczne urwiska, wokół których woda burzyła się, pieniała i huczała z niespotykaną gwałtownością. Cóż, krótko mówiąc flota rozproszyła się, a co najmniej cztery statki rozbiły się na skałach. W końcu udało nam się opuścić ten niegościnnie akwen, lecz wówczas, osamotnieni, zostaliśmy unieruchomieni przez flautę. Przez pewien czas poszukiwaliśmy pozostałych statków, aż w końcu zdecydowaliśmy, że będziemy płynąć dalej jeszcze przez tydzień, a potem wrócimy do domu. Zresztą wcale nam się nie spieszyło z powrotem między Ryczące Skały. Już kończyły nam się zapasy żywności, gdy wreszcie ujrzeliśmy łąd: trawiaste zbocza, gościnne plaże, a w głębi — pola uprawne. Wiedzieliśmy więc, że znajdujemy się w cywilizowanej okolicy. Zawinęliśmy do małego portu rybackiego i przekonaliśmy tubylców — którzy nie mówili żadnym z języków używanych w Młodych Królestwach — o naszych przyjaznych zamiarach. Wtedy właśnie zbliżyła się do nas ta kobieta.

— Melnibonéanka?

— Może i tak. W każdym razie była bardzo ładna. Jak już powiedziałem, kończyły się nam zapasy i było mało prawdopodobne, byśmy mogli je zakupić na łądzie, jako że rybacy nie potrzebowali towarów, które mogliśmy zaoferować w zamian. I tak, skoro zrezygnowaliśmy z pierwotnego celu podróży, z radością skorzystaliśmy z możliwości powrotu na zachód.

— A kobieta?

— Chciała płynąć do Młodych Królestw i zgodziła się, by zabrać ją do Menii, naszego macierzystego portu. Za przejazd zapłaciła nam dwoma takimi krążkami. Jeden z nich posłużył do zakupu żywności w mieście — chyba nazywało się Graghin. Później zaś, po dokonaniu niezbędnych napraw ruszyliśmy w drogę powrotną.

— Nie dopłynęliście jednak do Purpurowych Miast?

— Rozpętały się jakieś dziwne sztormy. Nasze przyrządy okazały się bezużyteczne, kompasy nie stanowiły żadnej pomocy. Zgubiliśmy się już dokładnie. Niektórzy z moich ludzi uważali, że wypłynęliśmy poza obręb naszego świata. Niektórzy oskarżali kobietę, twierdząc, że jest czarodziejką, która wcale nie miała zamiaru płynąć do Menii. Ja jednak jej wierzyłem. Zapadła noc i zdawało się,

że wieki minęły, zanim nastał spokojny świt i wzeszło błękitne słońce. Moi ludzie byli bliscy paniki — a nie tak łatwo ogarniał ich strach — gdy ujrzelśmy tę wyspę. Zmierzaaliśmy ku jej brzegom, kiedy zaatakowali nas piraci na statku, który należał do historii. Powinien był on spocząć na morskim dnie już dawno temu. Widywałem podobne żaglowce na freskach zdobiących mury świątyń w Tarkeshu. Kiedy się z nimi zderzyliśmy, w lewej burcie ich łajby powstała wielka dziura. Łódź napastników tonęła, a oni nadal tłoczyli się na jej pokładzie. To byli dzicy ludzie, gotowi na wszystko, Elryku, na wpełzanie i żądnię krwi. Byliśmy zmęczeni po długiej podróży, ale walczyliśmy dzielnie. Podczas potyczki kobieta zniknęła. Być może popełniła samobójstwo, gdy przyjrzała się z bliska zwycięzcom. Po długiej walce wśród żywych pozostałem tylko ja i jeden z moich towarzyszy, który zresztą wkrótce umarł. Wówczas to postanowiłem przechrzyć tych bandytów i czekać na sposobność zemsty.

— Czy kobieta miała jakieś imię?

— Nie podała żadnego. Przemyślawszy ponownie tę sprawę ja także doszedłem do wniosku, że zostaliśmy przez nią wykorzystani. Być może wcale nie szukała Menii ani Młodych Królestw, tylko chciała znaleźć się właśnie w tym świecie i doprowadziła nas tu za pomocą magii.

— W tym świecie? Dlaczego przypuszczasz, że zmieniliśmy przestrzeń?

— Domyślam się tego patrząc chociażby na kolor słońca. Ty tak nie myślisz? W końcu, jako Melnibonéanin, musisz sporo wiedzieć o tych sprawach i wierzyć w nie.

— Owszem, śniło mi się coś takiego — przytaknął Elryk, lecz nie chciał powiedzieć nic ponadto.

— Większość piratów podzielała moje zdanie. Pochodzili oni ze wszystkich wieków historii Młodych Królestw — tyle przynajmniej udało mi się ustalić. Niektórzy urodzili się w najwcześniejszych latach obecnej ery, inni w czasach nam współczesnych, a pozostali w przyszłości. Większość z nich stanowili poszukiwacze przygód, którzy na którymś etapie życia dążyli do legendarnej krainy o niezmiernym bogactwie, jaka miała leżeć po drugiej stronie starożytnej bramy wznoszącej się pośrodku oceanu. Jednak zamiast tego znaleźli się tutaj, w pułapce, i nie mogli wrócić przez tajemniczą bramę do własnego świata. Inni z kolei uczestniczyli w morskich bitwach, wydawało im się, że toną, po czym budzili się na brzegu wyspy. Przypuszczam, że wielu z nich było niegdyś obdarzonych rozmaitymi przymiotami, ale na tej niegościnniej wyspie odezwała się w nich wilcza natura i zaczęli napadać na statki, które nieszczęśliwie przedostały się przez to przejście do tego świata.

Elryk przypomniał sobie fragment snu.

— Czy może nazywali tę bramę Purpurowymi Wrotami?

— Owszem, niektórzy.

— Wybacz mój sceptycyzm, ale to wszystko brzmi dość nieprawdopodobnie.

Przeszedłem przez wrota cienia do Ameerona i...

— A więc wiesz coś o innych światach?

— O tym nigdy nie słyszałem, chociaż posiadałem sporą wiedzę na temat podobnych miejsc. Stąd biorą się moje wątpliwości. Chociaż w tym śnie...

— W jakim śnie?

— Och, nic takiego. Przywykłem do podobnych widzeń i nie przypisuję im żadnego znaczenia.

— Przecież Melnibonéanina nie powinna zadziwić podobna teoria. — Smiorgan ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To ja powinienem odnosić się do niej sceptycznie, a nie ty.

— Być może bardziej obawiam się tego, co z niej wynika — odparł Elryk, właściwie mówiąc do siebie. Uniósł głowę i ułamanym drzewcem włóczni począł grzebać w ognisku. — Niektórzy starożytni czarnoksiężnicy z Melniboné utrzymywali, że liczba światów współistniejących z naszym jest nieskończona. Zaiste, sny, które nawiedzają mnie od pewnego czasu potwierdzałyby to przekonanie — uśmiechnął się wymuszenie. — Jednak trudno byłoby mi pogodzić się z tym, więc odrzucam tę hipotezę.

— Poczekajmy do świtu — powiedział Smiorgan Łysy. — Kolor słońca będzie najlepszym dowodem na współistnienie różnych światów.

— Albo potwierdzi tylko to, że obaj śnimy — odparł Elryk. Wyraźnie wyczuwał wokół zapach śmierci. Odsunął leżące najbliżej ogniska trupy i ułożył się do snu.

Smiorgan począł śpiewać w swym dialekcie powolną, rytmiczną pieśń. Elryk nie mógł zrozumieć słów.

— Czy opiewasz twe zwycięstwo nad wrogami? — spytał albinos.

Smiorgan przerwał na moment, niemalże rozbawiony.

— Nie, Elryku, nucę, by powstrzymać cienie. W końcu duchy tych nieszczęśników muszą się gdzieś tu kręcić, tak niewiele czasu upłynęło od ich śmierci.

— Nie obawiaj się — rzekł mu Elryk. — Ich dusze zostały pożarte.

Lecz Smiorgan śpiewał dalej, głosem o wiele donośniejszym i bardziej przenikliwym niż poprzednio.

Tuż przed zaśnięciem Elrykowi zdało się, że słyszy rżenie konia i zamierzał zapytać Smiorgana, czy któryś z piratów posiadał wierzchowca. Zanim jednak zrealizował ten zamiar, zasnął.

Rozdział 3

Elryk, niewiele pamiętając ze swej podróży na Ciemnym Statku, nigdy nie dowiedział się, skąd się wziął w tej odludnej krainie. Zresztą wiele lat później doszedł do wniosku, że wszystko, co mu się przydarzyło w owym okresie, było tylko snem, wydarzenia owe bowiem — nawet w trakcie ich trwania — łatwiej było poczytać za senne marzenia niż za rzeczywistość.

Albinos spał niespokojnie, a gdy się obudził, niebo pokrywały chmury. Świeciły one dziwnym, ołowianym blaskiem, mimo że samo słońce było niewidoczne. Smiorgan Łysy z Purpurowych Miast, już na nogach, wskazał na niebo i odezwał się ze źle skrywanym tryumfem:

— Czy tego dowodu starczy, by cię przekonać, Elryku z Melniboné?

— Widzę w tym tylko niezwykle własności tutejszego światła — czy też może rzeźby terenu, która sprawia, że słońce wydaje nam się błękitne — odparł Elryk. Rozejrzał się z niesmakiem po pobojowisku. Leżące wokół trupy tworzyły paskudny widok, napełniający Melnibonéanina niejasnym smutkiem, nie wynikającym ani z wyrzutów sumienia, ani z litości.

Smiorgan uśmiechnął się drwiąco.

— No cóż, panie sceptyku, chyba należałoby wrócić po własnych śladach i odnaleźć statek. Co ty na to?

— Zgadzam się — odparł albinos.

— Jak długo szedłeś od wybrzeża, zanim nas znalazłeś? Elryk powiedział mu. Smiorgan uśmiechnął się.

— W takim razie zdążyłeś w ostatniej chwili. Miałbym się z pyszna, gdybym wraz z moimi pirackimi przyjaciółmi dotarł do przeciwległego wybrzeża nie napotykając żadnej wioski! Nigdy nie zapomnę przysługi, którą mi wyświadczyłeś, Elryku. Jestem Hrabią Purpurowych Miast i mam spore wpływy. Powiedz, proszę, jeżeli mógłbym ci się jakoś odwdziaczyć.

— Dziękuję ci — odparł Elryk poważnie — ale najpierw musimy znaleźć jakiś sposób ucieczki.

Smiorgan napełnił skórzany worek jedzeniem, odrobiną wody i wina. Elryk nie miał dostatecznie mocnych nerwów, by jeść śniadanie pośród trupów, toteż

zarzucił sobie swoją sakwę na ramię.

— Jestem gotów — powiedział.

Smiorgan zaspokoił głód.

— Chodź, pójdziemy tą drogą.

Elryk ruszył za władcą mórz po suchej, chrzęszczącej pod stopami darni. Przed nimi piętrzyły się strome zbocza doliny. Padające na nie błękitne światło barwiło opadłe, brązowe liście na przedziwny, niesamowity odcień zieleni. Doszedłszy do rzeki, która niezbyt szeroką strugą burzyła się wśród okrągłych kamieni, bardzo ułatwiających przeprawę na drugi brzeg, obaj mężczyźni odpoczęli i posilili się. Po wczorajszej walce byli zeszywniali. Z radością obmyli się z pokrywającego ich ciała błota i zaschniętej krwi.

Odświeżeni, wspięli się po kamieniach i zostawili rzekę poza sobą. Wdrapywali się na zbocze z rzadka tylko odzywając się, aby nie tracić na próżno oddechu. Było już południe, gdy dotarli na szczyt skarpy i ujrzeni przed sobą równinę podobną do tej, którą Elryk przeszedł pierwszego dnia. Melnibonéanin mógł teraz dość dobrze wyobrazić sobie całą wyspę: przypominała ona szczyt góry przeciętej pośrodku doliną, Elryka znów uderzył brak jakiejkolwiek widocznej formy życia i podzielił się tym spostrzeżeniem ze Smiorganem. Wyspiarz potwierdził, że on także od momentu przybycia na wyspę nie widział żywego stworzenia: ani ptaka, ani ryby, ani innego zwierza.

— To jałowy, mały świat, Elryku, i nieszczęściem dla marynarza jest rozbić się u jego brzegów.

Szli dalej, aż w końcu, na dalekim horyzoncie ujrzeni morze.

Elryk jako pierwszy usłyszał dobiegający zza ich pleców odgłos. Przypominał on równomierny tętent kopyt, lecz gdy Melnibonéanin zerknął do tyłu, nie zobaczył ani śladu jeźdźca. Nie domyślał się też, gdzie ten mógłby się skryć. Doszedł więc do wniosku, że w zmęczeniu jego uszy słyszą nie istniejące dźwięki. Być może był to po prostu grzmot.

Smiorgan niewzruszenie parł naprzód, mimo że do niego także musiał dotrzeć ten odgłos.

Tętent powtórzył się. Elryk ponownie się odwrócił i znowu nic nie dostrzegł.

— Smiorganie? Czy słyszałeś jeźdźca?

Ciemnobrody szedł, nie oglądając się za siebie.

— Owszem — mruknął.

— A przedtem?

— Wiele razy odkąd przybyłem na tę wyspę. Piraci też go słyszeli. Niektórzy wierzyli, że to ich przeznaczenie — żądny zemsty Anioł Śmierci.

— Czy wiesz, skąd pochodzi ten dźwięk?

Smiorgan zwolnił kroku, zatrzymał się i odwrócił głowę. Na jego twarzy malowała się determinacja.

— Raz czy dwa zdawało mi się, że dostrzegam konia. Dużego, białego, z bogatym rzędem, lecz bez jeźdźca. Zignoruj to, Elryku, tak jak ja. Mamy wystarczająco wiele zagadek do rozwikłania.

— Czy boisz się tego dźwięku, Smiorganie?

— Tak, przyznaję to — potwierdził towarzysz wędrówki. — Ale ani strachem, ani domysłami nie pozbędziemy się go, Elryku. Chodźmy!

Elryk był zmuszony dostrzec rozsądek w stwierdzeniu Smiorgana i zgodził się z nim, lecz gdy jakąś godzinę później odgłos powtórzył się, nie mógł się powstrzymać i odwrócił głowę. Tym razem wydało mu się, że dostrzega wielkiego, osiodłanego rumaka, lecz mogło to być tylko złudzenie wywołane słowami żeglarsza, które utkwiły głęboko w jego umyśle.

Powietrze ochłodziło się i dawało się w nim wyczuć dziwny, ostry zapach. Elryk podzielił się swym spostrzeżeniem ze Smiorganem i okazało się, że ten spotkał się już z tym zjawiskiem.

— Woń ta wzmacnia się i zanika, lecz w tej okolicy jest szczególnie mocna.

— Jak siarka.

Hrabia Smiorgan uśmiechnął się kpiąco, jak gdyby Elryk nawiązał do jakiegoś jego powiedzonka.

— O tak, zupełnie jak siarka!

Gdy zbliżali się do wybrzeża, tętent kopyt dobiegł ich zupełnie wyraźnie. Tym razem Smiorgan obejrzał się wraz z Elrykiem.

I wreszcie obaj ujrzeni konia. Nie nosił on jeźdźca, lecz był osiodłany i miał uzdę. Trzymał dumnie białą głowę, a z jego ciemnych oczu wyzierała inteligencja.

— Czy nadal twierdzisz, że nie ma w tym żadnego czarnoksiężstwa, Elryku? — spytał Smiorgan z pewną satysfakcją. — Ten koń był niewidzialny. Teraz go widać — ruchem ramienia poprawił położenie topora bojowego. — Chyba że wierzchowiec ten z łatwością przemieszcza się między światami i to powoduje, że możemy usłyszeć jedynie tętent jego kopyt.

— Jeżeli tak — powiedział Elryk obserwując rumaka — to mógłby przenieść nas z powrotem do naszego świata.

— A więc potwierdzasz, że tkwimy w jakiejś zupełnie obcej krainie?

— No cóż, myślę, że istnieje taka możliwość.

— Czy nie mógłbyś za pomocą czarów schwytać to zwierzę?

— Niełatwo jest mi stosować magię, bo nie znajduję w niej upodobania — odparł albinos.

Rozmawiając, szli w stronę konia, lecz ten nie pozwolił im zbyt blisko zbliżyć się. Prychnął i odbiegł kawałek dalej, wciąż utrzymując tę samą odległość.

— Tracimy tylko czas, hrabio Smiorganie — powiedział w końcu Elryk. — Odszukajmy co rychlej twój statek i zapomnijmy o błękitnych słońcach i zaczarowanych koniach. Kiedy znajdziemy się na pokładzie, bez wątpienia będę mógł cię

wspomóc kilkoma zaklęciami, bo we dwójkę, bez pomocy, nie zdołamy sterować dużym żaglowcem.

Ruszyli w dalszą drogę, a koń podążył za nimi. W końcu doszli do skraju urwiska i ujrzeni daleko w dole wąską, skalistą zatokę, w której stał na kotwicy noszący ślady walki statek. Żaglowiec był wysoki, o smukłej linii; typowy statek handlowy z Purpurowych Miast. Na pokładzie jednakże piętrzyły się strzępy płótna, kawałki porwanych lin, drewniane belki, rozdarte zwoje materii, rozbite amfory i cała masa innych śmieci. Relingi w kilku miejscach były potraskane, a dwie czy trzy reje — złamane. Na pierwszy rzut oka było widać, że łódź przeszła sztormy i bitwy. Aż dziw brał, że jeszcze unosi się na wodzie.

— Będziemy musieli ją jakoś sklarować, a potem popłynąć na samym grocie — rozważał Smiorgan. — Mam nadzieję, że uda nam się zebrać wystarczająco dużo żywności, by przetrwać podróż. . .

— Patrz — Elryk wyciągnął rękę, pewien, że dostrzegł jakąś sylwetkę w cieniu na rufie. — Czy któryś z piratów został na pokładzie?

— Nie.

— Czy zauważyłeś kogoś na statku?

— To tylko złudzenie — odparł Smiorgan. — Wszystko przez to cholerne światło. Tam są jedynie szczury, nic więcej. Pewnie widziałeś jednego z nich.

— Możliwe — Elryk zerknął za siebie. Koń, zdając się nie zwracać na nich uwagi, skubał brązową trawę.

— No cóż, ruszajmy dalej.

Podpierając się rękoma poszli w dół stromo opadającym zboczem urwiska. Wkrótce znaleźli się na brzegu. Przebrnęli przez płyciznę, wspięli się po nadal zwisających z burt oślizgłych linach i z ulgą stanęli na pokładzie.

— Już czuję się pewniej — powiedział Smiorgan. — Ten statek przypomina mi rodzinne strony. — Pomyszkował wśród resztek ładunku i znalazł ocalałą amforę. Zerwał pieczęć i podał naczynie Elrykowi. Ten uniósł ciężki dzban i pociągnął łyk znakomitego wina, po czym przekazał napój wyspiarzowi. I wówczas albinosowi znów się zdało, że widzi ruch na rufie, więc poszedł w tamtą stronę.

Był teraz pewien, że słyszy wstrzymywany, nierówny oddech, jak gdyby ktoś postanowił raczej udusić się z braku powietrza niż dać się odkryć. Dźwięki były bardzo nikłe, lecz uszy Melnibonéanina, w przeciwieństwie do jego oczu, odznaczały się wyjątkową bystrością. Trzymając dłoń na głowni miecza, albinos ruszył w kierunku źródła tych dźwięków, a Smiorgan poszedł za nim.

Dziewczyna wynurzyła się ze swego ukrycia, zanim jeszcze zdążył do niego podejść. Wokół jej bladej twarzy zwiślały ciężkimi lokami zakurzone włosy. Ramiona miała pochylone, ręce opuszczone bezwładnie wzdłuż boków. Odziana była w poplamioną, podartą sukienkę.

Gdy Elryk zbliżył się, padła przed nim na kolana.

— Zabijcie mnie — powiedziała pokornie — ale błagam was, nie zabierajcie mnie z powrotem do Saxifa D'Aana, chociaż wiem, że musicie być jego sługami lub krewnymi.

— To ona! — wykrzyknął Smiorgan ze zdumieniem. — To nasza pasażerka. Musiała się tu ukrywać przez cały czas.

Elryk postąpił krok do przodu, ujął dziewczynę pod brodę i przyjrzał się uważnie jej twarzy. Dało się w niej dostrzec Melnibonéańskie rysy, jednak Elryk był zdania, że nieszczęsna niewiasta pochodzi raczej z Młodych Królestw; brakowało jej dumy Melnibonéanek.

— Czyje imię wypowiedziałaś przed chwilą, dziewczyno? — spytał Elryk łagodnie. — Chyba słyszałem, że mówisz o Saxifie D'Aanie. O lordzie Saxifle D'Aanie z Melniboné. . .

— Tak, mój panie.

— Nie obawiaj się, nie jestem jego sługą — powiedział Elryk. — Za to przypuszczam, że mogłabyś nazwać mnie jego krewnym — od strony matki — a raczej prababki. Saxif D'Aan był moim przodkiem. Już chyba ze dwa stulecia minęły od jego śmierci!

— Nie — zaprzeczyła dziewczyna. — On żyje, mój panie.

— Na tej wyspie?

— Ten ład nie jest jego domem, ale on sam egzystuje w tej płaszczyźnie. Chciałam uciec przed nim przez Purpurowe Wrota. Udało mi się przeplłynąć je małą łodzią i dotrzeć do miasta, w którym mnie znalazłeś, hrabio Smiorganie, ale on sprowadził mnie za pomocą czarów z powrotem, gdy tylko weszłam na pokład twego żaglowca. Przyciągnął mnie, a wraz ze mną statek. Czuję z tego powodu wyrzuty sumienia, zwłaszcza dlatego, że wiem, co stało się z załogą. Teraz jestem pewna, że on mnie szuka. Czuję, że się zbliża.

— Czy jest niewidzialny? — spytał Smiorgan nagle. — Czy jeździ na białym koniu?

Dziewczyna jęknęła.

— Widzicie? On musi być blisko! Z jakiegoż innego powodu koń pojawiłby się na tej wyspie?

— Czy on go dosiada?

— Nie, nie! Saxif D'Aan obawia się tego zwierzęcia podobnie, jak ja boję się jego. Ten rumak go ściga!

Elryk wyjął z sakiewki złoty Melnibonéański krążek.

— Czy zabrałaś to lordowi Saxifowi?

— Tak.

Albinos zmarszczył brwi.

— Kim jest ten człowiek, Elryku — zapytał hrabia Smiorgan. — Mówisz, że jest twoim przodkiem — a przecież on istnieje w tym świecie. Co o nim wiesz?

Elryk zważył na ręce złoty krążek, po czym schował go z powrotem do mieszka.

— Jest on bohaterem Melnibonéańskiej legendy. Jego historia stanowi część naszej literatury. Był wielkim czarnoksiężnikiem, jednym z najpotężniejszych. Zapałał miłością do pewnej kobiety. Rzadko się zdarza, by Melnibonéanin się zakochał — w najbardziej rozpowszechnionym znaczeniu tego słowa — a już zupełną rzadkością jest uczucie do dziewczyny nie z naszej rasy. Ukochana Saxifa D'Aana była, jak słyszałem, pół-Melnibonéanką, ale wywodziła się z kraju, który w owych dniach znajdował się pod panowaniem Melniboné. Z zachodniej prowincji w pobliżu Dharijor. Saxif D'Aan kupił ją wraz z grupką niewolników, których chciał wykorzystać do swoich czarnoksięskich eksperymentów. Zwrócił jednak uwagę na dziewczynę i oszczędził jej strasznego losu współtowarzyszy. Roztoczył nad nią opiekę, nie żałując niczego. Dla niej porzucił swe czarnoksięskie praktyki i osiadł w jakiejś spokojnej okolicy z dala od Imrryr. Myślę, że dziewczyna również darzyła go jakimś uczuciem, chociaż zdaje się, że go nie kochała. Istniał bowiem w jej życiu inny mężczyzna. Nazywał się on, o ile dobrze pamiętam, Carolak. Był również pół-Melnibonéaninem, a także kondotierem w Shazar. Wkrótce zyskał sobie łaski na shazariańskim dworze. Ukochaną Saxifa przed porwaniem obiecano temu Carolakowi. . .

— Kochała go? — spytał hrabia Smiorgan.

— Była przyrzeczona mu za żonę, pozwól mi skończyć opowieść. . . — Elryk ciągnął dalej. — No cóż, po pewnym czasie Carolak, teraz już człowiek dużo znaczący, drugi po królu w Shazar, dowiedział się o losie narzeczonej i przysiągł, że ją uratuje. Z grupką towarzyszy dobił do brzegów Melniboné i za pomocą magii odnalazł pałac Saxifa D'Aana. Następnie ruszył na poszukiwanie dziewczyny i w końcu napotkał ją w komnatach, które Saxif D'Aan przeznaczył do jej użytku. Carolak powiedział dziewczynie, że przybył, by zawieźć ją do Shazar jako swą oblubienicę i uchronić przed prześladowcą. Co najdziwniejsze, dziewczyna opierała się, twierdząc, że zbyt długo już żyła jako niewolnica w melniboneańskim haremie, by móc się teraz przystosować do roli księżniczki na shazariańskim dworze. Carolak wydrwił ten argument i porwał ją. Udało im się opuścić zamek, lecz gdy siedzieli już w siodle wierzchowca Carolaka, Saxif D'Aan odkrył ich ucieczkę. Carolak, jak myślę, został zabity lub też rzucono nań zaklęcie. Jeżeli jednak chodzi o dziewczynę, to Saxif D'Aan, w swej potwornej zazdrości i przekonaniu, że wszystko to uknuła wraz ze swym kochankiem, skazał ją na śmierć na Kole Chaosu — jest to maszyna z wyglądu przypominająca złoty Melnibonéański krążek. Kończyny nieszczęsnej niewiasty były powoli łamane, a Saxif D'Aan siedział i patrzył przez długie dni na jej śmierć. Ciało oblubienicy zostało obdarowane ze skóry, a lord Saxif D'Aan przyglądał się każdemu szczegółowi kary, jaką obmyślił. W końcu narkotyki i zaklęcia, które podtrzymywały jej życie podczas kaźni przestały działać, więc Saxif D'Aan rozkazał, by zdjęto ją z Koła Chaosu

i ułożono na sofie.

— Cóż — powiedział do niej — zdradziłaś mnie i zostałam ukarana. Cieszę się z tego. Teraz możesz umrzeć. — I wówczas ujrzał, że jej wargi, przerażające i pokryte krwią, poruszyły się, więc pochylił się nad konającą, by usłyszeć ostatni szept ukochanej.

— Co to były za słowa? Zapowiedź zemsty? Kłątwa? — zapytał Smiorgan.

— Ostatkiem sił próbowała go objąć. A słowa były tymi, których Saxif D'Aan nigdy dotychczas nie słyszał z jej ust, chociaż bardzo tego pragnął. Po prostu powtarzała w kółko, aż do ostatniego tchnienia: — Kocham cię. Kocham cię. Kocham. — I tak umarła.

Smiorgan potarł ręką brodę.

— Bogowie! I co wtedy? Co zrobił twój przodek?

— Zaznał wyrzutów sumienia.

— To chyba oczywiste!

— Nie tak bardzo, w przypadku Melnibonéanina. Wyrzuty sumienia są u nas niezwykle rzadkim doznaniem. Niewielu ich doświadczyło. Targany poczuciem winy lord Saxif D'Aan opuścił Melniboné, by nigdy tam nie powrócić. Powiadała, że umarł w jakiejś odległej krainie, starając się zadośćuczynić za cierpienia, których przyczynił jedynej kochanej przez siebie istocie. Ale teraz dochodzę do wniosku, że poszukiwał raczej Purpurowych Wrót, sądząc być może, że są one bramą Piekieł.

— Ale czemu wziął się na mnie? — krzyknęła dziewczyna. — Janie jestem nią! Nazywam się Vassliss. Jestem córką kupca z Jharkor. Byłam w drodze do mego wuja w Vilmir, gdy nasz statek się rozbił. Niektórzy z nas uratowali się w wiosłowej łodzi, lecz zaskoczyły nas sztormy. Wypadłam za burtę i tonęłam, gdy... — dziewczyna wzdrygnęła się — gdy znalazła mnie jego galera. Byłam wdzięczna, lecz wówczas...

— Co się stało? — spytał Elryk, odgarniając matowe włosy z jej twarzy i częstując winem. Wypiła z wdzięcznością.

— Zabrał mnie do swego pałacu i powiedział, że ożeni się ze mną i na wieki będę jego Cesarzową, panującą u jego boku. Ale ja się bałam. Było w nim tak wiele bólu i tyle okrucieństwa. Pomyślałam, że mnie zgładzi, zniszczy. Wkrótce po pojmaniu zabrałam pieniądze, łódź ł uciekłam przez bramę, o której mi opowiadał...

— Czy mogłabyś pomóc nam odszukać tę bramę? — zapytał Elryk.

— Myślę, że tak. Znam się trochę na żeglarstwie, nauczyłam się od ojca. Ale jaki to ma sens, panie? Znajdzie nas znowu i przyciągnie za pomocą magii. A on musi być teraz bardzo blisko.

— Ja także posiadam czarnoksiężskie moce — zapewnił ją Elryk — i jeśli będzie trzeba, użyję ich przeciw czarom Saxifa D'Aana. — Albinos odwrócił się w stronę hrabiego Smiorgana. — Kiedy uda nam się postawić żagiel?

— Już wkrótce.

— A więc pospieszmy się, hrabio Smiorganie Łysy. Możliwe, że znajdę sposób, by przeprowadzić nas przez Purpurowe Wrota i ustrzec tym samym przed dalszym mieszaniem się w sprawy umarłych.

Rozdział 4

Hrabia Smiorgan i Vassliss z Jharkor patrzyli, jak Elryk, zadyszany i blady, schodzi na główny pokład. Pierwsza próba zastosowania magii w obcym świecie zakończyła się niepowodzeniem i wyczerpała Melnibonéanina.

— Coraz bardziej przekonuję się — powiedział Smiorganowi — że nie znajdujemy się na naszej płaszczyźnie istnienia. Gdyby było inaczej, zaklęcia nie wymagałyby ode mnie podobnego wysiłku.

— Twoja magia zawiodła. Elryk powstał z trudem.

— Spróbuję jeszcze raz.

Melnibonéanin obrócił swą białą twarz ku niebu; zamknął oczy i wyprostował ramiona. Jego ciało wyprężyło się, gdy począł wymawiać słowa zaklęcia. Głos Elryka stawał się coraz donośniejszy, coraz bardziej przenikliwy, aż począł przypominać świst wiatru.

Zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje; w tym momencie nie pamiętał też o swych towarzyszach. Cały jego umysł skupił się na akcie przywoływania. Wysłał swe wezwanie poza granice świata, aż jego słowa dotarły na tajemniczą płaszczyznę, którą zamieszkiwały żywioły, a wśród nich — potężne istoty rządzące powietrzem: sylphowie mieszkający w bryzie, sharaahowie zarządzający sztormami oraz, najpotężniejsi ze wszystkich, h'Haarshannowie, wywołujący trąby powietrzne.

Wreszcie niektórzy z nich zaczęli przybywać na wezwanie Elryka, gotowi mu służyć, podobnie jak na mocy starożytnego układu nieśli pomoc jego przodkom. Powoli żagiel począł wypełniać się wiatrem. Wręgi zaskrzypiały. Smiorgan podniósł kotwicę i statek jął oddalać się od wyspy; przepłynął przez skalisty przesmyk prowadzący do portu i ruszył dalej, na pełne morze, nadal pod niesamowitym, błękitnym słońcem.

Wkrótce wokół nich utworzyła się olbrzymia fala, unosząc żaglowiec i dźwigając go na swym grzbiecie przez ocean, tak że hrabia Smiorgan i dziewczyna zdumiewali się prędkością, z jaką się poruszali. Karmazynowe oczy Elryka były teraz otwarte, lecz puste i nie widzące. Melnibonéanin nadal nucił zaklęcia, które zapewniały mu pomoc niewidzialnych sprzymierzeńców.

I tak żaglowiec przemierzał wody oceanu. Wkrótce wyspa zniknęła poza widnokresem. Vassliss zabrała się do ustalania pozycji na podstawie położenia słońca i po chwili mogła podać hrabiemu Smiorganowi wskazówki wystarczające do wyznaczenia kursu.

Spełniwszy swe rozliczne obowiązki hrabia Smiorgan podszedł do zeszywniałego, nadal stojącego na szeroko rozstawionych nogach Elryka i potrząsnął nim mocno.

— Elryku! Ten wysiłek cię zabije! Już nie potrzebujemy twoich przyjaciół!

Natychmiast wiatr ustał, a fala znikła. Melnibonéanin, chwytając ustami powietrze, upadł na pokład.

— Tu jest trudniej — powiedział. — O wiele trudniej. To tak, jakby moje zakłęcie musiało przemierzyć niewyobrażalnie wielkie otchłanie.

Powiedziawszy to Elryk zasnął.

Leżał w ciepłej koi, w chłodnej kabynie. Przez świetlik sączyło się rozproszone, błękitne światło. Elryk wciągnął powietrze. Wyczuwał zapach jedzenia. Odwrócił głowę i zobaczył Vassliss stojącą obok z miską bulionu w dłoniach.

— Udało mi się co nieco ugotować — powiedziała. — To cię wzmocni. O ile wiem, zbliżamy się do Purpurowych Wrót. Morze jest tu zawsze wzburzone, więc będziesz potrzebował sił.

Elryk podziękował jej uprzejmie i zabrał się do jedzenia. Vassliss przyglądała się.

— Jesteś bardzo podobny do Saxifa D'Aana — powiedziała. — Tylko w pewien sposób mocniejszy. A także łagodniejszy. On jest taki niedostępny. Wcale się nie dziwię, że tamta dziewczyna nie potrafiła wyznać mu, że go kocha.

Elryk uśmiechnął się.

— Och, historia, którą wam opowiedziałem jest prawdopodobnie tylko legendą. Twój Saxif D'Aan może być zupełnie inną osobą — oszustem, który posłużył się jego imieniem albo też czarnoksiężnikiem. Ci czasem przybierają imiona innych magów, wierząc, że w ten sposób zyskują większą moc.

Z góry dobiegł ich krzyk, lecz Elryk nie mógł rozróżnić słów.

Na twarzy dziewczyny pojawił się niepokój. Bez słowa zerwała się i wybiegła z kabiny.

Elryk, wstając niepewnie, podążył za nią w stronę zejściówki.

Hrabia Smiorgan Łysy stał za sterem i wskazywał ręką na horyzont za rufą statku.

— Jak myślisz, co to jest, Elryku?

Albinos wyteżył wzrok, lecz nic nie mógł dostrzec. Jego oczy dość często zawodziły. Wtedy dziewczyna odezwała się głosem, w którym pobrzmiwała cicha rozpacz:

— To złoty żagiel.

— Czy rozpoznasz go? — spytał Elryk.

— Och, tak. To galeon lorda Saxifa D'Aana. Odnalazł nas. Prawdopodobnie przyczał się gdzieś w pobliżu wiedząc, że musimy płynąć tym kursem.

— Jak daleko jeszcze do Wrót?

— Nie wiem dokładnie.

W tym momencie spod pokładu dobiegł ich potworny hałas, jak gdyby coś zamierzało przebić poszycie statku.

— To z przedniego luku! — krzyknął Smiorgan. — Zobacz, co to takiego, Elryku! Ale uważaj na siebie, przyjacielu!

Melnibonéanin ostrożnie podważył pokrywę wjazdu i starał się przebić wzrokiem wypełniającą schowek ciemność. Łomocząco-tupiący odgłos nie ustawał i gdy oczy Elryka przywykły do półmroku, Melnibonéanin dostrzegł, co było jego źródłem.

W luku stał biały koń. Zobaczywszy Elryka zarżał. Zabrzmiało to niemalże jak powitanie.

— Jak on się dostał na pokład? — zdumiał się albinos. — Nic nie widziałem ani nie słyszałem.

Dziewczyna zbladła gwałtownie, tak że wyglądem przypominała Elryka w transie. Osunęła się na kolana przy wejściu do luku i ukryła twarz w dłoniach.

— Dopadł nas! Już nas ma!

— Wciąż jest jeszcze szansa, że dopłyniemy na czas do Purpurowych Wrót — pocieszył ją Elryk. — A skoro znajdę się we własnym świetle, będę mógł zastosować w naszej obronie o wiele potężniejszą magię.

— Nie — załkała. — Już za późno. Czemuż by biały koń miał tu być? On wie, że Saxif D'Aan wkrótce pojawi się na tym statku.

— Zanim cię zabierze, będzie musiał stoczyć z nami walkę — obiecał Elryk.

— Nie widzieliście jego ludzi. To krwiożercze bestie. Gotowi na wszystko bezlitośni okrutnicy! Dlatego najlepiej zrobicie, jeśli natychmiast oddacie mnie Saxifowi D'Aanowi, bo tylko w ten sposób uda wam się ocalić życie. Nic nie zyskacie próbując mnie chronić. Ale proszę was o jedną przysługę.

— Jaką?

— Znajdźcie mi mały nożyk, abym mogła go ukryć przy sobie. Zabiję się, gdy tylko będę pewna, że jesteście bezpieczni.

Elryk roześmiał się i postawił Vassliss na nogi.

— Nikt nie wymaga od ciebie tak melodramatycznej ofiary, dziewczyno! Zostaniemy razem. Być może będziemy mogli coś wytargować od Saxifa D'Aana.

— A co możecie mu ofiarować w zamian?

— Niewiele. Ale on o tym nie wie.

— Przecież umie czytać ludziom w myślach! Ma wielką moc!

— Jestem Elrykiem z Melniboné. O mnie też się mówi, że sztuka czarnoksięska przychodzi mi z łatwością.

— Ale ty nie jesteś tak uparty, panie — rzekła Vassliss z prostotą. — A nim owładnęła tylko jedna myśl: chęć uczynienia mnie swą małżonką.

— Wielu dziewczętom pochlebiłoby jego zainteresowanie. Byłyby szczęśliwe, mogąc zostać cesarzowymi u boku Melnibonéańskiego władcy — powiedział Elryk z ironią w głosie.

Dziewczyna zignorowała jego ton.

— Dlatego właśnie tak się go obawiam — szepnęła. — Gdybym choć na moment przestała się pilnować, mogłabym go pokochać. To by mnie zabiło! Ona musiała czuć to samo!

Rozdział 5

Błyszczący galeon, o żaglach i burtach tak ozłoconych, że patrzącym zdało się, iż samo słońce ruszyło za nimi w pościg, zbliżał się szybko. Vassliss i hrabia Smiorgan przyglądali się temu w osłupieniu, Elryk zaś rozpaczliwie usiłował zawezwać swych niewidzialnych sprzymierzeńców. Na próżno.

W bladym błękitnym świetle złoty żaglowiec płynął ich śladem, zbliżając się nieubłaganie. Statek Saxifa D'Aana był monstrualnych rozmiarów; z samego ogromu wyczuwało się jego potęgę. Masywny dziób pruć wodę, tworząc z obu stron olbrzymie, spienione fale i podpływając bezszelestnie coraz bliżej. Z miną człowieka przygotowującego się na śmierć, hrabia Smiorgan Łysy z Purpurowych Miast zdjął z pleców swój topór bitewny, poluzował miecz w pochwie i nasadził mocniej malutką metalową mykę na łyse ciemię. Vassliss nie uczyniła żadnego gestu, nie wyrzekła ani słowa, tylko szlochała.

Elryk potrząsnął głową, tak że wokół jego twarzy powstała na moment chmura długich, mlecznobiałych włosów. Karmazynowe, chmurne oczy Melnibonéanina obserwowały czujnie wszystko, co działo się wokół. Albinos rozpoznawał typ statku; zbudowano go na wzór złotych barek wojennych z Melniboné. Niewątpliwie był to ten sam żaglowiec, na którym lord Saxif D'Aan opuścił ojczyznę, by ruszyć na poszukiwanie Purpurowych Wrót. Teraz już Elryk nie wątpił, że statkiem naprawdę dowodzi jego legendarny przodek. Melnibonéanin czuł znacznie mniej strachu niż jego towarzysze, lecz za to pałał o wiele większą ciekawością. Szczerze mówiąc, prawie z rozczeniem patrzył, jak wystrzelona z przedniej kaptuły statku kula ognia niczym błyszcząca zielonym ogniem kometa nadlatuje z sykiem i skwierczeniem w ich kierunku. Podświadomie spodziewał się, że zaraz ujrzy ponad głową zataczającego koła w powietrzu wielkiego smoka, gdyż to właśnie dzięki tym stworom i połączanym okrętom wojennym Melniboné zdobyło niegdyś panowanie nad światem.

Kula ognia wpadła do morza na kilka centymetrów przed dziobem ich statku. Oczywiście było, że wycelowano ją tam specjalnie, jako ostrzeżenie.

— Nie zatrzymujcie się — krzyknęła Vassliss. — Niechaj pochłoną nas płomienie! Tak będzie lepiej!

Smiorgan spojrział w niebo.

— Nie mamy wyjścia. Spójrzcie! Zdaje się, że on uciszył wiatr.

Byli unieruchomieni. Elryk wykrzywił twarz w uśmiechu. Teraz już wiedział, co musieli czuć mieszkańcy Młodych Królestw, gdy jego przodkowie stosowali wobec nich identyczną taktykę.

— Przyjacielu? — Smiorgan odwrócił się w stronę albinosa. — Czy to twoi rodacy? Ten statek bez wątpienia pochodzi z Melniboné.

— Metody walki również — odparł Elryk. — Wywodzę się z królewskiego rodu Melniboné. Nawet teraz mógłbym być Cesarzem, gdybym postanowił upomnieć się o swe prawa. Istnieje niktła szansa, że lord Saxif D'Aan, chociaż to mój przodek, uzna mnie za swego władcę, a tym samym zaakceptuje moje zwierzchnictwo. My, ludzie ze Smoczey Wyspy, mamy konserwatywne poglądy.

Głos Vassliss, wydobywający się spomiędzy spierzchniętych warg, zabrzmiał bezradnie:

— Ale on jest posłuszny tylko Władcom Chaosu, którzy udzielają mu pomocy.

— Wszyscy Melnibonéanie uznają ich zwierzchnictwo — odparł Elryk, niemalże rozbawiony.

Tupanie i parskanie białego ogiera w przednim luku przybrało na sile.

— Jesteśmy otoczeni przez magię! — Zazwyczaj rumiane oblicze hrabiego Smiorgana raptownie zbladło. — Czy nie mógłbyś przeciwstawić jej własnych czarów, wasza książęca mość?

— Wydaje mi się, że nie.

Zarys złotego żaglowca wyrósł nagle ponad ich pokładem. Elryk spostrzegł, że wysoko, na rejach tłoczyli się nie wojownicy z Imrryr, lecz rzezimieszkowie podobni tym, których pokonali na wyspie; męty ze wszystkich krain i epok. Długie wiosła złotego galeonu, ocierając się o burty mniejszego stateczku złożyły się niczym nogi jakiegoś wodnego owada, by umożliwić zarzucenie haków abordażowych. Żelazne pazury wczepiły się w drewniane poszycie żaglowca Smiorgana. Czereda na rejach wrzasnęła jednym głosem, szczerząc zęby do trójki uciekinierów i wygrażając im wszelką posiadaną bronią.

Dziewczyna rzuciła się do ucieczki w stronę przeciwległej burty, lecz Elryk chwycił ją za ramię.

— Błagam, nie powstrzymuj mnie! — krzyknęła. — Lepiej skocz i utoń wraz ze mną!

— Czy myślisz, że to uratuje cię przed Saxifem D'Aanem? — spytał Elryk. — Jeżeli on istotnie posiada taką władzę, o jakiej mówiłaś, śmierć tylko sprawi, że szybciej znajdziesz się w jego mocy.

— Och! — Dziewczyna wzdrygnęła się, po czym, na dźwięk głosu dochodzącego z wysokiego pokładu złotego statku, jęknęła i osunęła bezwładnie w ramiona Melnibonéanina. Elryk, którego osłabiło rzucanie zaklęć, ledwo zdołał utrzymać się na nogach, by nie upaść wraz z nią na deski poszycia.

Czysty, dźwięczny i pełen sarkazmu głos rozbrzmiał nagle ponad ochrypłymi krzykami i rubasznymi żartami załogi. Był to głos Melnibonéanina, chociaż mówca posługiwał się językiem Młodych Królestw, który powstał ze zniekształconej mowy Jasnego Cesarstwa.

— Proszę kapitana o wyrażenie zgody na wejście na pokład.

— Trzymasz nas w szachu, panie! — warknął Smiorgan w odpowiedzi. — Nie próbuj skrywać aktu przemocy za zasłoną uprzejmych słówek!

— Przyjmuję więc, że uzyskałem zezwolenie — niewidoczny rozmówca nie zmienił tonu.

Elryk ujrzał, że część relingu została odsunięta, a na jej miejsce pojawił się pomost, nabijany złotymi ćwiekami w celu zapewnienia lepszego oparcia dla stóp, gotowy do opuszczenia na pokład ich statku.

Na szczycie pomostu ukazała się wysoka postać o rysach typowych dla Melnibonéańskiego szlachcica. Mężczyzna był smukły, nosił się dumnie, a za odzienie służyły mu fałdzone szaty ze złotogłowiu. Na długich kasztanowatych lokach nosił misternie wykonany hełm ze złota i hebanu. Oczy miał szarobłękitne, a twarz bladą, o skórze nieznacznie tylko zaróżowionej. O ile Elryk zorientował się, mężczyzna ten nie miał przy sobie żadnej broni.

Z widocznym dostojeństwem lord Saxif D'Aan począł opuszczać się na statek Smiorgana, podczas gdy jego hałastra trzymała się z tyłu. Kontrast pomiędzy tym pięknym intelektualistą a motłochem, którym dowodził, był kolosalny. Za wyprostowanym, eleganckim i szlachetnym Melnibonéaninem podążała wataha przygarbionych, brudnych, tępych wykołajeńców, szczerzących zęby i radujących się łatwym zwycięstwem. W żadnym z nich nie było widać śladu ludzkiej godności. Ubrania mieli strojne, lecz brudne i postrzępione. Każdy posiadał co najmniej trzy rodzaje broni. Wszyscy obwieszani byli zdobyczną biżuterią, taką jak: kółka do nosa, kolczyki, bransolety, naszyjniki, pierścienie na palce u rąk i nóg, wisiory, zapinki do płaszczy i tym podobne.

— Bogowie! — mruknął Smiorgan. — Takiej hołoty jeszcze nie widziałem, chociaż w trakcie moich podróży dostatecznie przecież napatrzyłem się na rozmaitych przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Jak to możliwe, że taki człowiek może znieść podobne towarzystwo?

— Być może jest to zgodne z jego zamiłowaniem do ironii — podsunął Elryk.

Lord Saxif D'Aan wszedł na pokład statku Smiorgana i skierował wzrok na rufę, gdzie nadal stała trójka przyjaciół. Skłonił się lekko. Panował całkowicie nad swą mimiką i jedynie oczy zdradzały, jak silne emocje kłębią się w jego duszy. Widać to było szczególnie wyraźnie, gdy jego wzrok spoczął na dziewczynie trzymanej przez Elryka w ramionach.

— Jestem lord Saxif D'Aan z Melniboné, a obecnie z Wysp poza Purpurowymi Wrotami. Macie coś, co należy do mnie. Przyszedłem, by się o to upomnieć.

— Czy masz na myśli panią Vassliss z Jharkor? — Ton Elryka był równie

zdecydowany.

Zdawało się, że Saxif D'Aan dopiero teraz zwrócił uwagę na albinosa. Na moment zmarszczył brew, lecz zaraz się opanował.

— Ona jest moja — powiedział. — Możecie być pewni, że z moich rąk nie spotka jej żadna krzywda.

Elryk, chcąc uzyskać pewną przewagę, przeszedł na Wysoką Mowę Melni-boné, język używany pomiędzy osobami królewskiej krwi. Wiedział jednak, że w ten sposób wiele ryzykuje.

— Znajomość twej historii sprawia, że trudno mi jest mieć tę pewność, Saxifie D'Aanie.

Niemal niedostrzegalnie złoty mężczyzna zeszywniał, a w jego szarobłękitnych oczach rozbłysły płomienie.

— Kimże jesteś, że przemawiasz Językiem Królów i przypisujesz sobie wiedzę na temat mej przeszłości?

— Jestem Elryk, syn Sadryka, czterysta dwudziesty ósmy Cesarz ludu R'lin K'ren A'a, który dziesięć tysięcy lat temu osiadł na Smocznej Wyspie. Jestem Elrykiem, twoim Cesarzem, lordzie Saxifie D'Aanie i żądam, byś był mi posłuszny. — Albinos wznosił prawą rękę, na której nadal błyszczał Pierścień Królów z osadzonym w nim kamieniem Aktoriosą.

Lord Saxif D'Aan już całkowicie odzyskał panowanie nad sobą. Niczym nie zdradził, że przemowa Elryka zrobiła na nim wrażenie.

— Twoje zwierzchnictwo nie rozciąga się poza granice świata, z którego pochodzisz, szlachetny Cesarzu. Witam cię jednak jako równego mi monarchę. — Rozpostarł ręce, a długie rękawy jego szaty zaszeleściły. — Ten świat należy do mnie. Wszystko, co istnieje pod błękitnym słońcem znajduje się pod panowaniem Saxifa D'Aana. Bez pozwolenia wkroczyliście na moją posiadłość. Mam wszelkie prawo, by postąpić według własnej woli.

— Piracka pompa — mruknął hrabia Smiorgan, który nie zrozumiał z rozmowy ani słowa, lecz z samego tonu domyślał się, co było jej przedmiotem. — Zuchwałe przechwałki. Co on mówi, Elryku?

— Przekonuje mnie, że nie jest piratem, w twoim rozumieniu tego słowa, lecz władcą tej płaszczyny. A ponieważ nie ma tu nikogo innego, musimy uznać prawdziwość jego słów.

— Bogowie! A więc niech okaże królewską łaskę i pozwoli nam bezpiecznie opuścić swoje wody!

— Możemy to zrobić — o ile oddamy mu dziewczynę.

Hrabia Smiorgan pokręcił przecząco głową.

— To niemożliwe. Ona jest moją pasażerką, więc ja odpowiadam za jej bezpieczeństwo. Raczej umrę, niż mu ją oddam. Tu chodzi o Kodeks Władców Mórz z Purpurowych Miast.

— Jesteście sławni z tego, że ściśle przestrzegacie reguł owego Kodeksu — powiedział Elryk. — Jeżeli chodzi o mnie, wziąłem tę dziewczynę pod swoją opiekę. Jestem dziedzicznym Cesarzem Melniboné, nie wypada, bym dał się komuś zastraszyć.

Rozmawiali szeptem, lecz mimo to Saxif D'Aan usłyszał, o czym mówią.

— Wiedźcie — powiedział stanowczo — że dziewczyna należy do mnie. Ukradliście moją własność. Czy w ten sposób postępuje Cesarz?

— Ona nie jest niewolnicą — odparł Elryk — lecz córką wolnego kupca z Jharkor. Nie masz do niej żadnych praw.

— A więc nie mogę otworzyć przed wami Purpurowych Wrót — rzekł lord Saxif D'Aan. — Musicie pozostać w moim świecie na zawsze.

— Zamknąłeś wrota? Czy to możliwe?

— Dla mnie, owszem.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że ta dziewczyna wolałaby umrzeć, niż dostać się w twoje ręce, lordzie Saxifie? Czy fakt, że wzbudzasz taki przestach sprawia ci przyjemność?

Złoty mężczyzna spojrział Elrykowi prosto w oczy. W jego wzroku zdawało się tkwić ukryte wyzwanie.

— Nasz lud ma przecież wybitny talent do zadawania bólu, czyż nie? Jednak ja chciałbym ofiarować jej coś innego. Ta dziewczyna twierdzi, że zowie się Vassliss z Jharkor, ale naprawdę nie wie, kim jest. Ja ją znam. To Gratysha, księżniczka Fwem-Omeyo, którą uczynię swą oblubienicą.

— Jak to możliwe, by nie znała własnego imienia?

— Przeszła reinkarnację. Dusza i ciało są identyczne, stąd mam pewność. Czekalem na nią, Cesarzu Melniboné, przez wiele dziesiątków lat. Nie pozwolę, by ktoś mnie teraz oszukał.

— Tak jak ty sam siebie dwieście lat temu w Melniboné?

— Wiele ryzykujesz, przemawiając tak otwarcie, bracie monarcho! — W głosie Saxifa D'Aana pobrzmiwała nuta ostrzeżenia, groźby o wiele okrutniejszej, niżby to sugerowały słowa.

— No cóż — Elryk wzruszył ramionami. — Posiadasz dużo większą moc. Moja magia słabo działa w twym świecie. Twój piraci przeważają nad nami liczebnie. Odebranie nam dziewczyny nie powinno sprawić ci trudności.

— Musicie ją sami oddać. Wtedy będziecie mogli odjechać wolno, z powrotem do znanego wam świata i do własnych czasów.

Elryk uśmiechnął się.

— A więc o to chodzi. Ta dziewczyna nie jest wcieleniem Gratyshy. Chcesz przywołać ducha swej ukochanej z podziemi i sprawić, by wszedł w ciało Vassliss. Czyż nie mam racji? To dlatego musimy ci oddać dziewczynę z własnej woli. W przeciwnym wypadku twoja magia obróciłaby się przeciwko tobie, a przynajmniej istniałaby taka możliwość, ty zaś nie chcesz ryzykować.

Lord Saxif D'Aan odwrócił głowę, tak by Elryk nie mógł dostrzec jego oczu.
— To ta dziewczyna — powiedział Językiem Królów. — Wiem, że to ona. Nie zamierzam skrzywdzić jej duszy. Chcę tylko przywrócić jej pamięć.

— Zdaje się, że utknęliśmy w martwym punkcie — odparł Elryk.

— Czy nie czujesz więzi ze mną — lordem, w którym płynie królewska krew Melniboné? — szepnął Saxif D'Aan, nadal unikając wzroku Elryka.

— O ile pamiętam, odrzuciłeś możliwość istnienia takiej więzi, Saxifie D'Aanie. Uznanie mnie za cesarza zobowiązuje cię także do respektowania moich decyzji. Dziewczyna jest nadal pod moją opieką. Musisz odebrać ją siłą.

— Na to jestem zbyt dumny.

— Podobna duma zawsze niszczy miłość — rzekł Elryk, niemalże ze współczuciem. — I co teraz, Królu Piekieł? Co z nami zrobisz?

Lord Saxif D'Aan uniósł szlachetną głowę, zamierzając udzielić odpowiedzi, gdy spod pokładu ponownie dobiegło rzenie i tupot kopyt. Oczy szlachcica rozszerzyły się. Spojrzał na Elryka pytająco, a z jego twarzy wyzierało coś bardzo bliskiego przerażeniu.

— Co to jest? Co macie w tej ładowni?

— Wierzchowca, mój panie, to wszystko — odparł Elryk spokojnie.

— Konia? Zwykłego konia?

— Białego ogiera. Osiodłanego i z uzdą, lecz bez jeźdźca.

Saxif D'Aan natychmiast począł głośno wykrzykiwać rozkazy swoim ludziom.

— Zabrać tych troje na pokład naszego statku, a ten bezzwłocznie zatopić. Szybciej! Szybciej!

Elryk i Smiorgan strząsnęli z siebie sięgające po nich zewsząd dłonie i ruszyli w stronę pomostu, niosąc dziewczynę między sobą. Smiorgan mruknął:

— Przynajmniej nie zabili nas od razu, Elryku. Ale co się teraz z nami stanie?

Elryk pokręcił głową.

— Musimy mieć nadzieję, że nadal będziemy mogli wykorzystywać dumę lorda Saxifa D'Aana przeciw niemu, ale jedynie bogowie wiedzą, jak wybrniemy z tej opresji.

Lord Saxif D'Aan już spieszył ku nim w górę pomostu.

— Szybko! — krzyknął. — Podnieść deskę.

Stanąwszy na pokładzie złotej barki wojennej patrzyli, jak załoga wciąga pomost i na jego miejsce ponownie zakłada relingi.

— Przygotować katapulty — rozkazał Saxif D'Aan. — Użyć ołowiu. Natychmiast zatopić żaglowiec!

Dochodzący z przedniej ładowni hałas przybrał na sile. Rzenie konia niosło się nad wodą i dwoma statkami. Kopyta biły w deski poszycia i nagle ukazały się wśród trzaskających pokryw łukowych, szukając oparcia. Wierzchowiec wy dobył

się na pokład i stał tam, grzebiąc nogą i wyginając szyję. Jego chrapy rozdymały się, a oczy błyszczały, jak gdyby przed bitwą.

Saxif D'Aan już nawet nie starał się ukryć przerażenia. Wrzaskliwym głosem wykrzykiwał pod adresem swoich piratów groźby najprzeróżniejszych mąk, jakie ich czekają, jeśli natychmiast nie wykonają jego rozkazów. Przyciągnięto katapulty i olbrzymie kule ołowiu wysokimi łukami pomknęły w stronę statku Smiorgana. Pociski przebijały deski niczym strzały pergamin i mały żaglowiec niemal od razu zaczął tonąć.

— Odciąć haki abordażowe — wrzasnął Saxif D'Aan, wydzierając nóż z rąk jednego ze swoich ludzi i tnąc najbliższą linę. — Szybko!

Statek Smiorgana jęczał i ryczał jak tonące zwierzę, gdy piraci zabrali się do przecinania lin. Żaglowiec natychmiast przewrócił się do góry stępką. W tym też momencie zniknął biały wierzchowiec.

— Do zwrotu! — krzyknął Saxif D'Aan. — Wracamy do Fhaligarn. Prędko, albo wasze dusze posłużą za pokarm najokrutniejszym demonom.

Ze spienionej wody dobiegło przenikliwe, donośne rzenie. Statek Smiorgana odwrócił się rufą do góry, jęknął i został pochłonięty przez morze. Elryk spostrzegł, że biały ogier płynie nadal, pracując mocno nogami.

— Zejdźcie pod pokład — rozkazał Saxif D'Aan, wskazując na luk. — To zwierzę wyczuwa dziewczynę węchem, co sprawia, że trudniej będzie je zgubić.

— Czemu się obawiasz? — spytał Elryk. — To tylko koń. Nie może wyrządzić ci nic złego.

Saxif D'Aan zaśmiał się gorzko.

— Czyżby, bracie monarcho? Czyżby?

Znosząc Vassliss pod pokład, Elryk ze zmarszczonym czołem starał przypomnieć sobie więcej szczegółów z legendy o Saxifie D'Aanie, dziewczynie, którą okrutnie ukarał i jej kochanku, księciu Carolaku. Usłyszał jeszcze, jak czarno-księżnik krzyczy:

— Postawić wszystkie żagle!

Wówczas to luk został zamknięty i troje przyjaciół znalazło się w urządzonej z przepychem Melnibonéańskiej kajucie. Była ona bogato wyposażona w kosztowne kotary, cenny metal i ozdoby rzadkiej piękności, co dla hrabiego Smiorgana świadczyło o daleko posuniętej dekadencji. Jednak dopiero Elryk, układając dziewczynę na kozetce, zwrócił uwagę na rozchodzący się wokół zapach.

— Uch! Pachnie grobem — wilgocią i pleśnią. A przecież nic tu nie gnije. To niezwykle, prawda, przyjacielu?

— Ledwo zauważyłem, Elryku — odparł Smiorgan głucho. — Ale w jednej kwestii zgodziłbym się z tobą. Tu jest jak w grobie. Wątpię, byśmy dożyli powrotu do własnego świata.

Rozdział 6

Minęła godzina, odkąd siłą wprowadzono ich na pokład statku Saxifa D'Aana. Drzwi zostały zamknięte na klucz i zdawało się, że kapitan jest zbyt zajęty ucieczką przed białym ogierem, by troszczyć się o swych więźniów. Zerkając przez kratę świetlika Elryk mógł dojrzeć miejsce, w którym zatopiono żaglowiec Smiorgana. Od tego punktu dzieliło ich już wiele lig, lecz Melnibonéaninowi zdawało się, że nadal co jakiś czas ponad falami ukazują się łeb i grzbiet ogiera.

Vassliss odzyskała świadomość i siedziała trzęsąca się i blada na kozetce.

— Co jeszcze wiesz o tym koniu? — zapytał Elryk. — Bardzo by mi to pomogło, gdybyś zdołała przypomnieć sobie wszystko, co słyszałaś.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

— Saxif D'Aan niewiele mówił na jego temat, ale przypuszczam, że bardziej obawia kogoś, kto dosiada ogiera niż samego zwierzęcia.

— Ach! — Elryk zmarszczył brwi. — Tak właśnie myślałem. Czy kiedykolwiek widziałaś tego jeźdźcę?

— Nigdy. Myślę, że Saxif D'Aan też go nie widział. On chyba wierzy, że czeka go zguba, jeżeli ktoś okiełza i wsiądzie na białego konia.

Elryk uśmiechnął się do siebie.

— Dlaczego tak bardzo interesuje cię ten wierzchowiec? — zaniepokoił się Smiorgan.

Melnibonéanin potrząsnął głową.

— Mam przeczucie, to wszystko. Coś jakby cień pamięci. Ale nic nie powiem na ten temat i postaram się nawet o tym nie myśleć, bo bez wątpienia Saxif D'Aan, zgodnie z przypuszczeniami Vassliss, potrafi czytać w ludzkich umysłach.

Ponad głowami usłyszeli odgłos kroków zbliżających się do kabiny. Odciągnięto zasuwę i w drzwiach ukazał się Saxif D'Aan, trzymając dłonie schowane w rękawach złotej szaty. Całkowicie odzyskał już zimną krew.

— Mam nadzieję, że wybaczycie mi to, iż tak kategorycznie zażądałem, byście pozostali w kabynie. Na zewnątrz istniało niebezpieczeństwo, które za wszelką cenę musiało być zażegnane. Z tej to przyczyny memu zachowaniu brakowało taktu.

— Niebezpieczeństwo groziło nam? — zapytał Elryk. — Czy może tobie, lordzie Saxifie D'Aanie?

— W tych okolicznościach wszystkim na tym pokładzie, możesz mi wierzyć.

— Kto dosiada tego konia? — zagadnął Smiorgan bez ogródek. — I czemu się go obawiasz?

Saxif D'Aan panował nad sobą doskonale, więc nie zareagował na to pytanie.

— To już jest moja sprawa — odparł uprzejmym tonem. — Czy zechcecie teraz zjeść ze mną wieczerzę?

Z gardła dziewczyny wyrwał się jęk. Lord Saxif D'Aan skierował na nią swój przenikliwy wzrok.

— Gratyesho, z pewnością zechcesz odświeżyć się i poprawić urodę. Dopilnuj, by wszystkie niezbędne specyfiki zostały oddane do twego użytku.

— Nie nazywam się Gratyasha — odparła dziewczyna. — Jestem Vassliss, córka kupca.

— Przypomnisz sobie — powiedział Saxif D'Aan. — W swoim czasie odzyskasz właściwą pamięć. — W jego głosie pobrzmiwała taka pewność i obsesyjna moc, że nawet Elryka przebiegł dreszcz niepokoju. — Wszystkie przybory zostaną przyniesione do tej kabiny, którą możesz uważać za swoją do czasu, gdy powrócimy do mego pałacu na Fhaligarn. Moi panowie... — gestem wskazał, że powinni wyjść z kajuty.

— Nie opuszczę Vassliss, Saxifie D'Aanie — odparł Elryk. — Jest zbyt przeżona.

— Ona obawia się jedynie prawdy, bracie.

— Nie, ona boi się ciebie i twego szaleństwa. Saxif D'Aan beztrząsowo wzruszył ramionami.

— A więc ja wyjdę pierwszy. Zechcecie mi towarzyszyć, moi panowie... — nonszalancko opuścił kajutę, a Elryk i Smiorgan ruszyli za nim.

Elryk odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Vassliss, możesz na mnie polegać — po czym zamknął za sobą drzwi kabiny.

Lord Saxif D'Aan stał na pokładzie, wystawiając swą szlachetną twarz na działanie wodnego pyłu, który był wzniesiony przez płynący z nadnaturalną prędkością statek.

— Nazwałś mnie szalonym, książę Elryku? A przecież sam musisz być szkolony w magii.

— Oczywiście. W moich żyłach płynie królewska krew. W Melniboné uważa się, że posiadam znaczną wiedzę czarnoksiężką.

— Ale tutaj? Jak działa twoja magia?

— Nieszczególnie, muszę to przyznać. Zdaje się, że przestrzenie między płaszczyznami są większe, niż myślałam.

— Owszem. Mnie jednak udało się je pokonać. Miałem dość czasu, by się nauczyć, jak to zrobić.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś potężniejszy ode mnie?

— To chyba fakt, nieprawdaż?

— Istotnie. Ale nie przypuszczałem, że będziemy zabawiać się pojedynkami na czary, lordzie Saxifie.

— Oczywiście, że nie. W dodatku chyba dobrze byś się wpierw zastanowił, zanim zdecydowałbyś się pokonać mnie za pomocą magii?

— Byłbym głupcem, gdybym w ogóle rozpatrywał taką możliwość. To mogłoby kosztować mnie duszę, a już na pewno życie.

— To prawda. Widzę, że jesteś realistą.

— Tak mi się wydaje.

— W takim razie myślę, że powinniśmy obrać prostszą drogę rozwikłania naszego konfliktu.

— Proponujesz pojedynek? — Elryk był zaskoczony.

Lord Saxif D'Aan roześmiał się beztrzesko.

— Ależ skąd! Miałbym wystąpić przeciw twemu mieczowi? On obdarzony jest mocą we wszystkich światach, chociaż jego potęga zmienia się na rozmaitych płaszczyznach.

— Ciesz się, że zdajesz sobie z tego sprawę — rzekł Elryk znacząco.

— Poza tym — dodał lord Saxif D'Aan, a jego złote szaty zaszeleściły, gdy przysuwał się bliżej relingu — nie zabiłbyś mnie, gdyż tylko ja mogę sprawić, że wrócicie do swego świata.

— Być może zdecydowałibyśmy tu pozostać — powiedział Elryk.

— Wówczas bylibyście moimi poddanymi. Ale nie, nie podobałoby wam się tutaj. Jestem wygnańcem z własnej woli. Nie mógłbym teraz powrócić do swego świata, nawet gdybym tego pragnął. Zdobycie tej wiedzy wiele mnie kosztowało. Ale chcę założyć własną dynastię, tutaj, pod błękitnym słońcem. Dlatego pragnę odzyskać żonę, księżę Elryku. Muszę mieć Gratyeshę.

— Dziewczyna nazywa się Vassliss — powtórzył albinos z uporem.

— To ona tak twierdzi.

— A więc tak jest. Przysiągłem, że będę jej bronił, podobnie zresztą jak hrabia Smiorgan. I nie zmienimy zdania. Będziesz musiał zabić nas wszystkich.

— No właśnie — powiedział lord Saxif D'Aan tonem człowieka, który od dłuższego już czasu naprowadzał tępego ucznia na właściwe rozwiązanie problemu. — No właśnie. Będę musiał zabić was wszystkich. Niewielki pozostawiasz mi wybór, księżę Elryku.

— Czy odniesiesz z tego jakąś korzyść?

— Owszem. W ten sposób przez kilka godzin będę miał na swe usługi potężnego demona.

— Stawimy opór.

— Mam wielu ludzi. Nie cenię sobie zbyt wysoko ich życia. W końcu was pokonają, nieprawdaż?

Elryk nie odpowiadał.

— Moich poddanych wspomagać będzie magia — dodał Saxif D'Aan. — Niektórzy zginą, ale niezbyt wielu, jak sądzę.

Elryk patrzył ponad Saxifem, obserwując morze. Był przekonany, że koń nadal podąża za statkiem. Miał także pewność, że lord D'Aan również zdaje sobie z tego sprawę.

— A jeśli oddamy dziewczynę?

— Wówczas otworzę dla was Purpurowe Wrota. Będziecie mymi honorowymi gośćmi. Dopilnuję, byście bezpiecznie opuścili moje królestwo, a nawet pomogę wam bez szwanku dotrzeć do jakiejś gościnnej krainy w waszym świecie, gdyż po przekroczeniu bramy czyhać na was będą różne niebezpieczeństwa. Na przykład sztormy.

Elryk udał, że rozważa tę propozycję.

— Nie możesz odwlekać podjęcia decyzji w nieskończoność, książę Elryku. Spodziewałem się, że do tej pory będę już w mym pałacu, na Fhaligarn. Wkrótce wasz czas dobiegnie końca. Dalej, decydujcie się. Wiecie, że mówię prawdę.

— Zdajesz sobie sprawę, że nawet w twoim świecie mogą posługiwać się magią.

— Tak. Wezwałeś na pomoc kilka przyjaznych ci żywiołów. Ale jakim kosztem? Czy odważysz się stanąć bezpośrednio przeciwko mnie?

— To nie byłoby rozsądne z mojej strony — odparł Elryk.

Smiorgan pociągnął go za rękaw.

— Skończcie tę bezpłodną gadaninę. On wie, że daliśmy dziewczynie nasze słowo i musimy z nim walczyć.

Lord Saxif D'Aan westchnął. W jego głosie zdawał się pobrzmiwać autentyczny żal.

— Jeżeli istotnie zdecydowaliście się poświęcić życie... — zaczął.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego nalegasz, byśmy podejmowali decyzję w takim pośpiechu — przerwał Elryk. — Czemu nie możemy poczekać, aż dołyniemy do Fhaligarn?

Na twarzy lorda Saxifa D'Aana pojawiła się zaduma. Ponownie zatopił wzrok w karmazynowych oczach albinosa.

— Wydaje mi się, że wiesz — odparł niemal niedostłyszalnie.

Jednak Elryk potrząsnął głową.

— Sądzę, że masz zbyt wysokie mniemanie o mojej inteligencji.

— Być może.

Elryk wiedział, że Saxif D'Aan usiłuje odczytać jego umysł, więc celowo oczyścił go z myśli i zdało mu się, że wyczuwa niepokój w zachowaniu czarnoksiężnika.

I wtedy albinos skoczył na swego krewniaka, uderzając dłonią w jego gardło. Saxif D'Aan został całkowicie zaskoczony. Próbował krzyknąć, lecz uderzenie pozbawiło go głosu. Kolejny cios i władca krainy niebieskiego słońca upadł bez zmysłów na pokład.

— Szybko, Smiorganie! — krzyknął Elryk. Pobiegł w stronę olinowania i zwinnie wdrapał się na wysoką reję. Zbity z tropu Smiorgan podążył za nim. Melnibonéanin, jeszcze wisząc na linie, wyciągnął miecz z pochwy, tak że, gdy dotarł do bocianiego gniazda, stojący tam majtek nawet się nie zorientował, gdy otrzymał cios w krocze.

Następnie Elryk wziął się do przecinania lin łączących grotzagiel z reją. Spora liczba piratów Saxifa D'Aana już wspinała się za nimi.

Ciężki złoty żagiel runął na pokład, pociągając za sobą wielu wojowników i zakrywając tych, którzy jeszcze kłębili się na dole.

Elryk wspinał się na bocianie gniazdo i przerzucił martwego mężczyznę przez barierkę. Żeglarz spadł śladem swych towarzyszy. Wówczas Melnibonéanin uniósł obiema rękami miecz ponad głowę. Jego oczy znów przesłoniła mgła. Twarz albinosa zwróciła się w stronę błękitnego słońca, a z gardła wydobyło się niesamowite zawodzenie, tak że czepiający się masztu poniżej Smiorgan zadrżał.

Coraz więcej piratów wspinało się po takielunku, więc Smiorgan zabrał się do przecinania lin. Z satysfakcją spostrzegł, że z pół dziesiątki napastników leci w dół, by roztrzaskać się o deski pokładu lub dać się pochłonać przez fale.

Lord Saxif D'Aan począł odzyskiwać świadomość, lecz nadal był oszołomiony.

— Głupiec! — krzyknął. — Głupiec! — Nie sposób było jednak stwierdzić, czy ma na myśli Elryka czy siebie.

Głos władcy Smoczej Wyspy wypowiadający słowa zaklęcia przeszedł w rytmiczne, przenikliwe zawodzenie. Siła człowieka, którego zabił, wypełniła teraz jego ciało i dodawała mu mocy. Karmazynowe oczy zdawały się ciskać płomienie o barwie, która nie miała określenia w ludzkim języku. Całe ciało Melnibonéanina drżało, gdy tajemnicze runy wydobywały się z jego krtani, nie przystosowanej przecież do wytwarzania podobnych dźwięków.

W dalszej części zaklęcia zawodzenie przeszło w wibrujący jęk i Smiorgan, obserwujący kolejne wysiłki piratów, którzy chcieli wspiąć się na grotmaszt, poczuł, jak chwytają go zimne, niesamowite dreszcze.

Z dołu dobiegł krzyk lorda Saxifa D'Aana:

— Nie ośmielisz się!

Czarnoksiężnik począł kreślić w powietrzu jakieś znaki, a jego wargi jeły wypowiadać magiczne słowa. Smiorgan jęknął, gdy ujrzał, jak kilka centymetrów poniżej z dymu formuje się jakiś kształt. Stworzenie mlasnęło językiem, wyszczerzyło zęby i wyciągnęło wciąż materializującą się łapę w stronę wyspiarza. Ten, jęcząc z cicha, ciął ją mieczem.

— Elryku! — krzyknął hrabia Smiorgan, pnąc się po maszcie i chwytając poręcz bocianiego gniazda. — Elryku! On nasyla na nas demony.

Jednakże Elryk zignorował to ostrzeżenie. Umysł Melnibonéanina wędrował w innym świecie; ciemniejszym i bardziej ponurym niż jego własny. Wśród szarych mgieł albinos ujrzał postać i wymówił jej imię.

— Przybądź! — zawołał w starożytnym języku swych przodków. — Przybądź!

Smiorgan zaklął, ujrawszy, że demon coraz bardziej się materializuje. Czerwone kły zazgrzytały, zielone oczy rozbłysły. Pazur drasnął but Smiorgana. Demon zdawał się nawet nie zauważać najzacieklejszych ciosów miecza władcy mórz.

Dla Smiorgana nie było już miejsca w bocianim gnieździe, więc stanął na jego zewnętrznym obrzeżu, krzycząc z przerażenia i błagając o pomoc. Jednakże Elryk nie przerywał zaklęcia.

— Przyjacielu! Jestem zgubiony!

Łapa demona zacisnęła się na kostce Smiorgana.

— Elryku!

Ponad morzem przetoczył się grzmot. Na sekundę zajaśniał kulisty piorun, po czym zniknął. Nie wiadomo skąd dobiegł tupot końskich kopyt i głos człowieka, krzyczącego z tryumfem.

Elryk oparł się ciężko o barierkę i otworzył oczy, w samą porę, by ujrzyć zsuwającego się w dół Smiorgana. Resztką sił Melnibonéanin rzucił się w przód, wyciągając daleko rękę i zadając pchnięcie Zwiastunem Burzy. Runiczny miecz wbił się głęboko w prawe oko demona. Ten zawył, puszczając swą ofiarę i walcząc z ostrzem, które pochłaniało jego energię, przekazując ją Elrykowi. Albinos wykrzywił twarz w przerażającym grymasie, tak że przez moment Smiorgan odczuwał większy strach przed swym przyjacielem niż przed napastnikiem. Demon zaczął znikać, co stanowiło jedyną możliwość ucieczki przed klingą, która wysysała z niego siły życiowe. Na jego miejsce zaraz pojawili się inni sprzymierzeńcy Saxifa D'Aana, niecierpliwie potrząsający mieczami w poszukiwaniu przeciwnika.

Elryk przeskoczył barierkę i, z trudem utrzymując na rei chwiejną równowagę, ciał napastników, wznosząc stare okrzyki bojowe swego ludu. Smiorgan niewiele mógł tu pomóc, więc tylko patrzył. Nagle zauważył, że lorda Saxifa nie ma na pokładzie i gorączkowo krzyknął do Elryka:

— Saxif D'Aan szuka dziewczyny!

Melnibonéanin przypuścił teraz atak na piratów, lecz ci zdecydowanie nie zamierzali wchodzić w drogę śpiewającemu ostrzu. Niektórzy nawet woleli skoczyć w morze, niż spotkać się z runicznym mieczem albinosa. Elryk i Smiorgan zwinnie przeskakując z rei na reję znaleźli się w końcu na pokładzie.

— Czego on się boi? Dlaczego nie użyje potężniejszej magii? — wydusił z siebie Smiorgan, biegnąc wraz z Elrykiem w stronę kabiny.

— Wezwałem tego, który dosiada białego konia — odparł Elryk. — Miałem niewiele czasu, a w dodatku nie mogłem ci nic powiedzieć, bo wiedziałem, że Saxif D’Aan, nie potrafiąc przeniknąć mojego umysłu, postara się odczytać twój.

Drzwi kabiny były zablokowane od wewnątrz. Elryk zaczął roztrzaskiwać je swym czarnym mieczem.

Te jednak stawiły niespodziewany opór.

— Zapieczętowane magią, a ja nie posiadam dostatecznej mocy, by je otworzyć — stwierdził albinos.

— Czy on zabije tę nieszczęsną dziewczynę?

— Nie wiem. Być może będzie próbował przenieść ją na inną płaszczyznę. Musimy...

Na pokładzie zadudniły kopyta. Białe ogier stanął dęba tuż za Elrykiem i Smiorganem. Tym razem w siodle siedział jeździec, odziany w żółto-purpurową zbroję. Głowę miał odkrytą, twarz młodzieńczą, chociaż poznaczoną kilkoma starymi bliznami. Jego oczy były błękitne, a jasne włosy kręcone i gęste.

Ściągnął wodze, osadzając konia w miejscu. Spojrzał przenikliwie na Elryka.

— Czy to ty, Melnibonéaninie, otworzyłeś przede mną drogę?

— Tak, ja.

— W takim razie dziękuję ci, chociaż nie jestem w stanie odwdziżyć się.

— Już to zrobiłeś — odparł Elryk i odciągnął Smiorgana na bok. Jeździec pochylił się w siodle, spiął konia i ruszył prosto na drzwi, przebijając je, jak gdyby były zrobione nie z drewna, lecz z przegniłej bawełny.

Z wnętrza dobiegł przeraźliwy krzyk i lord Saxif D’Aan, potykając się o zwój swej fantazyjnej złotej szaty wypadł z kabiny. Wyrwał miecz z ręki najbliższej leżącego trupa i, posyłając Elrykowi spojrzenie pełne nie tyle nienawiści, co oszołomienia i bóleści, odwrócił się, by stawić czoło jasnowłosemu jeźdźcowi.

Ten zdążył już zsiąść z konia i wychodził właśnie z kabiny, otaczając ramieniem trzęsącą się dziewczynę. Drugą ręką trzymał wodze swego wierzchowca.

— Wyrządziłeś mi straszną krzywdę, lordzie Saxifie, ale Gratyeshę skrzywdziłeś jeszcze bardziej. Teraz musisz zapłacić — powiedział młody mężczyzna z boleścią w głosie.

Saxif D’Aan zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Gdy ponownie uniósł głowę, jego wzrok był już spokojny, a postawa pełna dostojeństwa.

— Czy muszę zapłacić w pełni? — zapytał. — Tak.

— Zasłużyłem na to — rzekł Saxif D’Aan. — Przez wiele lat uciekałem przed moim przeznaczeniem, ale nigdy nie mogłem pozbyć się świadomości popełnionej zbrodni. Gratysha kochała mnie. Nie ciebie.

— Myślę, że do nas obu czuła to samo. Ale w miłość, którą obdarzyła ciebie, włożyła całą swą duszę. Czegoś takiego nie wymagałbym od żadnej kobiety.

— A więc to ty przegrałeś.
— Ty zaś nie wiedziałeś, jak bardzo cię kochała.
— Dopiero... dopiero potem...
— Żal mi cię, lordzie. — Młody mężczyzna przekazał dziewczynie wodze swego konia i wyciągnął miecz. — Jesteśmy przedziwnymi rywalami, nieprawdaż?

— Czy przez te wszystkie lata znajdowałeś się w Otchłani, dokąd wyгнаłem cię wówczas, po walce w moim ogrodzie w Melniboné?

— Tak. Tylko mój wierzchowiec mógł za tobą podążać. To koń Terndrika, mojego ojca, który również był Melnibonéaninem i czarnoksiężnikiem.

— Gdybym to wówczas wiedział, zabiłbym cię, a do Otchłani posłał to przekłete zwierzę.

— Zazdrość cię zaślepiła, lordzie. Ale teraz możemy stoczyć zaległą walkę, twarzą w twarz, ostrze przeciw ostrzu. Bitwę o rękę kobiety, która kochała nas obu. To więcej, niżbyś zasługiwał.

— O wiele więcej — zgodził się czarnoksiężnik. I uniósł miecz, by zadać cios mężczyźnie, którym, jak domyślił się Smiorgan, mógł być tylko książę Carolak we własnej osobie.

Wynik był z góry przesądzony. Saxif D'Aan wiedział o tym, nawet jeśli Carolak nie zdawał sobie z tego sprawy. Co prawda lord D'Aan, jak każdy Melnibonéański szlachcic, biegle władał bronią, lecz nie mógł się pod tym względem równać z zawodowym żołnierzem, który wielokrotnie walczył w obronie swego życia.

Piraci czarnoksiężnika patrzyli zdumieni, z otwartymi ustami, na dwóch rywali, przemierzających się od dziobu po rufę i staczających pojedynek, który powinien zostać rozstrzygnięty dwa wieki wcześniej. Dziewczyna, przez obu przeciwników najwyraźniej uważana za wcielenie Gratyeshy, przyglądała się zmaganiom rywali z uwagą równą tej, z jaką losy walczących musiała śledzić jej poprzedniczka, gdy dawno temu Saxif D'Aan po raz pierwszy spotkał się z księciem Carolakiem w ogrodach swego pałacu.

Lord D'Aan walczył dzielnie, a Carolak szlachetnie, gdyż wiele razy nie wykorzystał oczywistej przewagi. Jednak w końcu legendarny przodek Elryka odrzucił miecz i krzyknął:

— Dosyć! Teraz dokonaj zemsty, książę Carolaku. Zabierz dziewczynę, ale nie okazuj mi tej przekłetej litości. Nie odbierzesz mi dumy.

Carolak skinął głową, postąpił krok do przodu i wbił ostrze prosto w serce Saxifa D'Aana.

Miecz ciął czysto. Saxif powinien umrzeć natychmiast, jednakże nic podobnego nie stało się. Pod pełź po pokładzie do podstawy masztu i oparł się o nią plecami. Krew tryskała z rany szerokim strumieniem. Melnibonéanin uśmiechał się.

— Wygląda na to — powiedział słabo — że nie mogę umrzeć. Zbyt długo podtrzymywałem życie za pomocą magii. Nie jestem już człowiekiem.

Ta myśl zdawała się nie sprawiać mu radości. Książę Carolak postąpił do przodu i pochyliwszy się nad przeciwnikiem starał się dodać mu otuchy.

— Umrzesz — obiecał. — Wkrótce.

— Co zrobisz z Gratyeshą?

— Ona nazywa się Vassliss — powtórzył Smiorgan z uporem. — Jest córką kupca z Jharkor.

— Sama musi zdecydować — odparł Carolak, ignorując słowa Smiorgana.

Błyszczące oczy czarnoksiężnika spoczęły na Elryku.

— Muszę ci podziękować — powiedział. — Przyprowadziłeś do mnie tego, który mógł przynieść mi spokój, pomimo moich obaw.

— Prawdopodobnie dlatego właśnie twoja magia skierowana przeciwko mnie działała tak słabo — rzekł Elryk. — W głębi duszy pragnąłeś, by Carolak przybył i uwolnił cię od winy.

— To możliwe, Elryku. Pod pewnym względem jesteś mądrzejszy ode mnie.

— A co z Purpurowymi Wrotami? — przerwał Smiorgan. — Czy można je otworzyć? Czy nadal posiadasz moc, lordzie Saxifie D' Aan?

— Myślę, że tak. — Spomiędzy fałdów splamionej krwią szaty ze złotogłowiu czarnoksiężnik wy dobył wielki kryształ, płonący głęboką czerwienią rubinu. — On wskaże drogę do wrót, a także pozwoli wam przez nie przepłynąć. Muszę was jednak ostrzec. . . — Saxif D' Aan rozkaszał się. — Ten statek — wyjąkał — ten statek. . . tak, jak moje ciało. . . był podtrzymywany magią. . . a więc. . . — Głowa opadła mu na piersi. Uniósł ją z wielkim trudem i utkwiał wzrok w Vassliss, która stała naprzeciwko z lejcami białego ogiera w dłoni. — Żegnaj, Gratyesho, księżniczko Fwem-Omeyo. Kochałem cię. — Saxif D' Aan nadal zdawał się wpatrywać w dziewczynę, lecz jego oczy już nic nie widziały.

Carolak odwrócił się, by spojrzeć na Vassliss.

— Jak się teraz nazywasz, Gratyesho? — zapytał.

— Zowią mnie Vassliss — odpowiedziała. Z uśmiechem spojrzała na poznaną bliznami twarz młodzieńca. — Ale to tylko imię, które nadali mi ludzie, książę Carolaku.

— Wiesz, kim jestem?

— Teraz już tak.

— Czy pojedziesz ze mną, Gratyesho? Czy zostaniesz w końcu moją oblubienicą, poza światem, w dziwnej krainie, którą odkryłem?

— Pojadę — odparła.

Carolak pomógł dziewczynie usadowić się w siodle białego ogiera i sam usiadł za nią. Złożył ukłon Elrykowi z Melniboné.

— Dziękuję ci ponownie, panie Czarnoksiężniku. Nie spodziewałem się, że pomoże mi człowiek królewskiego rodu Melniboné.

Wyraz twarzy Elryka świadczył, że wraca mu dobry humor.

— W kraju, z którego pochodzę mówi się, że krew płynąca w mych żyłach jest skażona — powiedział.

— Być może miłosierdziem.

— Tak, możliwe.

Książę Carolak po wojskowemu oddał honory Smiorganowi i Elrykowi.

— Mam nadzieję, że i tobie, tak jak mnie, dane będzie odnaleźć spokój, książę Elryku.

— Obawiam się, że jedyny spokój, jaki jest mi pisany, to ten, który przypadł w udziale lordowi Saxifowi D'Aanowi — powiedział albinos ze smutkiem. — Mimo to jednak dziękuję ci za dobre słowo, książę.

Wówczas Carolak, z uśmiechem na ustach, skierował konia w stronę burty, przeskoczył reling i zniknął.

Na statku zapanowała cisza. Pozostali przy życiu piraci spoglądali niepewnie po sobie. Elryk zwrócił się do nich w te słowa:

— Wiedźcie, że w moim posiadaniu jest klucz do Purpurowych Wrót i tylko ja jeden potrafię go użyć. Pomóżcie mi doprowadzić statek do bramy, a uwolnicie się od tego świata. Co wy na to?

— Rozkazuj, kapitanie — rzekł bezzębny osobnik i zachichotał z radości. — To najlepsza propozycja, jaką otrzymaliśmy od jakichś stu lat!

Rozdział 7

Smiorgan jako pierwszy dostrzegł Purpurowe Wrota. Trzymał w ręce wielki czerwony klejnot i wskazywał nim przed siebie.

— Patrz! Patrz, Elryku! Saxif D'Aan nas nie zdradził! Morze rozkołysało się wielkimi, wzburzonymi falami.

Grotzagiel nadal leżał zwinięty na pokładzie i załoga z trudem utrzymywała statek na kursie. Jednakże nadzieja na rychłe opuszczenie świata pod błękitnym słońcem podwoiła ich siły i z wolna złoty żaglowiec zbliżył się do wznoszących się nad wodami purpurowych filarów.

Kolumny wyrastały z szarego, rozhukanego morza, rzucając na grzbiecie fal niesamowitą poświatę. Słupy te wyglądały dość nierealnie, lecz nieustępliwie stawały czoło szalejącym wokół tonom wody.

— Miejmy nadzieję, że wrota są szersze, niż można by to sądzić z wyglądu — odezwał się Elryk. — Nawet na spokojnym morzu trudno byłoby przecisnąć się przez nie żaglowcem, a co dopiero tutaj.

— Lepiej przejmę ster — rzekł hrabia Smiorgan. Oddał Elrykowi klejnot i ruszył po rozkołysanym pokładzie w stronę osłoniętego nadbudówką mostka, gdzie zastąpił przy kole przerażonego sternika.

Elryk mógł jedynie patrzeć, jak Smiorgan prowadzi żaglowiec, starając się jak najdłużej utrzymać go na grzbiecie fali. Jednak od czasu do czasu statek zsuwał się w otchłań z prędkością, która sprawiała, że Melnibonéaninowi serce podchodziło do gardła. W takich wypadkach wokół nich piętrzyły się wodne urwiska, lecz zanim olbrzymi grzywacz zdążył zwalić się na pokład, czarnobrody mężczyzna wprowadzał łódź na grzbiet następnej fali. W mgnieniu oka Elryk przemókł do suchej nitki i chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że lepiej byłoby zejść pod pokład, nadal trzymając się kurczowo relingu, obserwował Smiorgana, który z zagadkową pewnością siebie wiódł statek w kierunku Purpurowych Wrót.

Nagle Elryka osłepiła pokład fala czerwonego światła. Wszędzie kłębiła się szara woda. Żeglarzy dobiegło przeraźliwe zgrzytanie. Wiosła z chrzęstem roztrzaskały się o kolumny. Statek zadrżał i począł odwracać się bokiem do wiatru, lecz Smiorgan zdołał utrzymać kurs. Barwa światła uległa subtelnej zmianie i,

choć morze nadal burzyło się dokoła, Elryk w głębi serca wiedział, że wysoko, ponad ciężkimi chmurami, znowu jaśniej zółte słońce.

Lecz wówczas z wnętrza żaglowca zaczęło dochodzić skrzypienie i trzaski. Zapach pleśni, który Elryk wyczuł już wcześniej, przybrał teraz na sile i niemalże zwał z nóg.

Smiorgan na powrót przekazał koło sternikowi i z pobladłą nagle twarzą spieszył w stronę Elryka.

— Statek się rozpada, przyjacielu — zawołał, starając się przekrzyczeć hałas czyniony przez wiatr i fale. — Rozlatuje się na kawałki!

— Saxif D'Aan starał się nas ostrzec — odkrzyknął albinos. — Podobnie jak jego ciało, tak i ten żaglowiec podtrzymywała magia. Był już przecież stary, gdy wypłynął z Melniboné. W tamtym świecie spajające go zaklęcia działały dobrze, lecz tu nie mają żadnej mocy. Spójrz! — I Melnibonéanin oderwał kawałek relingu, krusząc w palcach spróchniałe drewno. — Musimy znaleźć jakąś porządną belkę.

W tym momencie od masztu z trzaskiem oderwała się reja. Spadła na poszycie, odbiła się od niego i potoczyła im się prosto pod nogi.

Elryk przykleknął na chylącym się pokładzie, wyciągnął rękę po drzewce i zbadał je dokładnie.

— Ta wygląda na mocną. Weź swój pas, czy cokolwiek innego i przy wiąż się do niej.

Wiatr gwizdał na rwących się wantach. Fale uderzały o burty, wybijając wielkie dziury poniżej linii wodnej.

Stanowiący załogę statku piraci wpadli w kompletną panikę. Niektórzy próbowali spuścić szalupy, które jednak rozpadały się, nim osiągnęły powierzchnię wody. Inni leżeli na spróchniałych deskach pokładu, wznosząc modły do rozmaitych bogów, których nadal czcili.

Elryk jak mógł najmocniej przypasał się do złamanej rei, a Smiorgan poszedł w jego ślady. Następna fala, która z całej siły uderzyła żaglowiec, zmiotła dwójkę przyjaciół z pokładu, unosząc ich ponad resztkami relingu prosto w lodowate, rozrukane fale tego przerażającego morza.

Melnibonéanin zacisnął usta, nie pozwalając, by wdarła się do nich woda i zastanowił się nad ironią całej tej sytuacji. Zanosilo się na to, że uniknąwszy najrozmaitszych niebezpieczeństw miał teraz zginąć bardzo zwyczajną śmiercią, przez utonięcie.

Nie minęło wiele czasu, gdy stracił przytomność i całkowicie poddał się wirującym, lecz w pewien sposób przyjaznym falom oceanu.

Obudził się walcząc.

Trzymały go liczne dłonie. Starał się wyrwać, lecz był zbyt słaby. Ktoś roześmiał się chrapliwym, wesołym głosem.

Wokół Elryka nie kłębiło się już ani nie huczało morze. W uszach nie dźwięczał mu też świst wiatru. Zamiast tego odczuwał delikatne kołysanie. Słyszał chłopot fal uderzających o burty. Znajdował się na pokładzie innego statku.

Otworzył oczy, mrużąc je przed strumieniem ciepłego, żółtego światła. Rumiani, vilmiriańscy żeglarze szczyrzyli doń zęby w uśmiechu.

— Masz szczęście, człowieku — o ile w ogóle nim jesteś — powiedział jeden z nich.

— Gdzie mój przyjaciel? — poszukał wzrokiem Smiorgana.

— Jest w lepszym stanie niż ty. Siedzi na dole, w kabinie księcia Avana.

— Księcia Avana? — Elryk znał to imię, w tym stanie jednak trudno było mu przypomnieć sobie człowieka, który je nosił. — Czy to wy nas uratowaliście?

— Tak. Znaleźliśmy was dryfujących, przywiązanych do rei zdobnej w najprzedziwniejsze wzory. Czy to był melnibonéański statek?

— Tak, lecz raczej stary.

Żeglarze pomogli mu wstać na nogi. Zdjęli z niego mokre ubranie i owinęli go w wełniane koce. Włosy Elryka już prawie wyschły na słońcu. Był bardzo słaby.

— Co się stało z moim mieczem? — zapytał.

— Księżę Avan go ma, na dole.

— Powiedzcie mu, żeby ostrożnie się z nim obchodził.

— Jesteśmy pewni, że będzie.

— Tędy — odezwał się inny. — Księżę cię oczekuje.

KSIĘGA TRZECIA

**ŻEGLUJĄC
W
PRZESZŁOŚĆ**

Rozdział 1

Elryk usiadł głęboko na wygodnym, porządnie wyściełanym krześle i przyjął kielich wina z rąk gospodarza. Podczas gdy Smiorgan posilał się przygotowaną specjalnie dla nich ciepłą strawą, Elryk i kapitan statku oceniali się nawzajem.

Książę Avan był mężczyzną około czterdziestki, o kwadratowej, przystojnej twarzy. Na poślacanym, srebrnym napierśniku miał udrapowany biały płaszcz. Spodnie z kremowej irchy nosił wpuszczone w czarne, wysokie do kolan buty. Na małym stoliczku, przy jego łokciu spoczywał hełm zwieńczony pękiem szkarłatnych piór.

— Gościć cię to dla mnie prawdziwy zaszczyt, panie — powiedział książę Avan. — Wiadomo mi, że jesteś Elrykiem z Melniboné. Szukałem cię przez kilka miesięcy, odkąd dotarły do mnie wieści, że opuściłeś swą ojczyznę (i zrezygnowałeś z władzy), by podróżować incognito po Młodych Królestwach.

— Wiele masz o mnie informacji, panie.

— Ja również jestem podróżnikiem z wyboru. Prawie dogoniłem cię w Pikaraydzie, ale, jak się domyślam, popadłeś tam w jakieś tarapaty. Zniknąłeś tak szybko, że całkowicie zgubiłem ślad. Już miałem zamiar zrezygnować z szukania twojej pomocy, gdy los uśmiechnął się do mnie i znalazłem cię, unoszącego się na wodzie! — Książę Avan roześmiał się.

— Wiesz znacznie więcej niż ja, panie — uśmiechnął się Elryk. — W związku z tym nasuwa mi się wiele pytań.

— To Avan Astran ze Starego Hrolmar — mruknął hrabia Smiorgan sponad olbrzymiego udźca. — Znany podróżnik, badacz i kupiec w jednej osobie. Cieszy się jak najlepszą sławą. Możemy mu ufać, Elryku.

— Teraz przypominam sobie twoje imię, panie — rzekł Melnibonéanin do księcia. — Ale czemu potrzebujesz mego wsparcia?

Zapach jedzenia dochodzący ze stołu podrażnił w końcu nozdrza Elryka i albinos wstał.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, bym jadł w trakcie twych wyjaśnień, mój panie?

— Jedz do syta, książę Elryku. Czuję się zaszczycony mogąc cię gościć na

swym pokładzie.

— Uratowałeś mi życie, panie. Nikt dotąd nie uczynił tego z podobną kurtuazją.

Książę Avan uśmiechnął się.

— Nigdy dotąd nie miałem przyjemności złapania, że tak powiem, równie uprzejmej ryby. Gdybym był człowiekiem przesadnym, książę Elryku, mógłbym powiedzieć, że jakaś nadprzyrodzona siła zetknęła nas ze sobą.

— Wolałbym nazwać to zbiegiem okoliczności — odparł albinos, zabierając się do jedzenia. — A teraz, panie, powiedz mi, w czym mógłbym być ci pomocny.

— Nie chciałbym, byś czuł się zobowiązany do świadczenia mi jakichkolwiek usług jedynie dlatego, że miałem szczęście uratować ci życie — powiedział książę Avan Astran. — Bądź łaskaw to zapamiętać.

— Dobrze, panie.

Książę Avan pogładził pióra na swoim beknie.

— Jak to słusznie zauważył hrabia Smiorgan, w trakcie swych podróży zbadałem większość znanych krain. Byłem w twym rodzinnym Melniboné, a nawet zaryzykowałem podróż na wschód, do Elwhereu i Nieznanych Królestw. Odwiedziłem Myyrrhn, gdzie żyje Uskrzydłony Lud. Dotarłem też do Skraju Świata i mam nadzieję, że pewnego dnia ruszę jeszcze dalej. Ale nigdy dotąd nie przepłynąłem Wrzącego Morza. Zbadałem jedynie wąski pas wybrzeża rozciągający się wzdłuż zachodniego kontynentu, który to nie ma nazwy. Czy któraś z twoich wypraw, Elryku, prowadziła w tamte strony?

Albinos pokręcił przecząco głową.

— Podróżuję, by zdobyć wiedzę o innych kulturach i cywilizacjach. Jak dotąd nic nie ciągnęło mnie na zachód. Kontynent, o którym wspomniałeś, jest w większej części nie zamieszkały, a na nielicznych zaludnionych terenach żyją jedynie dzikie plemiona. Czyż nie tak?

— Przynajmniej powszechnie się tak uważa.

— Masz inne zdanie?

— Czy wiesz, że istnieją dowody — rzekł książę Avan powoli — iż twoi przodkowie przybyli z tego właśnie ładu?

— Dowody? — Elryk udał brak zainteresowania. — Kilka legend, nic więcej.

— Jedna z nich mówi o nadal istniejącym w głębi dżungli na zachodzie miesiące starszym niż śniące Imrryr.

Elryk przypomniał sobie rozmowę z lordem Saxifem D'Aanem i uśmiechnął się do swoich myśli.

— Mówisz o R'lin K'ren A'a?

— Owszem. Dziwna nazwa. — Książę Avan Astran pochylił się do przodu, w jego oczach zabłysła pełna zachwyty ciekawość. — Wymawiasz ją o wiele płynniej niż ja. Zapewne mówisz tajemnym Językiem Królów, Wysoką Mową. . .

— Oczywiście.

— I nie wolno ci nauczać jej nikogo prócz twych własnych dzieci?

— Wydajesz się biegły w obyczajach Melniboné, książę Avanie — powiedział Elryk, przysłaniając powiekami oczy. Rozsiadł się wygodnie w krześle i z rozkoszą zatopił zęby w kawałku świeżego chleba. — Czy wiesz, jak przetłumaczyć te nazwę?

— Powiedziano mi, że w starożytnej mowie Melniboné te słowa znaczą po prostu „Tam, Gdzie Spotykają Się Najwyżsi” — odparł książę Avan Astran.

Elryk przytaknął.

— Zgadza się. Najprawdopodobniej była to jakaś mała miejscina. Być może tam właśnie, na przykład raz do roku, spotykali się lokalni przywódcy, by ustalić cenę ziarna.

— Wierzysz w to, książę Elryku?

Ten zbadał zawartość przykrytego naczynia, po czym nałożył sobie na talerz cieleciny w gęstym, słodkim sosie.

— Nie — odparł.

— A więc jesteś zdania, że przed powstaniem Melniboné istniała jakaś starożytna cywilizacja, która dała początek waszej kulturze i że R’lin K’ren A’a nadal kryje się gdzieś pośród dżungli na zachodzie?

Elryk przełknął trzymany w ustach kęs. Pokręcił głową.

— Nie — powiedział. — Wcale nie wierzę w jego istnienie.

— Nie jesteś ciekaw swoich przodków?

— A powinienem?

— Mówi się, że byli oni zupełnie różni od założycieli Melniboné. Łagodniejsi. . . — Książę Avan Astran zajrzał głęboko w oczy Elryka.

Melnibonéanin zaśmiał się.

— Jesteś inteligentnym, przenikliwym i zaiste przebiegłym człowiekiem, książę Avanie ze Starego Hrolmar.

Gospodarz, słysząc podobny komplement, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A ty, o ile się nie mylę, znasz o wiele więcej legend, niż chciałbyś to przyznać.

— Być może — Elryk westchnął. Jedzenie napępniało go wewnętrznym ciepłem. — My, mieszkańcy Melniboné, znani jesteśmy ze skrytości.

— A jednak — rzekł książę Avan — ty, panie, wydajesz się nietypowy. Któż inny porzuciłby cesarstwo, by ruszyć w podróż po krajach, gdzie jego rodacy są znienawidzeni?

— Cesarz rządzi lepiej, panie, jeżeli zdobędzie gruntowną wiedzę o świecie, którym włada.

— Melniboné już nie rządzi Młodymi Królestwami.

— Ale jego moc jest nadal wielka. Nie to jednak miałem na myśli. Chodzi mi o to, że Młode Królestwa mogą ofiarować nam coś, co mieszkańcy Melniboné utracili.

— Żywotność?

— Być może.

— Człowieczeństwo! — mruknął hrabia Smiorgan Łysy. — Tego właśnie brakuje twojej rasie, książę Elryku. Nie mówię o tobie, ale pomyśl o lordzie Saxifie D'Aanie. Jak to możliwe, by ktoś tak mądry był jednocześnie równie naiwny? On stracił wszystko: dumę, miłość, władzę — właśnie dlatego, że przestał być człowiekiem. A ta resztką człowieczeństwa, którą jeszcze posiadał, zgubiła go.

— Niektórzy mówią, że mnie też zniszczy — powiedział Elryk. — Ale możliwe, że w gruncie rzeczy szukam tego „człowieczeństwa”, by móc je wprowadzić do Melniboné.

— W ten sposób doprowadzisz własne królestwo do destrukcji — rzekł Smiorgan obcesowo. — Już za późno, by uratować Melniboné.

— Być może ja mógłbym ci pomóc znaleźć to, czego szukasz, Elryku — odezwał się cicho książę Avan Astran. — Może nie jest jeszcze za późno na ratunek, skoro już teraz myślisz, że równie potężnemu narodowi grozi niebezpieczeństwo.

— I to niebezpieczeństwo wewnętrzne — odparł Elryk. — Ale mówię o tym zbyt otwarcie.

— To prawda. Dużo powiedziałaś jak na Melnibonéanina.

— Skąd masz informacje o tym mieście? — zaciekał się Elryk. — Nie spotkałem dotąd w Młodych Królestwach człowieka, który by słyszał o R'lin K'ren A'a.

— Jest ono zaznaczone na mapie, którą posiadam. Elryk rozmyślnie powoli przeżuł i przełknął trzymany w ustach kęs mięsa.

— Na pewno jest podrobiona.

— Niewykluczone. Czy przypominasz sobie może coś więcej z legendy o R'lin K'ren A'a?

— Jest jeszcze historia Istoty Skazanej na Życie — Elryk odstawił jedzenie i nalał sobie wina. — Powiadają, że miasto otrzymało swą nazwę po tym, jak Władcy Wyższych Światów spotkali się tam, by omówić reguły Kosmicznej Walki. Jeden z mieszkańców nie uciekł wraz z innymi i podsłuchał, o czym mówią. Kiedy Władcy odkryli jego obecność, skazali go na wieczne życie z przerażającą wiedzą, którą posiadał. . .

— Ja również słyszałem tę historię. Ale zastanowiło mnie to, że mieszkańcy R'lin K'ren A'a nie powrócili już do swego miasta. Zamiast tego ruszyli na północ i przepłynęli morze. Niektórzy dotarli do lądu, który teraz nazywamy Wyspą Czarnoksiężnika, inni zaś pożeglowali dalej, gnani silnym sztormem, i w końcu dobili do brzegów wyspy zamieszkałej przez smoki, których jad spalał wszystko na popiół. Kraina ta to dzisiejsze Melniboné.

— Ty zaś chcesz sprawdzić, na ile ta historia jest prawdziwa. Wiedzie cię pasja badacza?

Książę Avan roześmiał się.

— Częściowo. Ale główny powód mego zainteresowania R'lin K'ren A'a jest bardziej materialistyczny. Twój przodek, uciekając stamtąd, pozostawił wielkie skarby. Między innymi porzucili wizerunek Ariocha, Władcy Chaosu. Był to gigantyczny posąg, wyrzeźbiony w nefrycie, a jego oczy stanowiły dwa olbrzymie, identyczne klejnoty, jakich nie można znaleźć nigdzie na Ziemi, pochodzą bowiem z innej płaszczyzny istnienia. Precjoza te mogły ujawnić wszystkie tajemnice Wyższych Światów, a także przeszłość i przyszłość niezliczonych płaszczyzn kosmosu...

— We wszystkich kulturach istnieją podobne legendy. To tylko życzeniowe myślenie, książę Avanie, nic więcej...

— Ale kultura twojego kraju różni się znacznie od pozostałych. Jak dobrze wiesz, Melnibonéanie nie są prawdziwymi ludźmi. Mają potężną moc i wiedzę o wiele rozleglejszą...

— Tak było niegdyś — powiedział Elryk. — Ale ja nie posiadam ani tak wielkich mocy, ani wiedzy. Jedynie ich skromna część jest moim udziałem...

— Nie szukałem cię w Bakshaan, a później w Jadmar dlatego, bym spodziewał się, że potwierdzisz wszystko to, czego się dowiedziałem. Nie przeprowałem się przez morze do Filkhar, a następnie do Argimiliar i w końcu do Pikaraydu w nadziei, że bez wahania zgodzisz się z moimi poglądami. Podążałem za tobą dlatego, że, jak myślę, jesteś jedynym człowiekiem, który zechciałby towarzyszyć mi w podróży mogącej wreszcie raz na zawsze przesądzić, czy we wszystkich tych legendach tkwi ziarno prawdy czy też nie.

Elryk przechylił głowę i opróżnił swój kielich.

— Dlaczego sam nie ruszysz w tę podróż? Czemuż miałbyś pożądać mego towarzystwa? Z tego, co o tobie słyszałem, książę Avanie, wynika, że nie jesteś człowiekiem potrzebującym pomocy podczas swych eskapad...

Książę Avan roześmiał się.

— Po tym, jak moi ludzie opuścili mnie na Pustyni Płaczu, samotnie udałem się do Elwheru. Mojej naturze obce jest uczucie fizycznego strachu. A przecież przetrwałem te wszystkie podróże właśnie dlatego, że jestem obdarzony zdolnością przewidywania i starannie przygotowywałem się do każdej wyprawy. Teraz wygląda na to, że będę musiał stawić czoło niebezpieczeństwom, których nie jestem w stanie przewidzieć. Być może magii. Dlatego właśnie pomyślałem, że potrzeba mi sprzymierzeńca, który ma doświadczenie w walce ze sztuką czarnoksięską. A ponieważ nie miałem zamiaru zadawać się ze zwykłymi magikami, jakich pełno w Pan Tang, pozostałeś mi tylko ty. Wiem, że podobnie jak ja szukasz wiedzy. Zaprawdę, można by powiedzieć, że gdyby nie ta żądza wiedzy twój kuzyn nigdy nie usiłowałby przywłaszczyć sobie Rubinowego Tronu Melniboné...

— Dostyc już o tym — rzekł Elryk ostro. — Pomówmy o wyprawie. Gdzie jest ta mapa?

— A więc będziesz mi towarzyszył?

— Pokaż mi mapę.

Książę Avan wyciągnął z sakwy zwój pergaminu.

— Oto ona.

— Gdzie ją znalazłeś?

— Na Melniboné.

— Byłeś tam ostatnio? — Elryk poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

Książę Avan uniósł rękę.

— Popłynąłem z grupą kupców i wiele zapłaciłem za pewną szkatułkę, która, jak się zdawało, leżała zapieczętowana od wielu już wieków. Wewnątrz niej znajdowała się ta mapa. — Rozpostarł arkusz na stole. Elryk rozpoznał styl i pismo — starożytna Wysoka Mowa Melniboné. Na wykresach zaznaczona była część zachodniego kontynentu — część o wiele większa, niż na jakiegokolwiek innej znanej Elrykowi mapie. Na pergaminie narysowano wielką rzekę wcinającą się zakolami w głąb lądu na sto sześćdziesiąt kilometrów. Rzeka płynęła przez dżungłę, a następnie rozdawała się na odnogi, które później ponownie się łączyły. Tak oto pośród wody powstała wyspa. W tym miejscu na mapie zakreślono czarny okrąg i zawiłym pismem używanym w starożytnym Melniboné oznaczono ten rejon jako R'lin K'ren A'a. Elryk uważnie przyjrzał się pergaminowi. Nie wyglądał na sfalszowany.

— To wszystko, co znalazłeś? — zapytał Melnibonéanin.

— Zwój był zapieczętowany, a w pieczęci osadzone było to — odparł książę Avan, wręczając albinosowi jakiś przedmiot.

Elryk wziął go do ręki. Był to maleńki rubin, tak czerwony, że z początku wydawał się czarny. Oglądany pod światło ujawnił zatopiony w swym wnętrzu wizerunek, który Melnibonéanin natychmiast rozpoznał. Zmarszczył brwi, po czym odparł:

— Przyjmuję twą propozycję, książę Avanie. Czy pozwolisz mi to zachować?

— Wiesz, co to jest?

— Nie. Ale chciałbym się dowiedzieć. Coś jakbym sobie przypominał. . .

— Dobrze więc, weź to. Ja zatrzymam mapę.

— Kiedy zamierzasz wyruszyć?

Twarz księcia Avana wykrzywiła się w sardonycznym uśmiechu.

— Właśnie płyniemy wzdłuż południowego wybrzeża w stronę Wrzącego Morza.

— Niewielu przeżyło podróż przez ten ocean — powiedział Elryk zwięźle. Rzucił okiem na Smiorgana i spostrzegł, że ten wpatruje się weń błagalnym wzrokiem, usiłując odwieść od uczestniczenia w planach księcia Avana. Elryk uśmiechnął się do przyjaciela.

— Podoba mi się ta przygoda.

Smiorgan z nieszczęśliwą miną wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że minie jeszcze trochę czasu, nim powrócę do Purpurowych Miast.

Rozdział 2

Wybrzeże Lormyr zniknęło w ciepłej mgłę. Szkuner księcia Avana skierował swój smukły dziób na zachód, w stronę Wrzącego Morza.

Vilmiriańska załoga przywykła była do bardziej umiarkowanego klimatu oraz mniej mozolnej pracy i, jak się wydawało Elrykowi, wykonywała swe zadania z niejakim rozdrażnieniem.

Stojący obok Elryka na rufie statku hrabia Smiorgan Łysy otarł pot z cienia i warknął:

— Ci Yilmirianie to leniwa zgraja, panie. Do takiej wyprawy księżę Avan potrzebuje prawdziwych żeglarzy. Mógłbym mu zebrać załogę, gdyby dał mi szansę...

Elryk uśmiechnął się.

— Żadnemu z nas jej nie dano, hrabio Smiorganie. Zostaliśmy postawieni przed faktem dokonanym. Księżę Astran jest mądrym człowiekiem.

— Nie jest to rodzaj mądrości, który bym považał bez żadnych zastrzeżeń. Nie pozostawiono nam swobody wyboru. Człowiek wolny jest lepszym kompanem niż niewolnik, jak mówi stary aforyzm.

— Dlaczego więc nie zszedłeś z pokładu, gdy miałeś możliwość to uczynić, hrabio Smiorganie?

— Z powodu szansy odnalezienia skarbu — odparł szczerze czarnobrody mężczyzna. — Pozwoliłby mi on powrócić do Purpurowych Miast w chwale. Nie zapominaj, że dowodziłem flotą, która zatонуła...

Elryk dobrze to rozumiał.

— Moje pobudki są więc oczywiste — rzekł Smiorgan. — Tobą zaś kierują o wiele bardziej skomplikowane motywy. Zdajesz się pożądać niebezpieczeństwa, tak jak inni ludzie chcą miłości lub alkoholu. Wygląda na to, że w niebezpieczeństwie znajdujesz zapomnienie.

— Czyż nie jest to ogólna prawda odnosząca się do zawodowych żołnierzy?

— Ty nie jesteś zwykłym najemnym wojownikiem, Elryku. Obaj doskonale o tym wiemy.

— A jednak niewiele ryzykownych wypraw, w które wyruszyłem, pomogło mi

zapomnieć — zauważył Elryk. — Raczej przypominały mi, kim jestem i przed jakim dylematem stoję. Instynkty, którymi się kieruję, kłóć się z tradycjami mojej rasy. — Melnibonéanin westchnął głęboko i melancholijnie. — Udaję się tam, gdzie istnieje niebezpieczeństwo dlatego, że w nim właśnie może być ukryte wytłumaczenie całej tej tragedii i wszystkich paradoksów, że może w nim tkwić odpowiedź, której prawdopodobnie nigdy nie znajdę.

— I właśnie dlatego płyniesz do R'lin K'ren A'a, prawda? W nadziei, że twoi odlegli przodkowie znali rozwiązanie nurtującego cię problemu?

— R'lin K'ren A'a to tylko mit. Nawet jeżeli mapa jest oryginalna, coś możemy odnaleźć poza kilkoma ruinami? Imrryr stoi już od dziesięciu tysięcy lat, a przecież zbudowano je co najmniej dwieście lat po tym, jak mój lud osiedlił się w Melniboné. Czas dawno już pochłoniął R'lin K'ren A'a.

— A ten Nefrytowy Człowiek, o którym mówił książę Avan?

— Jeżeli nawet taki posąg istniał, mógł zostać zniszczony w ciągu minionych stuleci.

— A Istota Skazana na Życie?

— Kolejny mit.

— Ale w głębi serca masz przecież nadzieję, że wszystko jest tak, jak mówi książę Avan...? — Hrabia Smiorgan położył dłoń na ramieniu Elryka. — Czy nie mam racji?

Albinos patrzył przed siebie, w kłębiącą się parę unoszącą się nad wodami. Pokręcił przecząco głową.

— Nie, hrabio Smiorganie. Ja obawiam się, że wszystko jest tak, jak mówi książę Avan.

Wiatr wiał jakby od niechcienia i szkuner poruszał się powoli. Upał zaś stawał się coraz większy i załoga pociła się jeszcze bardziej, szepcząc między sobą ze strachem. Wszystkie twarze powlekły się chorobliwą bladością.

Tylko kapitan zdawał się zachować pewność siebie. Nawoływał, by nikt nie tracił nadziei; przypominał, że wkrótce będą bogaci; wydał też rozkaz, by chwycić za wiosła, jako że nie można było już polegać na niepewnym wietrze. Załoga odpowiedziała na to narzekaniem, zdejmując koszule, by pokazać ciała czerwone jak gotowane homary. Książę Avan żartował sobie z tego. Vilmirianie jednak nie śmiali się już z jego dowcipów, które bawiły ich na łagodnych morzach w pobliżu ojczystych ziem.

Dokoła morze bulgotało i ryczało. Kapitan począł prowadzić nawigację za pomocą kilku znajdujących się na statku przyrządów, jako że para przesłaniała słońce i gwiazdy.

Pewnego razu coś zielonego wyskoczyło z morza, rzuciło im pełne nienawiści spojrzenie, po czym zniknęło.

Jedli teraz i spali niewiele. Elryk z rzadka opuszczał rufę. Smiorgan znosił upał w milczeniu, a książę Avan, który zdawał się nie zrażać przeciwnościami, pogodnie chodził po pokładzie, wykrzykując do swoich ludzi słowa otuchy.

Hrabia był zafascynowany otaczającymi ich wodami. Słyszał o nich, ale nigdy ich nie przepłynął.

— Spójrz, Elryku, to są jedynie obrzeża tego morza — powiedział z niejakim podziwem. — Wyobraź sobie, jak musi wyglądać środek.

Albinos uśmiechnął się.

— Wolę nawet o tym nie myśleć. Jeżeli tak dalej pójdzie, ugotuję się na śmierć przed następnym zachodem słońca.

Przechodzący w pobliżu książę Avan usłyszał słowa Melnibonéanina i klepnął go po ramieniu.

— Nonsens, Elryku! Para jest bardzo zdrowa! Nie ma nic lepszego! — Książę Avan przeciągnął się z wyraźną rozkoszą. — Usuwa wszelkie trucizny z organizmu.

Smiorgan rzucił mu groźne spojrzenie. Książę roześmiał się.

— Głowa do góry, hrabio. Z moich map, jakiegokolwiek by one były, wynika, że za parę dni ukażą się przed nami wybrzeża zachodniego kontynentu.

— Nie powiem, by ta myśl napełniała mnie otuchą — odparł czarnobrody mężczyzna, ale uśmiechnął się, zarażony dobrym humorem Avana.

Wkrótce potem morze jakby się uspokoiło, para poczęła się rozwiewać, a upał stał się bardziej znośny.

W końcu wpłynęli na chłodne wody pod skrzącym się, błękitnym niebem, na którym lśniło czerwonozłote słońce.

Jednak podczas przeprawy przez Wrzące Morze trzech Vilmirian zmarło, a czterej inni zaniemogli na chorobę, która objawiała się kaszlem i dreszczami oraz sprawiała, że budzili się w nocy z krzykiem.

Przez jakiś czas byli unieruchomieni przez ciszę, lecz w końcu począł wiać łagodny wiatr, wypełniając żagle szkunera. Niebawem jednak ujrzeli pierwszy ląd: małą żółtą wyspę, na której znaleźli owoce i źródło słodkiej wody. Tam też pochowali zmarłych na chorobę Wrzącego Morza, jako że Vilmirianie nie zgodzili się oddać ich wodom oceanu, mówiąc, że ciała nieszczęsnych zostałyby „uduszone jak mięso w garnku”.

Gdy szkuner stał na kotwicy u brzegów wyspy, książę Avan wezwał Elryka do siebie i ponownie pokazał mu starożytną mapę.

Blade, złote światło sączące się przez znajdujące się w dachu kabiny świetliki padło na stary pergamin, zrobiony ze skóry jakiegoś dawno już wymarłego zwierzęcia. Elryk i książę Avan Astran pochyłili się nad stołem.

— Spójrz — powiedział książę Avan, wskazując palcem. — Tu jest zaznaczona wyspa, przy której jesteśmy. Skala mapy wydaje się odpowiadać rzeczywistym odległościom. Jeszcze trzy dni i znajdziemy się u ujścia rzeki.

Elryk skinął głową.

— Mądrze jednak byłoby odpocząć tutaj i poczekać, aż całkowicie odzyskamy siły, a morale załogi wzrośnie. W końcu niebezpiecznie podróżnicy przez całe stulecia unikali zachodnich dżungli.

— Z całą pewnością żyją tu dzikie plemiona. Niektórzy twierdzą nawet, że tubylcy nie są ludźmi, jestem jednak pewien, że z powodzeniem stawimy czoło tym niebezpieczeństwom. Mam wiele doświadczenia w poruszaniu się po obcych krainach, książę Elryku.

— Sam jednak powiedziałeś, że obawiasz się nie znanych ci groźnych przygód.

— To prawda. Dobrze więc, zrobimy, jak radzisz.

Czwartego dnia, ze wschodu zerwał się silny wiatr i wędrowcy podnieśli kotwicę. Szkunier wszedł w ślizg niosąc ledwie połowę żagli. Załoga uznała to za dobry omen.

— To bezmyślni głupcy — rzekł Smiorgan, stojąc z Elrykiem na dziobie i trzymając się sztagu. — Nadejdzie czas, że będą tęsknić za niewygodami Wrzącego Morza. Ta podróż, Elryku, żadnemu z nas nie przyniesie korzyści, nawet jeśli bogactwa R'lin K'ren A'a są wciąż nietknięte.

Melnibonéanin jednak nie odpowiedział. Owładnęły nim dziwne, niezwykle u niego myśli. Przypomniał sobie własne dzieciństwo, swą matkę i ojca. Byli oni ostatnimi prawdziwymi władcami Jasnego Imperium: dumnymi, beztroskimi i okrutnymi. Spodziewali się, być może z powodu dziwnego albinizmu Elryka, że wskrzesi on dawną chwałę Melniboné. Zamiast tego jednak ich syn mógł teraz zniszczyć to, co pozostało z owej chwały. Rodzice Elryka, podobnie jak on sam, nie pasowali do ery Młodych Królestw, lecz nie przyjmowali tego do wiadomości. Podróż na zachód, do kraju przodków, miała dla byłego cesarza swoisty urok. Na przestrzeni wieków istniało tu niewiele państw. O ile wiedział, kontynent ten nie zmienił się zbytnio, odkąd protoplasci Melnibonéan opuścili R'lin K'ren A'a. Dżungle pozostały tymi samymi dzikimi ostępami, jakie znał jego lud. Ziemia była tą, która zrodziła jego rasę i ukształtowała charakter ziomków Elryka wraz ze skłonnościami do ponurych rozrywek, melancholijnej sztuki i mrocznych przyjemności. Czy jego przodkowie również odczuwali męczarnie zrodzone z wiedzy? Czy także nie potrafili stawić czoła faktowi, że ich istnienie pozbawione jest sensu, celu i nadziei? Czy dlatego właśnie zbudowali cywilizację według swego specyficznego wzoru, lekceważąc łagodniejsze wartości głoszone przez ludzkich filozofów? Elryk wiedział, że wielu mędrców z Młodych Królestw litowało się nad jego rodakami, uważając ich za szaleńców. Lecz jeżeli istotnie nimi byli i jeśli zarazili swym szaleństwem istniejący od stu wieków świat, co było przyczyną ich obłądzenia? Być może tajemnica ta rzeczywiście spoczywała w R'lin K'ren A'a

— nie pod postacią jakiejś namacalnej formy, lecz klimatu, stwarzanego przez ciemne dżungle i głębokie, stare rzeki. Być może tam właśnie, w końcu będzie mógł poczuć się sobą.

Elryk przecesał palcami swe mlecznobiałe włosy, a w jego oczach pojawił się wyraz udręki. Mógł być ostatnim ze swego rodu, ale niejako odszczepieniec. Smiorgan się mylił. Elryk wiedział, że wszystko, co istnieje, ma także swe przeciwieństwo. W niebezpieczeństwie można znaleźć spokój. A w takim razie, oczywiście, w spokoju tkwi niebezpieczeństwo. Jako niedoskonała istota w takim samym świecie zawsze będzie wiódł życie pełne paradoksów, bo z nich można wydobyć prawdę. Dlatego też filozofowie i wróżbici cieszą się tak ogromnym powodzeniem. W doskonałym świecie nie byłoby dla nich miejsca. W świecie niedoskonałym tajemnice nie miały rozwiązania i stąd brała się wielka liczba możliwych rozwiązań.

Rankiem trzeciego dnia podróżnicy ujrzeni przed sobą ląd i szkuner pożeglował wzdłuż piaszczystych brzegów wielkiej delty, by w końcu zakotwiczyć u ujścia ciemnej, nie posiadającej żadnej nazwy rzeki.

Rozdział 3

Nadszedł wieczór i słońce poczęło zachodzić za czarne sylwety potężnych drzew. Z dżungli napływały prastare, balsamiczne wonie, a w półmroku dały się słyszeć głosy przeróżnych ptaków i zwierząt. Elryk niecierpliwił się, by jak najszybciej wyruszyć w górę rzeki. Sen — który nigdy nie był częstym gościem — teraz opuścił go zupełnie. Melnibonéanin stał bez ruchu na pokładzie. Jego oczy z rzadka tylko przysłaniały się powiekami, a umysł prawie całkowicie pogрузił się w letargu, jak gdyby w następstwie szoku. Promienie słońca padały na twarz albinosa i rzucały czarne cienie na żaglowiec. Potem zapadł zmrok. Pod księżycem i gwiazdami zapanował spokój. Elryk zapragnął, by wchłonęła go dżungla. Marzył, by stać się jednością z drzewami, zaroślami i skradającymi się stworzeniami. Chciał przestać myśleć. Wciągnął w płuca łyk żywicznego powietrza, jak gdyby dzięki temu mogło się spełnić to nagłe pragnienie. Brzęczenie owadów brzmiało w uszach albinosa niczym szemrzący głos, nawołujący, by zagłębił się w prastary las. A jednak nie mógł się ani poruszyć, ani odpowiedzieć. W końcu pojawił się hrabia Smiorgan, dotknął ramienia Elryka i coś rzekł. Melnibonéanin zszedł biernie pod pokład, owinał się płaszczem i położył w swojej koi, wciąż nasłuchując odgłosów dżungli.

Nawet księżę Avan wyglądał na szczególnie zamyślnego, gdy następnego ranka podnosili kotwicę i wiosłując rozpoczynali podróż pod prąd leniwie płynącej rzeki. Ponad statkiem rozpościerało się prawie szczelne sklepienie liści, tak że wszystkim zdawało się, że wpływają do mrocznego, olbrzymiego tunelu, pozostawiając za sobą wraz z otwartym morzem również światło słoneczne. Jaskrawe kwiaty wyglądały spośród zwieszających się z liściastego baldachimu pnączy, które czepiały się masztów sunącego po rzece statku. Szczuropodobne stworzenia o długich ramionach huśtały się na gałęziach, zerkając na podróźnych błyszczącymi, mądrymi oczyma. Rzeka zakręciła i morze zniknęło z pola widzenia. Pojedyncze promienie słońca padające na pokład nabrały zielonkawego odcienia. Elryk wzmógł czujność, po raz pierwszy odkąd zgodził się towarzyszyć księciu Avanowi. Z uwagą przypatrywał się dżungli i czarnej wodzie, nad którą unosiły się chmary owadów przypominających kłębiące się obłoki mgły. Na ciemnej po-

wierzchni pływały kwiaty niczym krople krwi w atramencie. Zewsząd dobiegały szelesty, niespodziewane skrzeczenia, szczekania, a także pluskanie ryb i wodnych stworzeń, polujących na swe ofiary, spłoszone przez wiosła statku, które zagłębiały się w pokłady wodorostów, wywabiając kryjące się tam istoty. Załoga zaczęła narzekać na ukąszenia owadów. Jedynie Elryk nie był przez nie niepokojony. Być może krew albinosa nie stanowiła godnego pożądanego pokarmu.

Książę Avan stanął obok Melnibonéanina. Vilmirianin plasnął się ręką po czole.

— Wyglądasz dziś bardziej pogodnie, książę Elryku.

Ten uśmiechnął się z nieobecnym wyrazem twarzy.

— Może i mam lepszy humor.

— Muszę przyznać, że uważam okoliczności za niezbyt sprzyjające. Będę rad, gdy wreszcie dopłyniemy do miasta.

— Wciąż wierzysz, że je znajdziemy?

— Zmienię swe przekonania dopiero wtedy, gdy centymetr po centymetrze przeczeszemy wyspę, ku której zmierzamy.

Elryka tak dalece pochłonęła atmosfera tej dzikiej krainy, że niemal przestał zwracać uwagę na statek i swych towarzyszy. Szkunier ciągnął z wolna w górę rzeki, poruszając się niewiele szybciej niż idący piechotą człowiek.

Kilka dni minęło dla Melnibonéanina prawie niezauważalnie, jako że dżungla się nie zmieniała. Nagle jednak rzeka rozszerzyła się, a w sklepieniu liści powstała luka, przez którą wędrowcy mogli ujrzeć otwarte niebo i krążącą na nim chmurę olbrzymich ptaków, spłoszonych nagłym pojawieniem się żaglowca. Widok ten uradował wszystkich poza Elrykiem. Ogólny nastrój poprawił się. Melnibonéanin szedł pod pokład.

Atak nastąpił niemal natychmiast. Uszu podróżników dobiegł świszczący odgłos, następnie krzyk i jeden z żeglarzy zwinął się z bólu i padł, obejmując rękami żołądek, w który wbił się szary, cienki, półkolisty przedmiot. Jedna z rej z trzaskiem zwała się na poszycie szkunera, ciągnąc za sobą żagiel i olinowanie. Czyjeś pozbawione głowy ciało postąpiło cztery kroki naprzód, nim runęło bezwładnie. Krew buchała z obrzydliwej jamy, w której niegdyś osadzona była szyja. Zewsząd nadbiegały świszczące odgłosy. Elryk usłyszał hałas i pospieszył z powrotem na pokład, przypinając miecz. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Smiorgan. Łysy mężczyzna, wyglądając na zatrwożonego, kulił się przy relingu na sterburcie. Melnibonéaninowi zdało się, że wszędzie migają ze świstem szare widma, przecinając ciała, liny, drewno i żagle. Niektóre z cieni upadły na pokład i albinos zobaczył, że są to cienkie dyski z kryształu, mające około trzydziestu centymetrów średnicy. Ciskano je z obu brzegów rzeki. Nie było przed nimi obrońcy.

Elryk starał się dostrzec, kto posługuje się tą bronią i ujrzął jakiś kształt poruszający się pośród drzew na prawym brzegu. Nagłe pociski przestały nadlatywać

i przez chwilę trwał bezruch, po czym żeglarze zerwali się z pokładu i rozbiegli w poszukiwaniu lepszej osłony. Na rufie pojawił się książę Avan. W ręce trzymał nagi miecz.

— Biegnijcie na dół! Przynieście tarcze i wszystkie zbroje, jakie uda wam się znaleźć. Przygotujcie łuki! Weźcie broń do ręki, ludzie, bo inaczej koniec z nami!

Nie skończył jeszcze mówić, gdy napastnicy wyłonili się spoza drzew i ruszyli przez wodę w stronę statku. Dyski już nie nadlatywały i wyglądało na to, że ich zapas został wyczerpany.

— Na Chardrosa! — jęknął książę Avan. — Czy to istoty z krwi i kości, czy efekt jakichś czarnoksięskich sztuczek?

Z grubsza rzecz biorąc, zbliżające się stworzenia przypominały gady, lecz miały grzywy z piór i indyjskie korale na szyjach, chociaż twarze były niemal ludzkie. Ich ramiona i dłonie również wyglądały jak ręce ludzi, za to tylne kończyny, niewiarygodnie długie i cienkie, przywodziły na myśl nogi bocianów. Chwiejąc się istoty te kroczyły przez wodę. W dłoniach dzierżyły pałki z wyżłobionymi szczelinami. Bez wątpienia za ich pomocą ciskały kryształowymi dyskami. Elryk przyjrzał się twarzom stworów i zadrżał. W jakiś ledwo uchwytny sposób przypominały one charakterystyczne rysy jego własnego ludu. Czy te stworzenia były kuzynami Melnibonéan? Czy też może z nich właśnie wywodzili się mieszkańcy Smoczej Wyspy? Nagle przestał zadawać sobie te pytania, czując, jak wypełnia go skumulowana nienawiść przeciw napastnikom. Wyglądali obrzydliwie; na sam ich widok brały człowieka mdłości. Nie zastanawiając się, Elryk wyciągnął Zwiastuna Burzy z pochwy.

Czarny Miecz zadźwięczał, poczęła się zeń wydobywać znajoma, czarna poświata. Runy wyryte na kłindze rozbłysły żywym szkarłatem, który wkrótce przeszedł w głęboką purpurę, a w końcu na powrót w czerń.

Stwory, brnące przez wodę na swych szczudłowatych nogach, widząc nagie ostrze zatrzymały się i spojrzały po sobie. Nie one jedne struchlały na widok Czarnego Miecza; książę Avan i jego ludzie również pobladli.

— Bogowie! — zakrzyknął Avan. — Nie wiem już, kogo mam się bardziej obawiać: tych, co nas atakują, czy tego, kto nas broni.

— Stańcie w bezpiecznej odległości od tego miecza — ostrzegł Smiorgan. — Ma on we zwyczaju zabijać więcej, niż życzyłby sobie jego pan.

Gadokształtne dzikusy nagle zaatakowały, wspinając się na burty. Uzbrojeni żeglarze rzucili się na pokład, by odeprzeć atak.

Pałki ze wszystkich stron wycelowały w Elryka. Zwiastun Burzy wrzasnął i zaczął parować ciosy. Melnibonéanin trzymał miecz oburącz i zataczał nim szerokie koła, wbijając ostrze głęboko w pokryte łuską ciała.

Stworzenia otwierały szeroko czerwone pyski, sycząc z bólu i wściekłości. Ich gęsta, czarna krew mieszała się z wodą rzeki. Chociaż, mimo niesamowicie długich nóg, istoty te nie były potężniejsze od wysokiego, dobrze zbudowanego męż-

czynny, odznaczały się one dużo większą wytrzymałością niż jakikolwiek człowiek. Ciosy, zadane nawet Zwiastunem Burzy, zdawały się nie nadwątlać ich sił. Elryk był zaskoczony tą odpornością na magię Czarnego Miecza. Zwykle drobne draśnięcie starczyło, by klinga pożarła duszę ofiary. Te stworzenia zaś zachowywały się tak, jak gdyby były wyposażone w jakiś wewnętrzny pancerz ochronny. Być może nie miały dusz. . .

Melnibonéanin walczył dalej, a nienawiść dodawała mu sił.

Jednak w innych częściach pokładu obrońcy byli dziesiątkowani. Relingi zostały roztrzaskane, a wielkie pałki druzgotały deski i zrywały olinowanie. Najwyraźniej napastnicy zamierzali zniszczyć nie tylko załogę, ale i statek. Jak na razie wszystko wskazywało na to, że im się uda.

— Na imiona wszystkich bogów — krzyknął Avan — księżę Elryku, czy nie możesz użyć swej magii? W przeciwnym razie zginiemy!

Elryk wiedział, że Avan mówi prawdę. Statek był stopniowo zajmowany przez syczące, gadoksztaltne stworzenia. Wiele z nich odniosło z rąk żeglarzy poważne rany, lecz tylko jeden lub dwa stwory padły. Elryk począł podejrzewać, że walczą z nadnaturalnym przeciwnikiem.

Melnibonéanin cofnął się i schronił w na wpół strzaskanym przejściu, chcąc obmyślić metodę wezwania nadprzyrodzonej pomocy.

Dyszał z wyczerpania i, jako że statek kołysał się coraz mocniej, chwycił się pokładnika. Ze wszystkich sił starał się oczyścić umysł.

I nagle niczym olśnieniu spłynęło nań zaklęcie. Nie wiedział, czy będzie odpowiednie, lecz nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Jego przodkowie, tysiące lat temu, zawierali pakt z wszystkimi żywiołami władającymi światem zwierząt. W przeszłości przywoływał wiele z tych duchów, lecz nigdy tego, u którego teraz chciał szukać pomocy. Z ust albinosa poczęły wydobywać się starożytne, piękne i kunsztowne słowa Wysokiej Mowy Melniboné.

— Królu ze Skrzydłami! Władco tych, którzy działają, a są niewidoczni, od których czynów zależy wszystko inne! Nnuurrrr'c'c z Ludu Owadów, przyzywam cię!

Albinos przestał zwracać uwagę na cokolwiek poza kołysaniem się statku. Odgłosy bitwy, stłumione przez świadomość Elryka, nie rozbrzmiewały już w jego uszach. Melnibonéanin posłał swój głos poza własną płaszczyznę. Jego wezwanie dotarło do krainy, gdzie królował Nnuurrrr'c'c z Ludu Owadów, najwyższy władca tego narodu.

Elryk usłyszał brzęczenie, z którego stopniowo utworzyły się słowa.

— Kim jesteś, śmiertelniku? Cóż daje ci prawo, by mnie przyzywać?

— Jestem Elryk, władca Melniboné. Moi przodkowie udzielili ci niegdyś pomocy.

— Owszem, lecz to było dawno temu.

— Wiele czasu minęło też, odkąd po raz ostatni szukali twego wsparcia!

— To prawda. Czego oczekujesz ode mnie, Elryku z Melniboné?

— Spójrz na mą płaszczyznę. Ujrzysz, że jestem w niebezpieczeństwie. Czy mógłbyś usunąć to zagrożenie, przyjacielu Owadów?

Przejrzysty kształt pojawił się przed oczami Elryka. Albinos widział go jak gdyby przez kilka płacht zwiewnego jedwabiu. Melnibonéanin chciał przyjrzeć mu się uważniej, lecz kontury rozmywały się co chwila, po czym ponownie pojawiały. Elryk wiedział, że przenika wzrokiem inną płaszczyznę Ziemi.

— Czy możesz mi pomóc, Nnuuurrrr'c'c?

— Czyż nie posiadasz żadnego opiekuna pośród własnego gatunku? Czy żaden Władca Chaosu nie może cię wesprzeć?

— Moim patronem jest Arioeh, lecz to kapryśny demon, mówiąc najogledniej. Ostatnio nieczęsto mi pomaga.

— A więc ja muszę wysłać ci sprzymierzeńców, śmiertelniku. Lecz gdy tego dokonam, nie wzywaj mnie więcej.

— Nie zrobię tego już nigdy, Nnuuurrrr'c'c.

Zwiewna mgiełka znikła, a wraz z nią rozmył się kształt. Bitewny zgiełk znów dotarł do świadomości Elryka i jego uszu znacznie wyraźniej, niż poprzednio dobiegły krzyki żeglarzy oraz syczenie odrażających napastników. Wysunąwszy głowę ze swej kryjówki Melnibonéanin ujrzał, że co najmniej połowa załogi była martwa.

Albinos wyszedł na pokład. Podbiegł do niego Smiorgan.

— Myślałem, żeś już martwy, Elryku! Co się z tobą działo? — Widok żywego przyjaciela sprawił czarnobrodemu mężczyźnie wyraźną ulgę.

— Szukałem pomocy na innej płaszczyźnie, ale nie wygląda na to, by miała się ona zmaterializować.

— Myślę, że już po nas. Najlepiej będzie, jeśli spróbujemy popłynąć z prądem i znaleźć schronienie w dżungli — powiedział Smiorgan.

— Co z księciem Avaniem?

— Żyje. Ale te stworzenia zdają się nic sobie nie robić z naszych ciosów. Statek wkrótce zatonie. — Pokład zachybotał nagle. Smiorgan zachwiał się na nogach i wyciągnął rękę, by chwycić zwisającą nie opodal linę. Puścił przy tym swój długi miecz, który zawisł mu u ręki na oplecionym wokół nadgarstka rzemieniu. — Właśnie wstrzymali atak na rufę. Stamtąd możemy ześlizgnąć się do wody...

— Zawarłem umowę z księciem Avaniem — przypomniał Elryk wyspiarzowi. — Nie mogę go teraz opuścić.

— A więc wszyscy zginiemy!

— Co to takiego? — Elryk przechylił głowę, nasłuchując uważnie.

— Nic nie słyszę.

W powietrzu narastał cienki pisk, który wkrótce przeszedł w basowe brzęczenie. Teraz i Smiorgan usłyszał ten dźwięk i rozejrzał się dokoła, szukając jego

źródła. Nagle krzyknął, wskazując ręką na niebo.

— Czy to jest pomoc, którą wezwałeś?

Nadciągały wielką chmurą, czerniejącą na tle błękitnego nieba. Od czasu do czasu słońce wydobywało z niej inne kolory: głęboki błękit, zieleń lub czerwień. Zataczając w powietrzu koła pikowały w stronę statku. Walczące strony ucichły, spoglądając w górę.

Uskrzydłone stworzenia wyglądały jak wielkie ważki. Bogactwo i jaskrawość ich ubarwienia wprost zapierały dech w piersiach. To właśnie ruch tych istot napełniał powietrze brzęczeniem, które w miarę jak olbrzymie owady zbliżały się, przybierało na sile i zmieniało ton na coraz wyższy.

Ludzie-gady, zdając sobie nagle sprawę, że na nich właśnie kierowany jest atak, zdecydowali o odwrocie i, potykając się o własne, długie nogi, starali się dotrzeć do brzegu, nim dopadną ich skrzydlaci napastnicy.

Było już jednak za późno na ucieczkę.

Olbrzymie ważki obsiadły gadokształtne potwory, tak że pokryte łuską ciała przestały być widoczne. Syczenie stawało się coraz głośniejsze i brzmiało niemal żałośnie, gdy owady ciągnęły swe ofiary w stronę powierzchni wody, by tam je zabić. Trudno było określić, jaka okrutna śmierć spotykała długonogie stwory. Być może skrzydlate istoty robiły użytek ze swych żądań, lecz patrzący nic nie mogli dostrzec.

Od czasu do czasu bociana noga wydobywała się ponad wodę i przez moment biła jej powierzchnię. Wkrótce jednak wszystkie gady zostały pokryte przez chmary owadów i ich krzyki utonęły w dziwnym, mrozącym krew w żyłach buczeniu, które rozlegało się wokół.

Książę Avan, cały spocony, wciąż trzymając miecz w ręku, podbiegł do Mel-nibonéanina.

— Czy ty to sprawiłeś, książę Elryku?

Ten rozejrział się z satysfakcją, lecz na wszystkich twarzach dostrzegł wyraźne obrzydzenie.

— Tak, ja — odparł.

— Dziękuję ci więc za okazaną pomoc. Statek ma z tuzin dziur i nabiera wody w przerażającym tempie. To cud, że jeszcze nie zatonął. Wydałem już rozkaz, by załoga brała się do wiosła i mam nadzieję, że zdołamy dotrzeć do wyspy. — Wskazał ręką w górę rzeki. — Patrzcie, już można ją dostrzec.

— A jeśli tam jest więcej tych dzikusów? — zapytał Smiorgan.

Avan uśmiechnął się cierpko, odwracając wzrok w kierunku odległego brzegu.

— Popatrz. — Zobaczywszy, jaki los spotkał ich towarzyszy, tuzin gadów na długich nogach uciekał w dżunglę. — Myślę, że nie będą skłonni atakować nas ponownie.

Olbrzymie ważki poczęły wznosić się powietrze. Avan, zerknąwszy na pobojowisko, odwrócił głowę ze wstrętem.

— Na bogów, władasz okrutną magią, książę Elryku!

Albinos uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Przynajmniej jest skuteczna, książę Avanie. — Melnibonéanin schował swój miecz do pochwy. Zwiastun Burzy opierał się i dźwięczał jak gdyby z urazą. Smiorgan rzucił okiem na czarne ostrze.

— Wygląda na to, że twoja klinga chciałaby się napić krwi, Elryku, czy tego chcesz czy nie.

— Bez wątpienia w dżungli znajdzie się coś, czym będzie mogła się posilić — odparł albinos. Przeszedł ponad kawałkiem złamanego masztu i zniknął pod pokładem.

Hrabia Smiorgan Łysy spojrział na spienioną wodę i zatrzęsł się ze zgrozy.

Rozdział 4

Burty rozbitego szkunera znajdowały się niemal na równo z powierzchnią rzeki, gdy załoga z linami w dłoniach zsunęła się na płyciznę i zabrała do holowania statku przez błota, które rozciągały się u wybrzeży wyspy. Przed podróżnymi wyrosła nagle nieprzebyta ściana liści. Smiorgan, idąc w ślady Elryka, zeskoczył w płytką wodę. Brnęli do brzegu.

Wreszcie stanęli na twardej, wypróżonej przez słońce ziemi. Wyspiarz rozejrzał się po lesie. Wokół panowała dziwna cisza. Najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał gałęziami drzew. Nie słychać było świergotu ptaków, bzykania owadów; nie dobiegały ich żadne zwierzęce odgłosy, tak liczne podczas żeglugi w górę rzeki.

— Twoi latający przyjaciele wystraszyli chyba nie tylko dzikusów — mruknął czarnobrody mężczyzna. — Ta wyspa wygląda na wymarłą.

Elryk skinął głową.

— To dziwne.

Książę Avan podszedł do dwójki przyjaciół. Porzucił już swój strojny ubiór — zniszczony zresztą podczas bitwy i nosił teraz skórzaną opończę na podpince i wąskie spodnie ze skóry jelenia. U boku miał przypięty miecz.

— Będziemy musieli zostawić większość ludzi na statku — powiedział z żalem w głosie. — Niech naprawiają co się da, gdy my ruszymy na poszukiwanie R'lin K'ren A'a. — Owinął się szczelniej swym cienkim płaszczem. — Albo mi się wydaje, albo panuje tu jakiś dziwny nastrój?

— Już to zauważyliśmy — rzekł Smiorgan. — Zdaje się, że wszelkie życie opuściło wyspę na widok sprzymierzeńców Elryka.

Książę Avan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jeżeli wszystkie stwory, którym mamy stawić czoło, będą równie lękliwe, nie mamy się czego obawiać. Muszę przyznać, książę Elryku, że gdybym źle ci życzył, a następnie ujrzał, jak wyczarowujesz z powietrza potwory, dobrze bym się zastanowił, nim zbliżyłbym się do ciebie! A tak przy okazji, dziękuję za okazaną pomoc. Bez ciebie już bylibyśmy martwi.

— Przecież towarzyszę ci właśnie po to, by cię wspomagać — odparł Elryk

zmęczonym głosem. — Zjedzmy coś i odpocznijmy przed dalszą drogą.

Po twarzy księcia Avana przesunął się cień. Zaniepokoiło go coś w zachowaniu Elryka.

Wejście do dżungli nie było prostą sprawą. Sześciu członków załogi (tylu, ilu mogło opuścić pokład) uzbrojonych w topory jęło ciąć nimi podszycie. Jednak nadnaturalna cisza nadal zalegała las. . .

Do zmroku posunęli się na mniej niż kilometr w głąb puszczy i byli kompletnie wyczerpani. Las był tutaj tak gęsty, że ledwo znaleźli miejsce na rozbicie namiotu. Jedyne światło oświetlające obóz pochodziło z małego, syczącego ogniska rozpalonego na zewnątrz. Żeglarze spoczęli pod gołym niebem.

Elryk nadal nie mógł zasnąć, lecz teraz to nie dżungla nie pozwalała mu zmrużyć oka. Niepokoiła go cisza. Miał pewność, że to nie ich obecność wypłoszyła wszelkie życie. W pobliżu nie było widać ani jednego małego gryzonia, ptaka czy owada. Ani śladu wszelkiej zwierzyny. Na tej wyspie już od dawna jedyną formę życia stanowiła roślinność — być może już od kilku czy nawet dziesiątków wieków. Melnibonéanin przypomniał sobie kolejny fragment starej legendy o R'lin K'ren A'a. Wspominała ona, że gdy bogowie przybyli na spotkanie, uciekli przed nimi nie tylko mieszkańcy miasta, ale i cała fauna. Nic nie odważyło się ani spojrzeć na Wysokich Władców, ani też posłuchać, o czym mówią. Elryk zadrżał, poprawiając głowę na zrolowanym płaszczu, który służył mu jako poduszka. W karmazynowych oczach byłego cesarza widniała męka. Jeżeli na wyspie istniały jakieś niebezpieczeństwa, były one bardziej subtelne niż te, którym stawili czoło na rzece.

Hałas, jaki czynili przedzierając się przez gęstwinę następnego ranka był nadal jedynym słyszalnym dźwiękiem na wyspie.

Z kompasem w jednej, a mapą w drugiej ręce książe Avan Astran próbował prowadzić ekspedycję, wskazując swoim ludziom kierunek, w jakim mieli wycinać ścieżkę. Poruszali się jednak jeszcze wolniej niż poprzedniego dnia i stało się oczywiste, że żadne stworzenie nie chodziło tamtędy przez całe wieki.

Czwartego dnia dotarli do polany powstałej w naturalny sposób na płaskiej, wulkanicznej skale i znaleźli tam źródło. Z radością urządzili sobie przy nim obozowisko. Elryk zaczął obmywać twarz w chłodnej wodzie, gdy usłyszał krzyk za swymi plecami. Zerwał się na równe nogi. Jeden z żeglarzy wyjmował właśnie strzałę z kołczana i zakładał ją na cięciwę.

— Co się stało? — zawołał książe Avan.

— Coś widziałem, mój panie!

— Bzdury, tu nie ma żadnych. . .

— Patrzcie! — Mężczyzna napiął łuk i wycelował w górne piętra lasu. Wówczas rzeczywiście dało się zaobserwować jakiś ruch i Elrykowi wydawało się, że chyba spostrzegł coś zielonego pomiędzy drzewami.

— Czy rozpoznałeś, co to mogło być za stworzenie? — spytał Smiorgan żeglarza.

— Nie, panie. Z początku obawiałem się, że to znów te gady.

— Są zbyt bojaźliwe, by ruszyć za nami w głąb wyspy — pocieszył go książę Avan.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedział Smiorgan ze zdenerwowaniem.

— A więc co to mogło być? — zastanawiał się Elryk.

— Ja... ja pomyślałem, że to jakiś człowiek, panie — wyjąkał żeglarz. Albinos, zamyślony, spojrzał na drzewa.

— Człowiek?

— Spodziewałeś się tego, Elryku? — zapytał Smiorgan.

— Nie jestem pewien...

Książę Avan wzruszył ramionami.

— Najprawdopodobniej po prostu cień chmury przesuwający się po drzewach. Według moich obliczeń powinniśmy już dotrzeć do miasta.

— Więc nadal wierzysz w jego istnienie? — spytał Elryk.

— Zaczyna mi to być obojętne. — Opierając się o pień wielkiego drzewa Avan odsunął ręką pnącze, które dotykało mu twarzy. — I tak nie mamy nic lepszego do roboty. Statek nie jest jeszcze gotowy do żeglugi. — Spojrzał w górę, na gałęzie. — A mi raczej nie tęskno do tych przeklętych owadów, które dręczyły nas na rzece...

Żeglarz, który strzelał z łuku, nagle krzyknął znowu:

— Tam! Widzę go! To człowiek!

Pozostali zatopili wzrok w gąszczu lasu, lecz nic nie dostrzegli. Książę Avan nadal spokojnie opierał się o drzewo.

— Wydawało ci się. Nie mogłeś nic zobaczyć.

Elryk zwrócił się do niego.

— Daj mi mapę i kompas, książę. Mam przecucie, że uda mi się znaleźć drogę.

Vilmirianin wzruszył ramionami. Na jego kwadratowej, przystojnej twarzy pojawił się wyraz powątpiewania. Wręczył Elrykowi żądane przedmioty.

Przez noc odpoczęli, po czym ruszyli w dalszą drogę. Tym razem prowadził Melnibonéanin.

W południe wyszli z lasu i ujrzeli R'lin K'ren A'a.

Rozdział 5

Nic nie rośło pośród ruin miasta. Ulice były popękane, a ściany domów zawałyły się już dawno, lecz żaden chwast nie zielenił się w szczelinach. Całość sprawiała wrażenie, że osada dopiero co została zburzona przez trzęsienie ziemi. Jedna tylko budowla, nadal nietknięta, wznosiła się ponad rumowiskiem: olbrzymi posąg z białego, szarego i zielonego nefrytu. Rzeźba przedstawiająca nagiego młodzieńca o twarzy niemal kobiecej piękności, zwracającej niewidomy wzrok w stronę północy.

— Oczy! — powiedział książę Avan Astran. — Zniknęły!

Pozostali członkowie wyprawy nie odezwali się, tylko patrzyli na posąg i otaczające go ruiny. Miasto zajmowało stosunkowo niewielki obszar, a budynki nie miały wielu ozdób. Wyglądało na to, że ich mieszkańcy byli prostymi lecz zamożnymi ludźmi — zupełnie odmiennymi od Melnibonéan z Jasnego Imperium. Elryk nie mógł uwierzyć, że jego przodkowie wywodzili się z R'lin K'ren A'a. Zamieszkujący to miasto lud był zbyt rozsądny.

— Posąg został obrabowany — ciągnął książę Avan. — Nasza przeklęta podróż nie miała sensu!

Elryk zaśmiał się.

— Czy naprawdę myślałeś, że uda ci się wyłuskać klejnoty z oczodołów Nefrytowego Człowieka, mój panie?

Statua dorównywała wysokością wieżom Śniącego Miasta, a sama głowa musiała być wielkości sporego budynku. Książę Avan zacisnął wargi i nie chciał słuchać drwiącego głosu Elryka.

— Może jednak wysiłek włożony w wyprawę jeszcze się opłaci. W R'lin K'ren A'a były również inne skarby. Chodźcie... — Poprowadził ich przez miasto.

Bardzo niewiele domów zachowało się chociażby w części, lecz i tak fascynowały one swym wyglądem. Wędrowców zadziwiał przede wszystkim materiał, z którego były one zbudowane. Nigdy dotychczas nie widzieli czegoś podobnego.

Mury pokrywały wielobarwne tynki. Oczy patrzących cieszyły teraz już wyblakłe ze starości łagodne czerwienie, żółcie i błękity zlewające się ze sobą w nie-

zliczonych kombinacjach.

Elryk wyciągnął rękę, by dotknąć jednej ze ścian i zdumiał go chłodny, gładki materiał, który poczuł pod palcami. Nie był to ani kamień, ani drewno czy metal. Być może tworzywo to pochodziło z zupełnie innej płaszczyzny?

Starał się wyobrazić sobie miasto takim, jak wyglądało ono, zanim opuścili je mieszkańcy. Szerokie ulice, brak murów obronnych, domy niskie, zbudowane wokół rozległych dziedzińców. Czy to była ojczyzna jego przodków? Jak to się mogło stać, że spokojny lud R'lin K'ren A'a dał początek szalonym budowniczym dziwacznych, sennych wież Imrryr? Elryk spodziewał się, że tu właśnie uda mu się znaleźć rozwiązanie tej zagadki, lecz zamiast tego natknął się na kolejną tajemnicę. Być może to jest właśnie moje przeznaczenie, pomyślał Melnibonéanin i wzruszył ramionami.

Wówczas to pierwszy kryształowy dysk zaśpiewał cienko tuż przy jego głowie i rozbił się o ścianę.

Kolejny pocisk rozplątał czaszkę jednego z żeglarzy, a trzeci drasnął ucho Smiorgana, nim wreszcie całe towarzystwo padło plackiem pośród gruzów.

— Co za mściwe istoty — powiedział Avan z cierpkim uśmiechem na ustach. — Wiele ryzykują, chcąc odplacić nam za śmierć swych towarzyszy.

Na twarzy pozostałych przy życiu żeglarzy widniało przerażenie. Strach wyzierał też z oczu Avana.

Dokoła zastukotało więcej dysków, lecz było jasne, że na jakiś czas Elryk i jego przyjaciele znaleźli się poza zasięgiem wzroku napastników. Smiorgan zakaszał, gdyż z rumowiska podniósł się biały pył i dostał mu się do gardła.

— Najlepiej będzie, jeżeli ponownie przywołasz swoich potwornych sprzymierzeńców, Elryku.

Melnibonéanin pokręcił głową.

— Nie mogę. Ich przywódca powiedział, że nie przybędzie z pomocą po raz wtóry. — Spojrzał na lewo. Stał tam mały domek, którego wszystkie cztery ściany ocalały, nie naruszone przez czas. Nie miał drzwi, tylko okno.

— A więc zawezwij coś innego — ponaglił go hrabia Smiorgan. — Cokolwiek.

— Nie jestem pewien. . .

I, podjąwszy nagle decyzję, Elryk przeturlał się po rumowisku, po czym rzucił w stronę schronienia, skacząc przez jedyny otwór, i wylądował na stercie gruzu, raniąc sobie przy tym dłoń i kolana.

Powstał z trudem. W pewnej odległości widział olbrzymi, bezoki posąg górujący nad miastem. Jak powiadano, był to wizerunek Ariocho — chociaż nie przypominał on żadnego znanego Elrykowi wyobrażenia tego bóstwa. Czy rzeźba ta miała chronić R'lin K'ren A'a — czy też mu zagrażać? Ktoś krzyknął. Melnibonéanin wyjrzał przez okno i spostrzegł, że spadający na ziemię dysk odciął przedramię jednego z żeglarzy.

Albinos wyciągnął z pochwy Zwiastuna Burzy i uniósł go, celując ostrzem w stronę nefrytowego posągu.

— Ariochu! — krzyknął. — Wspomóż mnie!

Czarne światło wystrzeliło z ostrza, które zaczęło śpiewać, jak gdyby przyłączając się do zaklęcia Elryka.

— Ariochu!

Czy demon przybędzie? Często opiekuńcze bóstwa Królów Melniboné nie chciały się zmaterializować, tłumacząc, że wstrzymywały je o wiele ważniejsze sprawy dotyczące odwiecznej walki między Prawem a Chaosem.

— Ariochu!

Mężczyznę i jego miecz spowijał teraz pulsujący, czarny opar, w którym rozmyła się biała twarz Elryka, jak gdyby miała zaraz pierzchnąć wraz z mgłą.

— Ariochu! Błagam, byś mi pomógł! Wzywa cię Elryk!

Wówczas uszu Melnibonéanina dobiegł głos. Był łagodny, dobrotliwy i spokojny jak mruczenie kota.

— Elryku, jesteś mym ulubieńcem. Kocham cię najbardziej ze wszystkich śmiertelników, lecz pomóc ci nie mogę. Nie teraz.

— A więc pisane jest nam wszystkim polec tutaj! — krzyknął albinos z rozpaczą.

— Ty możesz umknąć przed niebezpieczeństwem. Uciekaj samotnie w las. Zostaw pozostałych, póki jeszcze na to pora. Twoje przeznaczenie ma wypełnić się gdzie indziej i kiedy indziej...

— Nie opuszczę ich.

— Jesteś głupcem, słodki Elryku.

— Ariochu, od powstania Melniboné wspomagałeś jego królów. Zrób to i dzisiaj dla ostatniego z władców Jasnego Imperium!

— Nie mogę trwonić energii. Istnieje groźba, że wkrótce zacznie się bitwa. Powrót do R'lin K'ren A'a wiele by mnie kosztował. Uciekaj teraz. Ocalisz życie. Tylko oni zginą.

I Władca Piekieł odszedł. Elryka opuściło poczucie bliskości bóstwa. Melnibonéanin zmarszczył brwi i pomacał wiszącą u pasa sakiewkę, starając się przypomnieć sobie coś, co kiedyś słyszał. Powoli schował do pochwy opierający się miecz. Nagle rozległ się trzask i przed albinosem stanął zdyszany Smiorgan.

— I co, czy przybędzie ktoś nam z odsieczą?

— Niestety nie — Elryk pokręcił głową z rozpaczą. — Arioch ponownie mi odmówił. Znowu opowiadał coś o wyższym przeznaczeniu, o tym, że musi zachować siły na później.

— Twoi przodkowie powinni byli sobie wybrać na opiekuna jakiegoś bardziej uległego demona. Nasi gadokształtni znajomi już nadchodzą. Zobacz — Smiorgan wskazał na peryferie miasta. Grupa licząca około tuzina szczudłonogich stworzeń zbliżała się, trzymając w pogotowiu olbrzymie pałki.

Z rumowiska po drugiej stronie strome ściany dobiegły ich odgłosy szamotaniny i w otworze pojawił się Avan, prowadzący swych ludzi. Vilmirianin przeklinał głośno.

— Obawiam się, że nie będzie dodatkowej pomocy — powiadomił go Elryk.

Książę Avan uśmiechnął się gorzko.

— A więc wygląda na to, że te potwory na zewnątrz wiedziały więcej niż my!

— Będziemy musieli spróbować ukryć się przed nimi — powiedział Smiorgan bez przekonania. — Nie przeżyjemy walki.

Niewielka grupka opuściła zrujnowany dom i poczęła przedzierać się z wolna w stronę centrum miasta i Nefrytowego Człowieka, usiłując przez cały czas pozostawać pod osłoną murów.

Dobiegający z tyłu ostry syk dał im znać, że gadokształtni wojownicy spostrzegli ich znowu. Kolejny Vilmirianin padł z kryształowym dyskiem sterzącym z karku. Pozostali przy życiu rzucili się do panicznej ucieczki.

Przed nimi znajdował się czerwony, kilkupiętrowy budynek z ocalałym dachem.

— Do środka! — krzyknął książę Avan.

Z pewną ulgą popędzili w górę po schodach. Przemierzywszy szereg zakurzonych korytarzy zatrzymali się w olbrzymiej, mrocznej sali, by złapać oddech.

Komnata była całkowicie pusta. Poprzez szczeliny w ścianach sączyły się do środka nieliczne promyki światła.

— Ten budynek miał więcej szczęścia niż reszta miasta — odezwał się książę Avan. — Ciekawe, czemu służył. Może to była forteca?

— Mieszkańcy tego miasta nie stanowili chyba rasy wojowników — zauważył Smiorgan. — Podejrzewam, że ta budowla pełniła inną funkcję.

Trzech pozostałych przy życiu członków załogi rozglądało się trwożnie dokoła. Wyglądali, jak gdyby woleli pozostać na zewnątrz i tam stawić czoło odrażającym przeciwnikom.

Elryk ruszył przez salę i nagle zatrzymał się, zauważywszy rysunek na przeciwległej ścianie.

Smiorgan też go zobaczył.

— Co to takiego, przyjacielu?

Elryk rozpoznał symbole będące graficznym zapisem Wysokiej Mowy Mel-niboné, jednak w subtelny sposób różniącym się od znanej mu formy. Rozszyfrowanie treści zabrało mu trochę czasu.

— Czy wiesz, co głoszą te znaki, Elryku? — zapytał książę Avan, podchodząc do nich.

— Owszem, ale brzmi to dosyć zagadkowo. Tu jest napisane: „Jeżeli przybyłeś, by mnie zgładzić, witaj. Jeżeli przybyłeś nie potrafiąc obudzić Nefrytowego Człowieka, odejdz...”

— Ciekawe, czy skierowane jest to do nas — zastanawiał się Avan — czy też widnieje tu od jakiegoś czasu?

Elryk wzruszył ramionami.

— Ten napis mógł powstać w dowolnym momencie podczas minionych dziesięciu tysięcy lat. . .

Smiorgan podszedł do ściany i wyciągnął rękę, by jej dotknąć.

— Ja bym powiedział, że namalowano go niezbyt dawno. Farba jest wciąż mokra.

Elryk zmarszczył brwi.

— A więc w mieście nadal są jacyś mieszkańcy. Czemu się nam nie ujawnią?

— A może to te gady zamieszkują R'lin K'ren A'a? — powiedział Avan. — Legendy nie precyzują, że to ludzie uciekali z miasta. . .

Twarz Elryka spochmurniała. Melnibonéanin już zamierzał udzielić gniewnej odpowiedzi, gdy przerwał mu Smiorgan.

— A jeżeli ruiny te mają teraz jednego tylko mieszkańca. Czy myślałeś o tym, Elryku? O Istocie Skazanej na Życie? To ona mogła napisać podobne zdanie. . .

Elryk, nic nie mówiąc, zasłonił twarz rękami.

— Chodźcie — odezwał się Avan. — Nie mamy czasu, by dyskutować na temat legend. — Vilmirianin ruszył przez salę w stronę drzwi znajdujących się po przeciwległej stronie i zaczął schodzić po schodach. Gdy znalazł się już na dole, pozostali usłyszeli jego stłumiony okrzyk.

Czym prędzej przyłączyli się do księcia i spostrzegli, że stoi on na progu kolejnej komnaty. Jej podłoga pokryta była grubą po kostki warstwą cienkich płatków wykonanych z jakiegoś giętkiego niczym pergamin metalu. We wszystkich ścianach widniały liczne szeregi niewielkich wnęk, z których każda oznaczona była inną literą.

— Co to takiego? — spytał Smiorgan.

Elryk zatrzymał się i podniósł jeden z kawałków. Wryty był na nim fragment Melnibonéańskiej litery. Ktoś zadał sobie sporo trudu, by zatrzeć jej zarysy.

— To była biblioteka moich przodków — powiedział cicho. — Próbowano ją zniszczyć. Te zwoje musiały być dość wytrzymałe, lecz ktoś włożył wiele wysiłku, aby uniemożliwić ich odczytanie. — Kopnął jeden z fragmentów. — Najwidoczniej nasi przyjaciele — albo przyjaciel — są zagorzałymi przeciwnikami nauki.

— Najwidoczniej — powtórzył Avan z goryczą w głosie. — Och, jakąż ceną zdobyczą byłyby te zwoje dla uczonych! Wszystko zniszczone!

Elryk wzruszył ramionami.

— Do Otchłani z mędrkami. Dla mnie posiadały one wartość wprost nieocenioną!

Smiorgan położył dłoń na ramieniu przyjaciela, lecz Melnibonéanin strząsnęła ją ze swego barku.

— Miałem nadzieję. . .
Smiorgan przechylił swą łysą głowę.
— Sądząc po odgłosach, gadokształtni weszli za nami do budynku.
Uciekinierzy usłyszeli odległy, dziwnie brzmiący tupot stóp dochodzący z jednego z korytarzy znajdujących się za ich plecami.
Grupka przyjaciół, idąc jak mogła najciszej, przebrnęła przez porwane zwoje i zagłębiła się w korytarz widniejący po drugiej stronie sali. Prowadził on ostro pod górę.
Nagle ujrzeli przed sobą światło słoneczne.
Elryk rozejrzył się uważnie.
— Korytarz przed nami zapadł się i sądząc z wyglądu, przejście jest zatarasowane. Powstała jednak dziura w dachu, więc może uda nam się przez nią uciec.
Wspięli się na zwalone kamienie, spoglądając niespokojnie dokoła, czy nie widać prześladowców.
W końcu wydostali się na główny rynek miasta. Na przeciwległym jego krańcu widzieli stopy olbrzymiego posągu wznoszącego się teraz wysoko ponad ich głowami.
Na wprost przyjaciół znajdowały się dwie dziwaczne budowle, które, w przeciwieństwie do pozostałych, przetrwały przez wieki absolutnie nietknięte. Konstrukcje te miały kształt kopulasto sklepionych wielościanów, a wykonane były z jakiegoś podobnego do szkła materiału, rozszczepiającego światło słoneczne.
Z wnętrza budynku-biblioteki uciekinierzy słyszeli gadokształtnych wojowników schodzących jakimś korytarzem.
— Poszukamy schronienia w bliższej z tych kopuł — postanowił Elryk. Ruszył truchtem przed siebie, przewodząc reszcie kompanii.
Pozostali pobiegli jego śladem w stronę ziejącego otworu o nieregularnym kształcie.
Skoro jednak znaleźli się w środku, zawahali się. Przysłaniali rękami oczy i mrużyli je, by móc odnaleźć właściwą drogę.
— To cały labirynt luster! — wydusił z siebie Smiorgan. — Na bogów, nigdy nie widziałem lepszego. Zastanawiam się, jaką miał pełnić funkcję?
Korytarze zdawały się prowadzić we wszystkich kierunkach — a może były to tylko odbicia przejścia, w którym się znajdowali. Elryk ostrożnie począł zagłębiać się w labirynt. Pozostała piątka ruszyła jego śladem.
— Wyczuwam w tym magię — mruknął Smiorgan, idąc za Melnibonéaninem.
— Ciekawe, czy zapędzono nas w jakąś pułapkę?
Elryk dobył miecza. Czarna klinga zaszemrała cicho, jak gdyby gderliwie.
Nagle wszystko wokół zadrżało. Kontury znajdujących się w labiryncie ludzi uległy rozmyciu.
— Smiorgan! Książę Avanie!

Melnibonéanin słyssał szemrzące wokół głosy, nie należały one jednak do jego towarzyszy.

— Hrabio Smiorganie! — krzyknął Elryk, lecz wówczas zwałista postać wyspiarza znikła zupełnie i ostatni cesarz Jasnego Imperium został sam.

Rozdział 6

Elryk odwrócił się i nagle oślepiła go łuna czerwonego blasku.

Chciał zawołać swych przyjaciół, lecz jego głos zabrzmiał niczym posępne zawodzenie, jak gdyby drwiąc sobie z niego.

Próbował się poruszyć, lecz nie wiedział, czy cały czas tkwi w tym samym miejscu, czy też przeszedł już tuzin kilometrów.

Nagle spostrzegł, że o kilka kroków od niego znajduje się jakaś postać, jakby przesłonięta zasłoną zrobioną z wielobarwnych, przezroczystych klejnotów. Melnibonéanin ruszył naprzód, by zerwać całuny, lecz ten zniknął nagle i albinos zatrzymał się w pół kroku.

Patrzył na czyjeś oblicze przepełnione bezbrzeżnym smutkiem.

Twarz ta była podobna rysom albinosa, pominawszy fakt, że stojący przed Elrykiem mężczyzna miał normalną karnację i czarne włosy.

— Kim jesteś? — spytał Melnibonéanin stłumionym głosem.

— Mam wiele imion. Jedno z nich brzmi Erekosë. Byłem już wieloma ludźmi. A może jestem nimi wszystkimi jednocześnie.

— Przecież wyglądasz jak ja!

— Jestem tobą.

— Nie!

W oczach zjawy, przyglądających się ze współczuciem Elrykowi, załśniły łzy.

— Nie opłakuj mnie! — krzyknął albinos. — Nie potrzebuję twojej litości.

— Możliwe, że płaczę nad sobą, bo znam nasze przeznaczenie.

— Czym ono jest?

— Nie zrozumiałbyś tego.

— A jednak chcę usłyszeć.

— Zapytaj swoich bogów. Elryk uniósł miecz.

— Nie! Ty mi to powiesz! — powiedział ostro.

Zjawa zniknęła.

Elryk się wzdygnął. Nagle korytarz napełnił się tysiącami podobnych istot. Każda z nich szeptała inne imię i nosiła różniące się od pozostałych szaty. Lecz

wszystkie miały twarz Melnibonéanina, chociaż niekoniecznie tego samego koloru.

— Odejdźcie! — krzyknął Elryk. — Och, bogowie, co to za miejsce? — Na rozkaz albinosa wszystkie mary zniknęły.

— Elryku?

Melnibonéanin odwrócił się z ręką na mieczu. Jednak za nim stał książę Avan Astran ze Starego Hrolmar. Vilmirianin dotknął własnej twarzy trzęsącymi się palcami, lecz przemówił w miarę opanowanym głosem.

— Muszę ci wyznać, że chyba zaczynam tracić rozum. . .

— Co widziałeś?

— Wiele rzeczy. Nie potrafię ich opisać.

— Gdzie są Smiorgan i reszta?

— Zapewne każdy poszedł w inną stronę, podobnie jak my.

Elryk wznosił Zwiastuna Burzy i z całej siły uderzył ostrzem o kryształową ścianę. Czarny Miecz jęknął, lecz ściana przesunęła się nieco.

Przez powstałą szczelinę Elryk dostrzegł światło zwykłego dnia.

— Tędy, książę Avanie! Jest przejście!

Avan, zaskoczony, ruszył za nim i obaj wydostali się z lustrzanego labiryntu na główny rynek R'lin K'ren A'a.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu panował tu zgiełk. Wozy i rydwany tłoczyły się na placu. Z jednej strony wznosiły się stragany. Ludzie spokojnie przechadzali się, a Nefrytowy Człowiek nie górował już nad miastem. W tym świecie w ogóle nie było Nefrytowego Człowieka.

Elryk przyjrzał się twarzom przechodniów. Miały one wszystkie cechy ludu Melniboné. Jednak na obliczach tych malował się jakiś obcy wyraz, którego albinos nie mógł z początku określić. Nagle domyślił się, co to takiego. To był spokój. Elryk wyciągnął rękę, by dotknąć jednego z mijających go ludzi.

— Powiedz mi, przyjacielu, który rok. . . ?

Człowiek jednak nie usłyszał jego słów. Przeszedł obok.

Elryk spróbował zatrzymać kilku kolejnych mieszczan, lecz żaden z nich nie widział go ani nie słyszał.

— Jak to się stało, że utracili ten spokój? — odezwał się książę Avan w zadumie. — Jak to możliwe, że stali się podobni tobie, książę Elryku?

Elryk zachnął się na te słowa i spojrzał groźnie na Vihnirianina.

— Zamilcz!

Książę Avan wzruszył ramionami.

— Być może to tylko złudzenie.

— Możliwe — odparł Elryk ze smutkiem. — Jestem jednak pewien, że tak właśnie żyli moi przodkowie. Zanim przybyli Najwyżsi.

— Winisz więc bogów?

— Nie, rozpacz, którą sprowadzili.

Książę Avan skinął poważnie głową.

— Rozumiem. — Odwrócił się z powrotem w stronę dopiero co opuszczonej budowli i stał nasłuchując. — Czy słyszysz ten głos, książę Elryku? Co on mówi?

Albinos usłyszał jakiś szept. Zdawał się on dochodzić z kryształu. Przemawiał starą mową Melniboné, lecz zniekształconą dziwacznym akcentem.

— Tędy — mówił. — Tedy. Elryk zatrzymał się.

— Nie mam wielkiej ochoty tam wracać.

— Czy istnieje jakiś wybór? — zapytał Avan.

Wspólnie ruszyli w stronę wejścia.

Ponownie znaleźli się w labiryncie, który równie dobrze mógł składać się z jednego korytarza co i z wielu. Teraz głos dobiegł ich wyraźniej.

— Idźcie dwa kroki w prawo — poinstruował ich.

Avan zerknął na Elryka.

— Co to takiego?

Elryk powiedział mu.

— Czy mamy go słuchać? — spytał Avan.

— Tak. — W głosie albinosa pobrzmiwała nuta rezygnacji.

Poszli dwa kroki w prawo.

— Teraz cztery na lewo — powiedział głos.

Przemieścili się zgodnie z poleceniem.

Poszli cztery kroki na lewo.

— Teraz jeden do przodu.

Znów znaleźli się na zrujnowanym rynku R'lin K'ren A'a. Stał tam już Smiorgan z jednym z członków załogi.

— Gdzie pozostali? — chciał wiedzieć Avan.

— Zapytaj jego — odparł Smiorgan ze zmęczeniem w głosie, wskazując przed siebie trzymanym w prawej ręce mieczem.

Elryk i Avan wlepili wzrok w człowieka, który musiał być albo albinosem, albo trędowatym. Mężczyzna był całkowicie nagi i z wyglądu wyraźnie przypominał Elryka. Z początku Melnibonéanin pomyślał, że to kolejna zjawka, lecz wkrótce dostrzegł, że oblicze obcego różniło się od jego twarzy kilkoma szczegółami. Coś sterczało z boku nagiego człowieka, tuż nad trzecim żebrzem. Wstrząśnięty Elryk rozpoznał złamane drzewce vilmiriańskiej strzały.

Nieznajomy skinął głową.

— Tak. Strzała trafiła do celu. Ale nie mogła mnie zabić, bo ja jestem J'osui C'rein Reyr. . .

— Istotą Skazaną na Życie? — mruknął z powątpiewaniem Elryk.

— Tak właśnie. — Mężczyzna uśmiechnął się z goryczą. — Czy myślisz, że próbowałbym cię oszukać?

Albinos rzucił okiem na drzewce strzały i pokręcił przecząco głową.

— Masz już dziesięć tysięcy lat? — Avan nie spuszczał oka z dziwnego rozmówcy.

— Co on powiedział? — spytał Elryka J'osui Crein Reyr, a ten mu przetłumaczył.

— Tylko to? — Mężczyzna westchnął. Następnie wbił wzrok w Melnibonéanina. — Czy jesteś z mojej rasy?

— Na to wygląda.

— Z jakiego rodzaju?

— Z linii królewskiej.

— Więc wreszcie przyszedłeś. Ja także wywodzę się z tej linii.

— Wierzę ci.

— Zauważyłem, że szukają was Olabowie.

— Kto?

— Te dzikusy z pałkami.

— Tak. Natknęliśmy się na nich podczas podróży w górę rzeki.

— Zaprowadzę was w bezpieczne miejsce. Chodźcie.

Elryk zgodził się, by J'osui Creln Reyr poprowadził ich przez plac w stronę, gdzie nadal stała w każdej chwili grożąca runięciem ściana. Nagi mężczyzna uniósł kamienną płytę i wskazał na wiodące w ciemność schody. Czwórka przyjaciół weszła za nim do środka, schodząc ostrożnie, podczas gdy gospodarz ponownie zasunął płytę ponad ich głowami. Znaleźli się w pomieszczeniu oświetlonym zwykłymi oliwnymi lampami. Poza posłaniem z suszonych traw pokój był pusty.

— Skromnie mieszkasz — odezwał się Elryk.

— Nie odczuwam wielu potrzeb. Moja głowa jest wystarczająco bogato umeblowana. . .

— Skąd pochodzą ci Olabowie? — spytał Elryk.

— Dopiero niedawno przybyli w te strony. Niecałe tysiąc lat temu, a może nawet tylko pół tysiąca, dotarli tu ze źródeł rzeki, po jakiejś sprzeczce z sąsiednim plemieniem. Zazwyczaj nie pojawiają się na wyspie. Musieliście zabić wielu z nich, skoro tak się na was zawzięli.

— Rzeczywiście, zgładziliśmy niejednego.

J'osui Creln Reyr wskazał gestem na pozostałych członków wyprawy, którzy przyglądali mu się z niejakim skrępowaniem.

— A ci? To też dzikusy, prawda? Rozpoznaję w nich odmienną rasę.

— Niewielu z naszego ludu pozostało przy życiu.

— O czym on mówi? — zapytał księżę Avan.

— Że gadokształtni wojownicy nazywają się Olabami — powiedział Elryk.

— I to ci Olabowie ukradli oczy Nefrytowego Człowieka?

Gdy Elryk przetłumaczył to pytanie, na twarzy Istoty Skazanej na Życie odmalowało się zdumienie.

— A wiec nie wiedzieliście?

— O czym?

— Jak to, przecież byliście w oczach Nefrytowego Człowieka! Te wielkie kryształy, przez które wędrowaliście — to właśnie one!

Rozdział 7

Gdy Elryk powtórzył te słowa księciu Avanowi, Vilmirianin wybuchnął śmiechem. Odchylił głowę i wprost zarykiwał się, podczas gdy na twarzach pozostałych nadal malował się wyraz przygnębienia. Chmura, która od jakiegoś czasu gościła na czole badacza znikła teraz i Melnibonéanin ponownie zobaczył księcia Avana takim, jakiego ujrzał po raz pierwszy.

Jako następny uśmiechnął się Smiorgan i nawet do Elryka dotarła ironia całej sytuacji.

— Te kryształki wypadły z twarzy Nefrytowego Człowieka niczym łzy, wkrótce po tym, jak odeszli bogowie — ciągnął J'osui Creln Reyr.

— A więc to prawda, że tu spotkali się Władcy Wyższych Światów.

— Tak. Nefrytowy Człowiek przyniósł tę wiadomość i wszyscy mieszkańcy opuścili R'lin K'ren A'a, zawarłszy wprawdzie umowę z posłańcem.

— Nefrytowy Człowiek nie został zbudowany przez twych rodaków?

— Nie, to sam Arioch, Książę Piekieł. Wynurzył się pewnego dnia z lasu i stanął na rynku, oznajmiając ludziom cel swego przybycia. Powiedział, że nasze miasto znalazło się w centrum jakiegoś osobliwego układu sił i że dlatego właśnie tylko tutaj może odbyć się spotkanie Władców Wyższych Światów.

— A ta umowa?

— W zamian za opuszczenie miasta obiecał, że ród królewski wzrośnie w siłę, wzięwszy jego — Ariocha, za swego patrona. Miał on przekazać im wielką wiedzę i ofiarować środki, by mogli gdzie indziej zbudować nowe miasto.

— A oni bez wahania zgodzili się na to?

— Nie mieli wielkiego wyboru, rodaku.

Elryk spuścił wzrok, patrząc na zakurzoną podłogę.

— I w ten właśnie sposób ulegli korupcji — wyszeptał.

— Tylko ja jeden odmówiłem przystąpienia do paktu. Nie chciałem opuszczać miasta i nie ufałem Ariochowi. Gdy wszyscy wyruszyli w dół rzeki, ja pozostałem tutaj, gdzie jesteśmy teraz. Słyszałem, jak przybywają Władcy Wyższych Światów i byłem świadkiem ich rozmowy. Ustanawiali reguły, według których miały odtąd ścierać się ze sobą Prawo i Chaos. Gdy Władcy oddalili się, wyszedłem

z ukrycia. Ale Arioch — Nefrytowy Człowiek — nadal był w mieście. Ujrzał mnie swymi szklanymi oczyma i rzucił na mnie klątwę. Potem kryształowy wypadł z jego głowy i odtąd leżą tam, gdzie je widzieliście. Duch Ariocha opuścił posąg, lecz nefrytowy wizerunek pozostał na swoim miejscu.

— I nadal przechowujesz w pamięci wszystko, co zdarzyło się na spotkaniu Władców Prawa i Chaosu?

— To moje przeznaczenie.

— Być może jest ono mniej gorzkie niż los tych, którzy opuścili miasto — rzekł Elryk cicho. — Jestem ostatnim z rodu, nad którym ciążyła owa klątwa. . .

J'osui Creln Reyr, zaskoczony, spojrzął w oczy Melnibonéanina. Przez jego twarz przemknął cień współczucia.

— Nie przypuszczałem, że kogoś może ścigać fatum okrutniejsze niż to, które wisi nade mną. Teraz jednak jestem w stanie w to uwierzyć. . .

— Ulżyj więc przynajmniej mej duszy — wybuchnął nagle Elryk. — Muszę wiedzieć, co zaszło owego dnia pomiędzy Władcami Wyższych Światów. Chcę pojąć istotę mego bytu — tak jak ty, mimo wszystko, rozumiesz cel swego istnienia. Błagam, odpowiedz mi!

J'osui Creln Reyr zmarszczył brwi i zatopił wzrok w oczach Elryka.

— A więc nie znasz mojej historii w całości?

— Jest coś jeszcze?

— Mogę jedynie pamiętać wydarzenia tamtego dnia, lecz kiedy próbuję przekazać komuś moją wiedzę ustnie lub też wyrazić ją na piśmie — nie potrafię tego uczynić. . .

Elryk chwycił mężczyznę za ramiona.

— Musisz spróbować! Musisz!

— Wiem, że mi się nie uda.

Smiorgan, widząc cierpienie w oczach Melnibonéanina, zbliżył się do niego.

— Co się stało, Elryku? Albinos chwycił się za głowę.

— Nasza podróż nie miała sensu. — Nieświadomie nadal mówił Wysoką Mową Melniboné.

— Niekoniecznie — odezwał się J'osui Creln Reyr. — Przynajmniej z mojego punktu widzenia. — Przerwał na moment. — Opowiedz mi, jak znaleźliście miasto? Czy mieliście jakąś mapę?

Elryk wyjął pergamin.

— Oto ona.

— Tak, to właśnie ta. Wiele setek lat temu włożyłem ją do szkatułki, którą umieściłem w niewielkiej skrzynce. Tę zaś wrzuciłem do rzeki, w nadziei, że popłynie ona w ślad za moim ludem, a oni już domyśla się, jakie jest jej znaczenie.

— Szkatułkę odnaleziono na Melniboné, lecz nikt nawet nie zatroszczył się, by ją otworzyć — wyjaśnił Elryk. — To może da ci jako takie pojęcie o tym, co stało się z ludźmi, którzy opuścili R'lin K'ren A'a. . .

Dziwny człowiek z powagą skinął głową.
— Czy mapa nadal była zapieczętowana?
— Tak. Mam tę pieczęć ze sobą.
— Czy przedstawia ona jedno z wyobrażeń Ariocha, figurkę osadzoną w małym rubinie?
— Zgadza się. Zdawało mi się, że rozpoznaję tę postać, ale nie byłem pewien.
— Wizerunek w Klejnocie — mruknął J'osui Creln Reyr. — Tak jak się o to modliłem, powrócił, niesiony przez osobę z królewskiego rodu!
— Jakie jest jego znaczenie?
— Czy ten jegomość pomoże nam w ucieczce, Elryku? — przerwał Smiorgan.
— Zaczynamy się cokolwiek niecierpliwic...
— Czekajcie — powiedział albinos. — Później wam wszystko opowiem.
— Wizerunek w Klejnocie może przyczynić się do mego wyzwolenia — rzekła Istota Skazana na Życie. — Jego posiadacz, o ile pochodzi z linii królewskiej, może rozkazywać Nefrytowemu Człowiekowi.
— Więc czemu sam go nie użyłeś?
— Z powodu ciężącej na mnie klątwy. Obdarzono mnie mocą władania demonami, lecz nie mogę ich przywoływać. W ten właśnie sposób, jak zrozumiałem, zażartowali sobie ze mnie Władcy Wyższych Światów.
Elryk dostrzegł gorycz i smutek w oczach J'osui Creln Reyra. Melnibonéanin patrzył na blade, nagie ciało, białe włosy i skórę, która nie była ani młoda, ani stara. Przyglądał się drzewcom strzały wystającym sponad trzeciego żebra z lewego boku.
— Co mam zrobić? — zapytał.
— Musisz wezwać Ariocha i rozkazać mu, by wszedł na powrót w swoje ciało i podniósł z ziemi swe oczy, żeby mógł widzieć, opuszczając R'lin K'ren A'a.
— A kiedy już sobie pójdzie?
— Klątwa odejdzie wraz z nim.
Elryk zamyślił się. Gdyby wezwał Ariocha, zapewne wbrew jego woli, i kazał mu zrobić coś, na co ten nie miał ochoty, mógłby uczynić sobie wroga z tego potężnego, nieprzewidywalnego bóstwa. Lecz przecież byli otoczeni przez wojowników Olab i nie mieli szans ucieczki. Jeżeli Nefrytowy Człowiek ruszyłby się z posad, Olabowie uciekliby bez wątpienia, a oni zyskaliby czas na dotarcie do statku i podróż w stronę morza. Albinos wyjaśnił wszystko swoim towarzyszom. Smiorgan i Avan spoglądali z powątpiewaniem, na twarzy zaś pozostałego przy życiu vilmiriańskiego żeglarza znać było jawne przerażenie.
— Zrobię to — zdecydował Elryk. — Dla dobra tego człowieka muszę wezwać Ariocha i uwolnić R'lin K'ren A'a.
— I sprawić, by klątwa spadła na nas! — rzekł książę Avan, bezwiednie kładąc dłoń na głowni miecza. — Nie. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli spróbujemy wła-

snych sił w walce z Olabami. Zostaw tego mężczyznę. On jest szalony, majaczy. Ruszajmy w drogę.

— Idź więc, jeżeli takie jest twoje życzenie — odparł Elryk. — Ja jednak nie opuszczę Istoty Skazanej na Życie.

— A więc pozostaniesz tutaj na wieki. Chyba nie wierzysz w jego historię?!

— Owszem. Wierzę.

— Musisz iść z nami. Twój miecz utoruje nam drogę. Bez niego Olabowie z pewnością nas zniszczą.

— Widziałeś przecież, że Zwiastun Burzy niewiele szkód im wyrządza.

— Zawsze jednak trochę. Nie opuszczaj mnie, Elryku!

— Nie zamierzam tego czynić. Musze wezwać Ariocho. Robię to, by dopomóc tobie, nie sobie.

— Nie przekonuje mnie to.

— Przecież to z powodu mojej magii chciałeś, bym ci towarzyszył. Teraz będziesz miał szansę doświadczyć jej.

Avan się cofnął. Sprawiał wrażenie, jakby coś napawało go większym przerażeniem niż Olabowie, a nawet niż przywoływanie demona. Zdawało się, że w twarzy Elryka widzi ukrytą groźbę, której nie dostrzegał sam Melnibonéanin.

— Musimy wyjść na zewnątrz — rzekł J'osui C'reln Reyr. — Trzeba stanąć u stóp Nefrytowego Człowieka.

— A kiedy już wszystko się dokona, jak opuścimy R'lin K'ren A'a? — zapytał nagle albinos.

— Jest łódź. Nie ma w niej żywności, lecz znajdziecie tam większość skarbów tego miasta. Stoi przycumowana u zachodniego brzegu wyspy.

— To już jakaś pociecha — rzekł Elryk. — A czemu ty sam z niej nie skorzystałeś?

— Nie mogłem opuścić miasta.

— Ze względu na klątwę?

— Tak. Z powodu mej przeklętej bojaźliwości.

— Lęk trzymał cię tutaj przez dziesięć tysięcy lat?

— Tak...

Opuścili komnatę i wyszli na dziedziniec. Zapadła noc i na niebie błyszczał olbrzymi księżyc. Z miejsca, w którym stał Elryk, widać było pozbawioną oczu głowę Nefrytowego Człowieka otoczoną aureolą księżycowej poświaty. Wokół panowała absolutna cisza. Elryk wyjął z sakiewki Wizerunek w Klejnocie i trzymał go w lewej dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym. Prawą ręką dobył Zwiastuna Burzy. Avan, Smiorgan i vilmiriański żeglarz cofnęli się.

Melnibonéanin spojrział w górę na olbrzymie nefrytowe nogi, genitalia, tors, ramiona, głowę. Albinos wznosił miecz oburącz i zawołał doniosłe:

— ARIOCHU!

Okrzyk, jaki równocześnie wydał Zwiastun Burzy niemal zagłuszył głos Elryka. Czarna klinga szarpnęła się w rękach swego pana. Albinosowi zdawało się, że nie utrzyma wtórującego mu miecza.

— ARIOCHU!

Patrzący na tę scenę widzieli jedynie pulsujący, rozświetlony brzeszczot, białą twarz i dłonie albinosa oraz jego karmazynowe oczy błyszczące pośród ciemności.

— ARIOCHU!

I wówczas uszu Melnibonéanina dobiegł głos, który nie należał do władcy Piekła. Zdawało się, że to sam miecz odezwał się w te słowa.

— Elryku, Arioch musi otrzymać krew i dusze. Krew i dusze, mój panie. . .

— Nie. Ci tutaj, to moi przyjaciele, a Olabom Zwiastun Burzy nie może zadać śmierci. Arioch musi przybyć nie otrzymawszy niczego w zamian.

— Tylko one mogą przywołać go na pewno! — odezwał się głos, teraz już wyraźniejszy. Pobrzmiwała w nim konia. Dźwięk zdawał się dochodzić zza pleców Melnibonéanina. Albinos obejrzał się, lecz nie zobaczył nikogo obcego.

Ujrzał za to zdenerwowaną twarz księcia Avana. Były cesarz Jasnego Imperium jeszcze miał wzrok utkwiony w obliczu Vilmirianina, gdy Zwiastun Burzy szarpnął się w jego ręce i, wykręcając mu nadgarstek, pomknął w stronę księcia.

— Nie! — krzyknął Elryk. — Przestań!

Zwiastun Burzy jednak usłuchał dopiero wtedy, gdy wbił się głęboko w serce księcia Avana i nasycił pragnienie. Vilmiriański żeglarz stał jak sparaliżowany, patrząc na śmierć swego kapitana. Książę Avan zwinął się z bólu.

— Elryku! Jaką zdradę. . . ? — krzyknął. — Och, nie!

Zatrząśł się cały.

— Proszę. . .

Zadrzał.

— Moja dusza. . .

I umarł.

Elryk wyciągnął ostrze z rany i jednym ciosem powalił żeglarza, który biegł na ratunek swemu dowódcy. Melnibonéanin dokonał tego nawet nie zastanawiając się nad tym, co robi.

— Teraz Arioch otrzymał swoją daninę — powiedział zimno. — Niechaj przybędzie!

Smiorgan oraz Istota Skazana na Życie cofnęli się, patrząc w przerażeniu na obłąkanie Elryka. Twarz Melnibonéanina była pełna okrucieństwa.

— NIECHAJ ARIOCH PRZYBĘDZIE!

— Jestem tutaj, Elryku.

Elryk odwrócił się i ujrzał jakąś postać stojącą w cieniu rzucanym przez nogi posągu. Był to Cień w cieniu.

— Ariochu, musisz powrócić do postaci posągu i sprawić, by opuścił on R'lin K'ren A'a na zawsze.

— Nie mogę samowolnie tego uczynić, Elryku.
— A więc muszę wydać ci rozkaz, książę Piekieł.
— Rozkaz? Tylko ten, kto ma Wizerunek w Klejnocie może wydawać polecenia Ariochowi — a i nawet wówczas jedynie raz.
— Ja posiadam Wizerunek w Klejnocie. — Elryk uniósł w górę małe przedmiot. — Spójrz.

Cień w cieniu nagle zadygotał ze złości.

— Gdybym usłuchał twego rozkazu, mógłbym zapoczątkować łańcuch wydarzeń, które nie byłyby po twojej myśli — rzekł Arioch, przechodząc nagle na Niski Melnibonéański, jakby chciał nadać swym słowom szczególne znaczenie.

— Więc niechaj tak się stanie. Rozkazuję ci, byś wszedł w postać Nefrytowego Człowieka i podniósł jego oczy, aby posąg mógł widzieć. Następnie masz odejść stąd i zabrać ze sobą klątwę Najwyższych.

— Kiedy Nefrytowy Człowiek przestanie strzec miejsca, w którym spotkali się bogowie, wówczas ta płaszczyzna stanie się polem walki Wyższych Światów — odparł cień.

— Rozkazuję ci, Ariochu. Wejdz w posąg!

— Jesteś upartym stworzeniem, Elryku.

— Idź! — Albinos wznosił w górę Zwiastuna Burzy. Klinga zaśpiewała nagle z ogromnej radości i przez moment zdawało się, że posiada ona ogromną moc, większą niż sam Arioch, czy nawet wszyscy Władcy Wyższych Światów.

Ziemia zadrżała. Ogień rozbłysł wokół zarysów olbrzymiego posagu. Cień w cieniu zniknął.

Nefrytowy Człowiek pochylił się.

Olbrzymi korpus zawisnął nad Elrykiem, nefrytowe ręce dosięgły ziemi i zaczęły szukać po omacku dwóch kryształów leżących nie opodal. Znalazły je wreszcie. Wziąwszy po jednym oku w każdą dłoń Nefrytowy Człowiek wyprostował się.

Elryk, potykając się, ruszył w stronę przeciwległego krańca rynku, gdzie od jakiegoś już czasu Smiorgan i J'osui Creln Reyr kulili się, przerażeni.

Oczy ożywionej figury rozbłysły oślepiającym światłem. Nefrytowe wargi rozchyliły się.

— Dokonało się, Elryku! — powiedział posąg donośnym głosem.

J'osui Creln Reyr począł łkać.

— A więc odejdz, Ariochu.

— Odchodzę. R'lin K'ren A'a jest już wolne, podobnie jak J'osui C'reln Reyr nie podlega już zaklęciu, lecz tym samym jeszcze większa klątwa wisi nad całą twoją płaszczyzną.

— Co to znaczy, Ariochu? Wyjaśnij! — krzyknął Elryk.

— Wkrótce sam zrozumiesz. Żegnaj!

Olbrzymie nefrytowe nogi poruszyły się nagle i jednym krokiem opuściły ruiny, po czym zaczęły wdzierać się w głąb dżungli. W mgnieniu oka Nefrytowy Człowiek zniknął.

Istota Skazana na Życie zaśmiała się gromko. W śmiechu tym pobrzmiewała przedziwna radość. Smiorgan zatkał sobie uszy.

— Wreszcie! — krzyknął J'osui Creln Reyr. — Teraz twe ostrze musi pozba-
wić mnie życia. Mogę już umrzeć!

Elryk przesunął ręką po twarzy. Ledwo zdawał sobie sprawę z tego, co zda-
rzyło się w ciągu kilku ostatnich chwil.

— Nie — powiedział albinos zaskoczonym tonem. — Nie mogę. . .

Zwiastun Burzy skoczył w jego ręce, pomknął w stronę Istoty Skazanej na
Życie i zatopił się w jej piersi.

J'osui Creln Reyr śmiał się, konając. Leżąc na ziemi poruszał wargami. Spo-
miedzy nich wydobył się szept. Elryk zbliżył się, by usłyszeć słowa.

— Twój miecz przejął teraz moją wiedzę. Nie ciąży nade mną już to brzemię.
Zamknął oczy.

Trwające dziesięć tysięcy lat życie J'osui Creln Reyra dobiegło końca.

Czując ogarniającą go słabość, Elryk wyciągnął Zwiastuna Burzy z rany
i schował go do pochwy. Spojrzał na martwe ciało Istoty Skazanej na Życie, po
czym zerknął pytająco na Smiorgana.

Olbrzymi wyspiarz odwrócił wzrok.

Słońce poczęło wylaniać się nad horyzontem. Powoli szarzał świt. Na oczach
albinosa ciało J'osui Creln Reyra obróciło się w proch, który tchnieniem wiatru
zmieszało z pyłem zalegającym ruiny. Albinos przeszedł na ukos przez dziedzi-
niec, tam, gdzie leżały skulone zwłoki inicjatora wyprawy. Elryk osunął się na
kolana.

— Ostrzegano cię, książę Avanie Astran ze Starego Hrolmar, że nieszczęście
spotyka tych, którzy zwiążą swe losy z Elrykiem z Melniboné. Teraz przekonałeś
się o tym na własnej skórze. — Melnibonéanin wstał z westchnieniem na ustach.

Do albinosa podszedł Smiorgan. Promienie słońca oświetlały już wyższe par-
tie ruin. Wyspiarz wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— Olabowie zniknęli. Najwyraźniej mieli już dosyć magii.

— Kolejny człowiek zginął z mojej ręki, Smiorganie. Czy już na wieki będę
uzależniony od tego przeklętego miecza? Muszę znaleźć jakiś sposób, by się go
pozbyć, bo inaczej świadomość mych uczynków przygniecie mnie tak, że nigdy
już się nie podniosę.

Smiorgan odchrząknął, lecz poza tym nie wydał żadnego dźwięku.

— Pochowam księcia Avana — powiedział Elryk. — Ty zaś wróć na statek
i oznajmij załodze, że wkrótce przyjdziemy.

Czarnobrody mężczyzna ruszył w poprzek dziedzińca kierując się na wschód.

Elryk delikatnie uniósł ciało kapitana i poszedł na przeciwległą stronę placu, do podziemnej komnaty, w której Istota Skazana na Życie przeżyła dziesięć tysięcy lat swego istnienia.

Wszystko to zdało się teraz Elrykowi nierealne, ale nieobecność Nefrytowego Człowieka pośród ruin świadczyła o tym, że nie był to sen. W dżungli wyraźnie odcinały się ślady stóp posągu. Olbrzymia figura zmiażdżyła całe kępy drzew, które stały na jej drodze.

Albinos dotarł do dziury w ziemi i zszedł po schodach. Złożył martwe ciało na posłaniu z wyschniętych traw. Następnie ujął w dłoń sztylet księcia i, z braku inkaustu, umoczył go w krwi Vihniriana, po czym napisał nią na ścianie ponad zwłokami następujące słowa:

„Tu leży książę Avan Astran ze Starego Hrolmar. Podróżował po świecie i sporo wiedzy oraz skarbów przywiózł do Vilmir, swojej ojczyzny. Wiele marzył, lecz zagubił się w marzeniu innego człowieka i tak umarł. Wzbogacił Młode Królestwo, dając w ten sposób początek nowym dalekosiędnym, świetlanym myślom. Zginął, by Istotą Skazaną na Życie mogła osiągnąć śmierć, której pragnęła...”

Elryk urwał nagle. Odrzucił sztylet. Nie potrafił zagłuszyć poczucia winy układaniem górnolotnego epitafium dla człowieka, którego zgładził.

Przez pewien czas stał tak, dysząc ciężko, po czym ponownie ujął sztylet.

„Umarł, ponieważ Elryk z Melniboné pragnął spokoju i wiedzy, której nie mógł znaleźć. Zabił go Czarny Miecz”.

Na zewnątrz słońce stało już w zenicie. Pośrodku dziedzińca nadal samotnie leżały zwłoki ostatniego vilmiriańskiego żeglarza. Nikt nie znał jego imienia, nie opłakiwał go ani nie układał żałobnego hymnu na jego cześć. Vilmirianin ten umarł bez żadnego wyższego celu. Do śmierci nie doprowadziło go jakieś szczytne marzenie. Nawet teraz z jego martwego ciała świat nie miał odnieść żadnej korzyści. Na wyspie nie było padlinożerców. Leżąc w pyłe opustoszałego miasta zwłoki nie mogły nawet użyźnić gleby.

Elryk wyszedł na plac i ujrzał leżące ciało. Przez moment było dla albinosa symbolem wszystkiego, co wydarzyło się w trakcie tej podróży i co miało się dokonać później.

— Nie ma żadnego celu — mruknął Melnibonéanin.

Być może jego odlegli przodkowie także, mimo wszystko, zdawali sobie z tego sprawę, lecz nie obchodziło ich to zbyt. Dopiero Nefrytowy Człowiek sprawił, że czuli mękę braku celowości istnienia, a udręka ta wpędziła ich w szaleństwo. Zbyt rozległa wiedza doprowadziła do tego, że zamknęli swe umysły na wiele aspektów świata.

— Elryku!

Właśnie wracał Smiorgan. Albinos podniósł wzrok.

— Olabowie rozprawili się z załogą i statkiem, zanim ruszyli w pościg za nami. Wszyscy nie żyją. Żaglowiec jest zniszczony.

Melnibonéanin przypomniał sobie fragment rozmowy z Istotą Skazaną na Życie.

— Jest jeszcze łódź — powiedział. — Na zachodnim brzegu wyspy.

Resztę dnia i całą noc zabrało im odnalezienie miejsca, w którym J'osui Creln Reyr ukrył łódź. Zepchnęli ją na wodę w mglistym świetle poranka i zbadali dokładnie.

— Jest mocna — odezwał się Smiorgan z aprobatą. — Sądząc z wyglądu, wykonano ją z tego samego materiału, który widzieliśmy w bibliotece R'lin K'ren A'a. — Wyspiarz wspiął się do środka i zaczął przeszukiwać schowki.

Elryk spoglądał za siebie na ruiny miasta, myśląc o człowieku, który mógłby się stać jego wiernym towarzyszem, podobnie jak hrabia Smiorgan. Albinos nie miał żadnych przyjaciół poza Cymoril na Melniboné. Westchnął.

Smiorgan zdążył już otworzyć kilka skrytek i szczyrzył zęby w uśmiechu na widok ich zawartości.

— Oby bogowie pozwolili mi wrócić bezpiecznie do Purpurowych Miast. Mamy to, czego szukałem! Spójrz, Elryku! Skarby! A jednak odniesiemy jakąś korzyść z tej wyprawy!

— Tak — Melnibonéanin myślał o czymś zupełnie innym. Zmusił się jednak do zastanowienia nad bardziej praktycznymi sprawami. — Klejnoty nas nie nakarmią, hrabio Smiorganie — powiedział. — Przed nami długa podróż do domu.

— Do domu? — Hrabia Smiorgan wyprostował swoje szerokie plecy. W każdej dłoni trzymał garść naszyjników. — Na Melniboné?

— Do Młodych Królestw. O ile dobrze pamiętam proponowałeś mi pobyt u siebie.

— Możesz być mym gościem do końca swoich dni, jeżeli taka jest twoja wola. Uratowałeś mi życie, Elryku, przyjacielu, a teraz pomogłeś mi również ocalić honor.

— Nie przeszkadza ci to, co wydarzyło się na tej wyspie? Widziałeś, do czego zdolny jest mój miecz — zarówno wobec wrogów, jak i przyjaciół.

— My, ludzie z Purpurowych Miast, nie rozmyślamy w kółko nad jednym problemem — odparł hrabia Smiorgan z powagą. — I jesteśmy stali w przyjaźniach. Wiem, książę Elryku, że przepełnia cię boleść, której ja nigdy nie zaznam ani nie zrozumieć. Obdarzyłem cię jednak zaufaniem. Czemuż miałbym je teraz stracić? Nie tak uczą nas postępować w Purpurowych Miastach. — Hrabia Smiorgan przecesał palcami swą czarną brodę i mrugnął do Melnibonéanina. — Widziałem kilka skrzyń z prowiantem wśród szczątków szkunera Avana. Możemy popłynąć dookoła wyspy i wyłowić je.

Elryk próbował otrząsnąć się z grobowego nastroju, lecz było to trudne, jako że zabił człowieka, który mu ufał, a słowa Smiorgana o zaufaniu jeszcze pogłębiły w nim poczucie winy.

Wspólnie zepchnęli łódź na gęstą od wodorostów wodę. Elryk ponownie obejrzał się na milczący las i przeszedł go dreszcz. Albinos pomyślał o nadziejach, jakie żywił w trakcie podróży w górę rzeki i przeklinał własną głupotę.

Starął się sięgnąć myślami wstecz, przypomnieć sobie, w jaki sposób znalazł się W R'lin K'ren A'a, lecz wydarzenia z przeszłości mieszały mu się z obrazami z wyrazistych, niezwykłych snów, jakie często go nawiedzały. Czy Saxif D'Aan i świat pod błękitnym słońcem istnieli naprawdę? Już teraz pamiętał to jak przez mgłę. Czy realna była kraina, w której obecnie się znajdował? Wyglądała zupełnie jak żywcem przeniesiona z jakiegoś sennego marzenia. Melnibonéaninowi zdawało się, że od ucieczki z Pikaraydu żeglował po wielu proroczych wodach. Po morzach przeznaczenia. Obietnica spokoju na Wyspie Purpurowych Miast napędzała go otuchą.

Mimo to wkrótce nadejdzie czas, kiedy będzie musiał powrócić do Cymoril i Śniącego Miasta i zdecydować, czy jest już gotów sprostać wymaganiom Jasnego Imperium. Do tej chwili jednak pozostanie w gościnie u swego nowego przyjaciela, Smiorgana, i postara się nauczyć sposobu życia od bardziej naturalnych i bezpośrednich niż Melnibonéanie mieszkańców Menii.

Podnieśli żagiel i łódź poczęła płynąć z prądem. Elryk odezwał się nagle:

— A więc ufasz mi, hrabio Smiorganie?

Wyspiarz był lekko zaskoczony otwartością tego pytania. Skubnął palcami brodę.

— Tak — odparł po chwili. — Jako człowiekowi. Ale żyjemy w pełnych cynizmu czasach, książę Elryku. Teraz nawet bogowie utracili niewinność, nieprawdaż?

Słowa Smiorgana wprawiły albinosa w zakłopotanie.

— Czy myślisz, że cię kiedyś zdradzę, tak jak... Avana, tam, na wyspie?

Smiorgan pokręcił głową.

— Podobne rozważania nie leżą w mojej naturze. Jesteś lojalnym człowiekiem, panie. Udajesz cynika, lecz wydaje mi się, że rzadko zdarzało mi się spotkać kogoś, komu równie potrzebna byłaby odrobina dystansu. — Czarnobrody mężczyzna uśmiechnął się. — Zdradził cię twój miecz, prawda?

— Przypuszczam, że chciał w ten sposób mi służyć.

— Pewnie tak. To zakrawa na ironię. Człowiek może ufać człowiekowi, książę Elryku, ale, jak sądzę, nie nastaną prawdziwie normalne czasy, póki ludzie nie nauczą się ufać ludzkości. Obawiam się, że to będzie oznaczać koniec magii.

Melnibonéaninowi zdało się, że Zwiastun Burzy poruszył się u jego boku i jęknął bardzo cicho, jak gdyby zaniepokojony słowami hrabiego Smiorgana.